



733.

~~509~~



№ 363

W ROKU 2000.



318033

№ 509

Wydawnictwo „GŁOSU”.

EDWARD BELLAMY.

W ROKU 2000

(LOOKING BACKWARD. 2000—1887.)

POWIEŚĆ.

Tłomaczył z oryginału

J. K. POTOCKI.

№ 85
KSIĘGARNIA — CZYTELNIĄ
i materialny piśmienną
H. MICHNIE WSKLEJ
dawniej DZIERŻYŃSKI
W SKIERNIEWICACH

ЧИТАЛЬНЯ
ВЪ СКИРНЬВИЦАХЪ
CZYTELNIĄ
W SKIERNIEWICACH

WARSZAWA.

W Drukarni Maryi Ziemkiewicz.

Krakowskie Przedmieście Nr. 17.

1890.



Дозволено Цензурою
Варшава, 10 Іюня 1890 г.



474308

PRZEDMOWA.

Sekc. historyczna, Shawmut College, Boston, d. 28 Grud. r. 2000.

Żyjąc w ostatnim roku 20-go stulecia, korzystając z błogosławieństw społecznego porządku, tak prostego a zarazem tak logicznego, iż zdaje się on być tylko zwycięstwem zdrowego sensu, trudno jest bezwątpienia, zwłaszcza tym, których znajomość historyi nie sięga zbyt daleko, wyobrazić sobie, że obecny ustrój społeczeństwa w całkowitem swem wykończeniu nie ma jeszcze nawet 100 lat wieku. Jednakże trudno o fakt pewniejszy historycznie nad ten, że prawie aż do końca 19-go stulecia mniemaniem było powszechnem, iż dawny system przemysłowy, wraz ze wszystkimi jego rażącymi następstwami społecznymi, miał trwać, z małymi zmianami, aż do skończenia wieków. Jakże dziwnem i nieprawdopodobnem prawie wydać się może, iż tak cudowne przeobrażenie moralne i materyjalne, jakie się od owego czasu odbyło, zostało dokonaniem w tak krótkim przeciągu czasu. Trudno o bardziej uderzający przykład tego, z jaką łatwością przyzwyczajają się ludzie

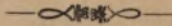
do lepszych warunków swego położenia, jakkolwiek, oczekując ich, sądzą, że nic już lepszego wymarzyć nie będzie można. Nic lepiej nad to nie mogłoby ochłodzić zapału reformatorów, rachujących na żywą wdzięczność przyszłych pokoleń.

Przedmiotem tej książki jest dopomódz tym, którzy pragną zdobyć bardziej określone wyobrażenie o różnicach ustroju społecznego pomiędzy wiekiem 19-m a 20-m, a których odstrasza zbyt urzędowy charakter mówiących o tym przedmiocie ksiąg historycznych. Wiedząc z doświadczenia pedagoga, iż nauczanie bywa często nużącym dla ciała, autor usiłował uprzyjemnić dydaktyczny charakter książki, nadając jej formę romantycznego opowiadania, którego sam wątek, jak radby był on sądzić, nie będzie pozbawiony zajęcia.

Czytelnik, dla którego nowe urządzenia społeczne oraz podstawowe ich zasady są rzeczą zwykłą, znajdzie, być może, iż tłumaczenie, jakie nadaje im D^r Leete, jest zbyt oklepane; ale przypomnieć sobie należy, że dla gościa tegoż doktora nie było ono rzeczą zwykłą, oraz, że ta książka napisana jest umyślnie na to, aby skłonić czytelników do zapomnienia, iż dla nich samych rzeczy owe są zwykłymi. Jeszcze słówko: powszechnym prawie tematem pisarzy i mówców, którzy się wstawili w tej epoce kończącego się 2000^o lecia, nie była przeszłość lecz przyszłość; nie były postępy, jakich już dokonano, ale te, jakich dokonać należy, idąc zawsze dalej i wyżej, aż do chwili, gdy spełnią się niezbadane losy rodzaju ludzkiego. Bardzo to piękne, ale zdaje mi się, iż nigdy nie znajdziemy trwalszego gruntu dla przewidywań,

dotyczących przyszłego rozwoju ludzkości w najbliższym tysiącleciu, jak spoglądając wstecz na postęp stulecia ostatniego.

Żywiąc nadzieję, że książeczka ta będzie dość szczęśliwa i znajdzie sobie czytelników, których zajęcie się przedmiotem pozwoli nie dojrzeć jej braków, autor usuwa się, ustępując miejsca i słowa p. Julianowi West.



ROZDZIAŁ I.

Ujrzałem światło dzienne w Bostonie w r. 1857.

— Jakto w *osiemset* pięćdziesiątym siódmym? Dziwna omyłka. Zapewne chciałeś pan powiedzieć dziewięćset pięćdziesiątym siódmym.

— Przepraszam, niema tu żadnego błędu. Właśnie około godziny 4-ej po południu, dnia 26 grudnia w drugie święto Bożego narodzenia r. 1857 nie zaś 1957, owionął mię po raz pierwszy wschodni wiatr bostoński, który, jak zapewniam czytelników, odznaczał się w owym czasie odległym, taką samą surowością jak i w obecnym r. 2000.

Twierdzenia te zdają się tak nedorzecznemi, szczególnie gdy dodam, iż jestem młodym, mającym około lat 30-tu mężczyzną, że niepodobna będzie mieć za złe nikomu, gdy nie zechce przeczytać dalej ani słowa z tego, co widocznie ma być wyzyskaniem jego łatwowierności. Pomimo to jednak, gorąco zapewniam czytelnika, iż niema tu żadnej chęci wyzyskania i podejmuję się przekonać go o tem, jeśli zechce jeszcze pójść za mną przez kilka kartek. Jeżeli więc mogę przypuścić tymczasem, prosząc zara-

zem o względność dla przypuszczenia, że lepiej wiem od czytelnika, kiedy się urodziłem, to będę ciągnął dalej moje opowiadanie.

Jak wiadomo obecnie każdemu uczniowi, w ostatniej ćwierci 19 wieku nie istniała jeszcze cywilizacja dzisiejsza, lub coś, coby ją przypominało, jakkolwiek były już w zarodku wszystkie pierwiastki, z jakich miała się ona rozwinąć. Jednakże nie zdarzyło się nic takiego, coby zmieniło ów zamierzchły podział społeczeństwa na cztery klasy albo raczej na cztery narody, jakby je właściwiej można było nazwać, gdyż różnice pomiędzy nimi były większe, niż dzisiaj pomiędzy narodami; mówię tu o bogatych i biednych, o wykształconych i nieukach. Ja sam byłem bogaty i wykształcony, posiadałem więc wszystkie pierwiastki pomyślności, z jakich korzystali najszcześliwsi ludzie owego czasu. Żyjąc w zbytkach i trudniąc się tylko ściganiem rozkoszy i przyjemności życia, środki utrzymania czerpałem z pracy innych, nie dając nikomu żadnych usług wzamian. Rodzice moi i dziadowie żyli tak samo, ja zaś spodziewałem się, że i moje potomstwo, jeśli je będę miał, prowadzić będzie żywot równie łatwy.

Ale, zapytacie mnie, w jaki sposób mogłem żyć, nie oddając żadnych usług światu? Dla czego świat znosił krańcowe lenistwo kogoś, co zdolny był do świadczenia usług? Odpowiem na to, iż pradziad mój zgromadził był pewną sumę pieniędzy, z której odtąd żyli ciągle jego potomkowie. Wynioskujecie naturalnie, iż suma ta musiała być bardzo duża, skoro się nie wyczerpała jeszcze, dając trzem pokoleniom środki na żywot próżniaczy. Tak jednak nie

było. Suma pierwiastkowo nie była wcale tak wielką. W rzeczywistości dosięgła ona o wiele znaczniejszych rozmiarów później, kiedy już trzy pokolenia z niej czerpały, niż na początku. Owa tajemnica używania, nie spożywając, ogrzewania nie paląc, zdaje się czemś czarodziejskiem, była ona jednak tylko następstwem umiejętnego stosowania sztuki, dzisiaj na szczęście już zarzuconej, ale szeroko uprawianej jeszcze przez waszych przodków—umiejętności zepchnięcia ciężaru własnego utrzymania się na barki innych. O tym, kto tego dokonywał, a było to celem zabiegów wszystkich, mówiono, iż żyje z procentu od swych kapitałów. Tłomaczenie tego, w jaki sposób dawniejsze metody przemysłowe umożliwiały taką operację, zaprowadziłyby nas zbyt daleko. Powiem więc tylko, że procent od kapitału był pewnym rodzajem wiekuiściego podatku, nałożonego na wytwór pracy tych, co zajęci byli w przemyśle, a pobieranego przez osoby, które posiadały albo dziedziczyły pieniądze. Nie należy przypuszczać, że taki porządek rzeczy, tak nienaturalny i śmieszny w oświeceniu pojęć nowożytnych, nigdy nie był krytykowanym przez waszych przodków. Owszem, zniesienie, a przynajmniej możliwe ograniczenie procentów, było od czasów niepamiętnych usiłowaniem prawodawców i proroków. Wszystkie jednakże owe wysiłki zawodziły i musiały zawodzić, dopóki panowała dawna organizacja społeczna.

Aby dać czytelnikowi ogólne wyobrażenie o tem, jak żyli ludzie w owym czasie, szczególnie zaś o wzajemnym stosunku bogatych do ubogich, porównam, co będzie może najlepszem, społeczeństwo ówczesne

do olbrzymiego koczobryka, do którego zaprężone były masy ludzi, ciągnące go z mazołem po drodze bardzo górzystej i piaszczystej. Woźnicą był tutaj głód, nie pozwalający na odpoczynek, jakkolwiek pochód z konieczności musiał być bardzo powolny. Pomimo trudności ciągnięcia powozu po drodze tak przykrej, siedzieli w nim pasażerowie, nie schodzący nigdy na dół, nawet przy wjeżdżaniu na najbardziej strome urwiska. Miejsca w powozie były bardzo przyjemne i wygodne. Siedząc ponad kurzem, podróżni mogli dowoli napawać się widokami, albo też krytycznie roztrząsać zasługi bydła pociągowego. Rzecz naturalna, że popyt na takie miejsca był wielki, że współubiegano się o nie zażarcie, gdyż najpierwszym celem każdego było zapewnienie miejsca w koczobryku dla siebie oraz pozostawienie go dziecku. Zazwyczaj, każdy mógł przekazywać swe miejsce temu komu zapragnął, lecz z drugiej strony zdarzały się wypadki, że mógł je zupełnie postradać. Jakkolwiek bowiem siedzenia te były tak przyjemne, to jednak były bardzo niepewne, a przy każdym nagłym wstrząśnieniu koczobryka, ci i owi spadali na ziemię, gdzie natychmiast zmuszano ich jąć się sznura i pomagać w ciągnięciu powozu, w którym tak rozkosznie rozpierali się przedtem. Na taką utratę miejsca spoglądano, naturalnie, jak na okropne nieszczęście; przypuszczenie zaś, że zdarzyć się to może, było stałą chmurą, mroczącą szczęście podróżnych.

Ale czyż myśleli tylko o sobie, zapytacie. Czyliż sam ich zbytek nie był dla nich rzeczą nieznośną, gdy porównali go z losem swoich braci i sióstr zaprężonych, gdy wiedzieli, że własny ich ciężar

powiększa mozoły tamtych? Czyż nie mieli współczucia dla bliźnich swoich, od których różnili się tylko powodzeniem? O tak! Jadący, częstokroć wyrażali współubolewanie swe dla tych, którzy ciągnęli powóz, szczególnie gdy przebywał on, jak to się zdarzało ciągle, jakąś gorszą część drogi, lub wspinał się na górę bardzo stromą. W takich razach, rozpaczliwe wysiłki zaprzężonych, ich ciągle upadanie lub rzucanie się pod bezlitosnem smaganiem głodu, wielka liczba tych, którzy wypuściwszy sznur z ręki tratowanymi byli w błocie; wszystko to przedstawiało widok okropny, który częstokroć wywoływał bardzo szczerze objawy uczucia wśród podróżnych, siedzących w koczobryku. Wołali oni wówczas, dodając odwagi pracownikom, zachęcając ich do cierpliwości i utrzymując w nich nadzieję nagrody w życiu przyszłem za ich los doczesny, gdy tymczasem inni brali udział w kupowaniu leków i bandaży dla zmiążdżonych i skaleczonych. Zgadzano się powszechnie, iż wielce przykrem było, że sprawa ciągnięcia kocza była tak mozolną, to też wszyscy doznawali ulgi, gdy przebyto już jakąś gorszą część drogi. Ulga ta jednak nie bywała nigdy zupełną, gdyż zawsze groziło pewne niebezpieczeństwo, że na owych miejscach gorszych wszyscy się przewrócą i wszyscy utracą swe siedzenia.

Potrzeba w istocie przypuszczać, że głównym następstwem tego oglądania nędzy pracowników sznura, było to, iż pasażerowie jeszcze bardziej cenili swe miejsca w koczu, a tem samem trzymali się ich rozpaczliwiej, niż przedtem.

Gdyby tylko bowiem mogli oni być pewni, że

ani sami, ani ich przyjaciele miejsc swoich nie postradają, to prawdopodobnem jest, że oprócz ponoszenia wydatków na maści i bandaże bardzo mało troszczyliby się oni o swych braci, ciągnących powóz.

Wiem dobrze, iż kobietom i mężczyznom XX wieku wyda się to rzeczą nieprawdopodobnie nie-ludzką; ale były wówczas dwa fakty bardzo ciekawe, a tłumaczące poczęści winowajców. Naprzód, mocno i szczerze wierzono, iż niema dla społeczeństwa innego sposobu posuwania się, jak tylko zaprzęgnięcie wielu do sznura oraz posadzenie nielicznych jednostek w powozie; co większa, sądzono, iż żadna zmiana gruntowna nie była możliwą ani w uprzęży, ani w samym koczku, ani w obiorze drogi, ani w podziale trudów. Powiadano, iż zawsze tak było i że tak będzie zawsze. Smutne to zaiste, lecz pomóż temu niepodobna, filozofija zaś nie pozwala na trwonienie współczucia tam, gdzie lekarstwo jest niemożliwe.

Drugi fakt, jeszcze bardziej ciekawy, zasadzał się na szczególnej halucynacyi, której wszyscy siedzący w powozie doświadczali, a mianowicie, że nie byli oni podobni do swoich braci i sióstr zaprzężonych, lecz że byli jak gdyby z lepszej gliny, należeli do jakiegoś wyższego porządku istot, które słusznie wymagać mogły, aby je wieziono. Rzecz ta zdaje się być nie do wytłumaczenia; ponieważ jednak ja sam należałem do jadących w koczku i sam halucynacyi owej doznawałem, powinniście mi wierzyć. Najdziwniejszem w owem złudzeniu było to, że ci, którym udawało się wdrapać do wnętrza, zanim jeszcze zarosły ślady powrozów na ich dłoniach, poczynali również ulegać wpływowi przywidzenia. Co

zaś do tych, których rodzice i dziadowie byli tak szczęśliwi, iż zajęli tam już swoje miejsca, to przeświadczenie o istotnej różnicy pomiędzy ich człowieczeństwem, a człowieczeństwem motłochu było jaknajzupełniejsze. Oczywiście jest, że skutek takiego omamienia musiał objawić się naprzód w zamianie współczucia dla cierpień tłumów na jakieś dalekie i filozoficzne współbolewanie. Wspominam o tem, jako o pewnej okoliczności łagodzącej, którą przytoczyć mogę ku obronie okazywanej przeze mnie samego w owym czasie obojętności na niedolę współbraci.

W r. 1887 zacząłem rok 30-ty. Zaręczony już byłem wówczas z Edythą Bartlett. Podobnie jak i ja, zajmowała ona miejsce w powozie. To znaczy, że już nie będę dalej przedłużał porównania, które, jak sądzę, dało czytelnikowi ogólne o czasach owych wyobrazenie, rodzina jej była bogata. W owym wieku, kiedy same tylko pieniądze rządziły wszystkimi przyjemnościami i pięknościami życia, dość było dla kobiety być bogatą, aby posiadać wielbicieli; ale Edytha Bartlett była również piękną i wdzięczną.

Czytelniczki moje, jak sądzę zaprotestują tutaj. Słyszę jak mówią: „ładną mogła być ona, ale nigdy wdzięczną — w ubiorze, jaki był wówczas w modzie, z dziwacznyem pokryciem głowy, wysokiem na jedną stopę i nieprawdopodobnym niemal rozdęciem sukni z tyłu za pomocą środków sztucznych, co bardziej zmieniało kształty ludzkie, niż jakikolwiek dawniejszy wynalazek krawców. Wyobraźcież sobie kogoś „wdzięcznego” w takim ubiorze!” Zarzut bezwątpienia słuszny; mogę też odpowiedzieć tylko, że podczas kiedy panie wieku XX są miłym uzmysłowieniem

tej prawdy, iż właściwy strój podnosi wdzięki kobiet, to moja pamięć o ich prababkach pozwala mi utrzymać, iż żadne spaczenie ubioru nie może całkowicie wdzięków tych zamaskować.

Ze sprawą ożenienia się czekaliśmy tylko na ukończenie domu, który budowałem właśnie w jednej z najbardziej poszukiwanych dzielnic miasta, t. j. w części zamieszkałej głównie przez bogatych. Należy bowiem zrozumieć, że względne pożądanie rozmaitych dzielnic Bostonu, jako miejsca stałego pobytu, zależało wówczas nie od przyrodzonych ich rysów, ale od charakteru ludności otaczającej. Każda klasa społeczeństwa mieszkała osobno w dzielnicy własnej. Bogaci, mieszkający wśród biednych, albo człowiek o wyższym wykształceniu, mieszkający wśród niewykształconych, wyglądał jak ten, co żyje odosobniony pośród zawistnego i obcego sobie plemienia.

Ukończenie budowy mego domu miało nastąpić w zimie 1886 r. Wiosna roku następnego zastała go jednak niewykończonym i małżeństwo moje musiano odłożyć na później. Przyczyną zwłoki, mogącej doprowadzić do rozpacz, szczególnie zakochanego, był szereg bezroboci t. j. uknutych zgodnie z mow i wstrzymania się od roboty mularzy, zdunów, cieśli, malarzy, blacharzy, oraz innych rzemieślników, zajętych przy budowie domów. Jakie były poszczególne przyczyny owych bezroboci, dziś już nie pamiętam. Stały się one wówczas tak pospolitemi, iż przestano dochodzić za każdym razem ich przyczyn najbliższych. Nie ustawały prawie w tym albo innym dziale przemysłu, a to poczynając od wielkiego przesilenia z r. 1873. Faktycznie stało się już rzeczą

wyjątkową, iżby jakaś klasa pracowników oddawała się bez przerwy swym zajęciom dłużej niż, przez parę miesięcy. Czytelnik, który zauważy datę wspomnianą wyżej, rozpozna niewątpliwie w owych zaburzeniach przemysłu najpierwszą i bezładną jeszcze fazę tego wielkiego ruchu, który zakończył się wprowadzeniem nowożytnego przemysłowego systemu wraz ze wszystkimi jego następstwami społecznymi. Ludziom, spoglądającym dzisiaj wstecz na ową przeszłość wydaje się to wszystko tak jasnym, iż nawet dziecko zrozumie, że nie mogło być inaczej; ale my, ludzie owocześni, nie będąc prorokami, nie mieliśmy jasnego wyobrażenia o tem, co się nam miało przytrafić. Widzieliśmy jedynie, że pod względem przemysłowym, kraj nasz wchodził na drogę bardzo dziwną. Zdawało się, iż stosunki pomiędzy pracownikiem a pracodawcą, pomiędzy pracą a kapitałem zaczynały się rozprzęgać w sposób jakiś niewytłomaczony.

Klasy pracujące całkiem nagle i bardzo powszechnie zaraziły się jakimś głębokiem niezadowoleniem ze swego położenia oraz myślą, że wszystko poszłoby o wiele lepiej, gdyby tylko wiedziały one, jak się do tego zabrać. Ze wszystkich stron, zgodnym chórem wypowiadały one żądania wyższej płacy, krótszych godzin zajęcia, pomieszczeń lepszych, łatwiejszego dostępu do nauki oraz udziału w przyjemnościach i uciechach życia, żądania na zaspokojenie których niepodobna było dojrzec sposobu, jeżeli świat nie stanie się o wiele bogatszym, niż był wówczas. Jakkolwiek klasy owe wiedziały trochę, czego im brakowało, to jednak nie miały wyobrażenia

Rok 2000

BIBLIOTEKA



PODRĘCZKA

2

ANULOWANO

Nr. 4998

o tem, jak braki te zapełnić, zaś ogromny zapal, z jakim gromadzono się dokoła każdego, kto, jak się zdawało, mógł być rzucić niejaki światło na tę sprawę, stawał się przyczyną nagłego rozgłosu wielu prowodyrów, z których niejeden nie wiele mógł ich oświecić. Jakkolwiek dziwaczniemi wydawać się mogły dążenia klas pracujących, to jednak poświęcenie, z jakim wspierały się one wzajem w bezrobociach, będących główną ich bronią, oraz ofiary, jakie ponoszono, byle tylko w nich wytrwać, nie pozwalały wątpić o żarliwości ich zapamiętałej.

Zdania ludzi mojej klasy o ostatecznym wyniku zaburzeń robotniczych, jak nazywano wówczas najczęściej ruch opisany tu przezemnie, różniły się, stosownie do temperamentu osobistego. Sangwiniacy utrzymywali bardzo stanowczo, iż w samej już przyrodzie rzeczy tkwiła niemożność zaspokojenia nowych nadziei pracowników, a to poprostu dlatego, iż świat nie miał czem ich zaspakajać. Jedynie właśnie dlatego, iż masy pracowały bardzo ciężko i skąpo się żywiły, cały rodzaj ludzki nie umierał z głodu odrazu; żadna zaś poprawa ich położenia nie była możliwą, dopóki świat, jako całość, pozostawał tak biednym. Nie do kapitalistów, utrzymywał sangwiniak, winni oni byli żywić uroszczenia, lecz do żelaznych oków ludzkości; to też tylko dzięki grubości swych czaszek, nie mogli oni tak długo odkryć tego faktu, nie godzili się na znoszenie tego, czemu niepodobna było zaradzić.

Mniej sangwiniaczni uznawali to wszystko. Rzecz jasna, iż niemożliwością było spełnienie żądań klas pracujących, a to z powodów naturalnych; ale istniały

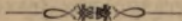
też pewne dane, budzące obawę, iż nie przekonają się one o tem wcześniej, aż sprawią przykre gody ludzkości. Miały one prawo głosowania i możność uczynienia tego, gdy im się spodoba, przywódcy zaś ich mówili im, że było to ich powinnością. Niektórzy z takich ponurych obserwatorów posuwali się aż do przepowiedni groźnego społecznego przewrotu. Ludzkość, mówili oni, wgramoliwszy się na szczyty po szczeblach cywilizacji, miała się potknąć w chaosie, poczem bezwątpienia podniesie się, powstanie i pocznie gramolić się na nowo. Wielokrotne tego rodzaju doświadczenia, w czasach historycznych i przedhistorycznych, tłumaczyły może początek rozmaitych guzów na czaszce ludzkiej. Dzieje ludzkości, jak wszystkie ruchy wielkie, odbywały się kołowo, powracając z czasem do punktu wyjścia. Myśl nieskończonego postępu po linii prostej była urojeniem wyobraźni któremu w przyrodzie nic nie odpowiada. Parabola komety byłaby może lepszem uzmysłowieniem drogi ludzkości. Dążąc ku górze i ku słońcu od swego odśłonecznego punktu barbarzyństwa, rodzaj ludzki dosięgał przysłonecznego punktu cywilizacji po to tylko, aby się pogрузić raz jeszcze w kierunku dolnego krańca dziedziny chaosu.

Naturalnie, był to pogląd skrajny, przypominam jednak sobie, iż zpośród moich znajomych, ludzie bardzo poważni, roztrząsając zjawiska owej epoki, wypowiadali poglądy wielce podobne. W ogólnem mniemaniu ludzi myślących, nie ulegało wątpliwości to, że społeczeństwo zbliża się do jakiegoś okresu krytycznego, który zakończyć się może wielkimi zmianami. Zaburzenia robotnicze, ich przyczyny,

przebieg i leczenie, zajęły były wówczas główne miejsce we wszystkich publikacjach i rozmowach poważnych.

Trudno o bardziej uderzający przykład ówczesnego natężenia nerwowego umysłów nad to, iż powszechną trwogę budziła wtedy wiadomość o małej szajce ludzi, którzy nazywali siebie anarchistami i zamierzali groźbą gwałtów zmusić ludność Ameryki do uznania ich poglądów; jak gdyby potężny naród, który właśnie niedawno uśmierzył był rokosz całej połowy swych obywateli dla utrzymania swego systemu politycznego, mógł łatwo przybrać nowy system społeczny ze strachu.

Jako jeden z ludzi bogatych, silnie zainteresowanych utrzymaniem istniejącego porządku rzeczy, ja sam podzielałem naturalnie uprzedzenia mojej klasy. Szczególna uraza, jaką żywiłem wówczas do klas pracujących, wypływała z tego, że bezrobocia ich odalały moje szczęście małżeńskie.



ROZDZIAŁ II.

Dzień 13 maja 1887 r. przypadał w poniedziałek. Było to doroczne święto narodowe w ostatniej ćwierci XIX stulecia, obchodzone pod nazwą Decoration Day, ku uczczeniu pamięci żołnierzy Unii Północnej, którzy brali udział w wojnie o utrzymanie ogólnego związku Stanów. Weterani owej wojny, w towarzystwie świty wojskowej i cywilnej oraz kompanii muzykantów, udawali się w dniu owym dla zwiedzenia cmentarzy i złożenia wieńców na grobach swoich towarzyszy; obrzęd ten był bardzo uroczysty i wzruszający. Najstarszy brat Edythy Bartlett poległ na owej wojnie; to też w dniu święta rodzina miała zwyczaj odwiedzać Mount-Angur, gdzie spoczywał zmarły.

Poprosiłem o pozwolenie towarzyszenia jej; powróciwszy zaś do miasta o zmroku, zostałem już na obiedzie u rodziców mojej narzeczonej. W pokoju bawialnym, po obiedzie, wziąłem jakąś gazetę wieczorną i dowiedziałem się z niej o nowem bezrobo-

ciu mularzy, co prawdopodobnie jeszcze dalej odsunęłoby sprawę wykończenia mego nieszczęśliwego domu. Przypominam wyraźnie, jak byłem tem zrozpaczony i jakimi obelgami, o ile na to pozwalała obecność pań, obrzuciłem robotników wogóle, zaś bezrobocia te w szczególności. Cieszyłem się wielką sympatyją obecnych, to też uwagi, jakie wypowiadałno później dorywczo o niemoralnem postępowaniu agitatorów robotniczych, byłyby na pewno nabawiły tych panów dzwonięcia w uszach. Zgodzono się powszechnie, że sprawy bardzo szybko zdążyły ku gorszemu oraz, że niepodobna było powiedzieć, co się stanie wkrótce.

— Najgorszem ze wszystkiego, powiedziała, jak przypominam, pani Bartlett, jest to, iż klasy pracujące, jak się zdaje, warjują na całym świecie. W Europie gorzej jest jeszcze, niż tutaj. Z pewnością nie odważyłabym się tam mieszkać. Niedawno pytałam się męża, dokądbyśmy wyemigrowali, gdyby się rozpoczęły wszystkie te okropne rzeczy, jakimi grożą ci socjaliści. Odpowiedział mi, iż obecnie nie zna żadnego miejsca, gdzieby porządek społeczny mógł być dzisiaj trwałym, oprócz Patagonii, Grenlandyi i Cesarstwa Chińskiego.

— Wiedzieli Chińczycy, co robili—wtrącił ktoś inny—gdy nie wpuszczali do siebie naszej cywilizacyi zachodniej. Lepiej od nas wiedzieli oni, do czego to doprowadzi. Widzieli też, że był to tylko zamaskowany dynamit.

Potem, jak przypominam sobie, odciągnąłem Edythę na stronę, usiłując ją przekonać, iż byłoby lepiej pobrać się zaraz, nie czekając na ukończenie

domu, a spędzając aż do chwili wybudowania go cały czas w podróży. Była szczególnie ładną owego wieczora. Strój załobny, jaki przywdziała na pamiątkę dnia tego, znakomicie podnosił świeżość jej cery. Nawet teraz mam ją przed oczami ducha taką samą, jaką była wówczas. Kiedym się pożegnał, odprowadziła mnie do przedpokoju, gdzie pocałował ją, jak zwykle przy rozstaniu. Nic nie wyróżniało pożegnania tego od innych dawniejszych. Nie miałem najmniejszego przecucia, a sędzę, że i ona nie miała go również, iżby w tem było coś więcej nad zwykłą rozłąkę.

A jednak!

Godzina pożegnania się z narzeczoną była cokolwiek może zawczesna, jak dla zakochanego, ale nie z mojej winy. Cierpiałem oddawna na bezsenność i jakkolwiek byłem zupełnie zdrow, czułem się jednak bardzo znużonym, gdyż w ciągu uprzednich dwóch nocy prawie nie spałem. Edytha wiedziała o tem i usilnie też odprowadziła mnie do domu o godzinie 9, ze stanowczym rozkazem, abym się położył natychmiast.

Dom, w jakim mieszkałem, zajmowany już był przez trzy pokolenia rodziny, której ja byłem jedynym żyjącym przedstawicielem w linii prostej. Było to stare duże drewniane domostwo, urządzone wewnątrz bardzo wytwornie i po staroświecku, ale położone w dzielnicy, która oddawna przestała już być pożądanem miejscem zamieszkania, z powodu mnóstwa fabryk i mieszkań najemnych. Nie był to bynajmniej dom, do którego bym mógł wprowadzić żonę, tak delikatną jak Edytha Bartlett. Miałem go też sprzedać i posługiwałem się nim teraz jedynie w cza-

się snu, obiadując w klubie. Jeden jedyny sługa, wierny murzyn, imieniem Sawyer, mieszkał ze mną i zaspakajał moje skromne potrzeby. Jednego tylko szczegółu żałowałbym bardzo, rozstając się z owym domem, a to sypialni mojej, urządzonej w piwnicy. Nie mógłbym wcale zasnąć w mieście przy jego nieustających odgłosach nocnych, gdybym zmuszony był sypiać na górze. Ale do tej podziemnej komnaty szmer żaden nigdy nie przeniknął. Kiedym wszedł do niej i zamknął drzwi za sobą, otaczała mnie cisza grobowa. Dla zapobieżenia wilgoci, bardzo grube ściany i podłoga, wyłożone były cementem hydraulicznym. Dla osłonięcia zaś pokoju, zarówno przed napadem jak i pożarem, dla możliwości przechowywania w nim rzeczy wartościowych, kazałem zrobić nad nim sklepienie z hermetycznie spojonych brył kamiennych. Nakoniec, żelazne drzwi zewnętrzne, okryte były grubą powłoką asbestu. Wazka rurka łącząca wewnątrz pokoju z wentylatorem, umieszczonym na szczycie domu, służyła do odświeżania powietrza.

Zdawaćby się mogło, iż mieszkaniec takiego pokoju powinienby był być w stanie nakazać sobie sen; pomimo to jednak rzadko zdarzało się, iżbym spał dobrze dwie lub trzy noce z rzędu. Tak dalece przyzwyczajony byłem do czuwania, iż nic nie znaczyło dla mnie bezsenne spędzenie jednej nocy. Druga jednakże noc, spędzona w fotelu nad książką, nie zaś w łóżku, męczyła mnie już bardzo; nigdy też, z obawy zaburzeń nerwowych, nie pozwalałem sobie na dłuższą bezsenność. Ze słów tych mógłby ktoś wnosić, że posiadał jakiś sztuczny środek sprowadzania

snu w razach ostatecznych; tak było istotnie. Kiedy po dwóch nocach bezsennych nie czułem jeszcze chęci do spania, za nadejściem trzeciej wezwałem D^{ra} Pillsbury.

Był on doktorem przez grzeczność tylko, był tem, co nazywano wówczas, doktorem-samozwańcem albo szarlatanem, nazywał siebie profesorem magnetyzmu zwierzęcego. Poznałem się z nim wskutek moich dyletanckich badań zwierzęcego magnetyzmu. Nie sądziłem, iżby znał się na medycynie, ale niewątpliwie był on wybitnym hypnotyzerem. To też, kiedy trzecia noc groziła mi bezsennością, posłałem po niego, aby mnie uspił. Jakiegokolwiek bywało podniecenie mych nerwów albo przejęcie się umysłu, D^r Pillsbury zawsze umiał po krótkiej chwili pograćżyć mnie w głębokiej drzemce, która trwała aż do czasu obudzenia mnie przy pomocy sposobów odwrotnych. Sposoby te były o wiele prostsze, niż samo usypianie; to też dla dogodności uprosiłem doktora, aby nauczył tej sztuki mego służącego.

Tylko Sawyer, wierny mój sługa, wiedział w jakim celu przychodził do mnie dr. Pillsbury, lub że w ogólności przychodził on do mnie. Rzecz jasna, że kiedyby Edytha została moją żoną, wyjawilibym jej ową tajemnicę. Dotąd jednak nie mówiłem nic, gdyż niewątpliwie było pewne niebezpieczeństwo w owej mesmeryzacyi i wiedziałem, że narzeczona sprzeciwiać się będzie tej mojej praktyce. Niebezpieczeństwo polegało na tem, iż sen mógł się stać zbyt głębokim i zamienić się w letarg śmiertelny, z którego nie mógłby obudzić hypnotyzer. Wielokrotne doświadczenia przekonały mnie jednak zupeł-

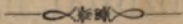
nie, że niebezpieczeństwo to było bardzo nieznaczne, jeśli się przedsięwzięło odpowiednie środki ostrożności; miałem też jaką taką nadzieję, że przekonam o tem Edythę. Rozstawszy się z nią, powróciłem prosto do domu i natychmiast posłałem Sawyera po Dr^a Pillsbury'ego. Nie tracąc czasu, dostałem się do mojej sypialni podziemnej, zmieniłem ubranie i usadowiłem się wygodnie do czytania listów, które Sawyer położył mi na stoliku.

Jeden z nich pochodził od przedsiębiorcy mego nowego domu i potwierdzał wiadomość, jaką powziąłem już był z gazet. Nowe bezrobocia odkładały wykończenie budowy na czas nieograniczony, gdyż ani majstrowie, ani robotnicy, nie zgodziliby się na ustępstwa bez długiej walki. Kaligula pragnął, aby naród rzymski miał jedną tylko głowę, którąby on mógł ściąć odrazu; ja zaś, po przeczytaniu owego listu, byłem przez chwilę zdolny pragnąć tego samego odnośnie do klas pracujących Ameryki. Przybycie służącego z doktorem przerwało to moje ponure rozmyślanie.

Okazało się, że i doktor z trudnością mógł być zaspokoić moje żądanie, gdyż tej samej nocy miał on opuścić miasto. Opowiedział mi, że po ostatnim widzeniu się ze mną, dowiedział się o korzystnym wakansie dla hypnotyzera w jednym z miast odległych, z czego postanowił skorzystać. Na zapytanie moje wypowiedziane z przestraczem, kto mnie teraz będzie usypiał, wymienił mi kilka nazwisk hypnotyzerów bostońskich, upewniając, że posiadają oni równie wielką władzę usypiania.

Uspokojony nieco pod tym względem, kazałem

Sawyerowi obudzić mnie nazajutrz o 9-ej, a, położysz się w szlafroku do łóżka i przybrawszy postawę jaknajdogodniejszą, poddałem się operacyjom hypnotyzera. Prawdopodobnie, dzięki niezwykłemu stanowi moich nerwów, wolniej niż zwykle traciłem świadomość, ale ostatecznie rozkoszna senność owdłoneła mną zupełnie.



ROZDZIAŁ III.

— Zaraz otworzy oczy. Lepiej będzie, gdy zobaczy kogós jednego z nas.

— Przyrzeknij więc mi, że nic mu nie powiesz.

Pierwsze zdanie wypowiedział mężczyzna, drugie kobieta, oboje zaś mówili szeptem.

— Zobaczę, jak się będzie czuł — odpowiedział mężczyzna.

— Nie, nie! przyrzeknij mi — nalegał głos inny.

— Zróbże już tak, jak prosi — szepnął trzeci głos, również kobiecy.

— Dobrze, dobrze, obiecuję. Wychodźcie prędzej, już się budzi.

Rozległ się szmer sukien kobiecych, ja zaś otworzyłem oczy. Przystojny mężczyzna, lat może około 60-u, pochylał się nademną z wyrazem życzliwości, a zarazem wielkiej ciekawości na twarzy. Był mi całkiem nieznanym. Uniosłem się na łokciu i spojrzałem dokoła. W pokoju nie było nikogo więcej. Z pewnością, nie znajdowałem się nigdy ani tam, ani

w żadnym innym umeblowanym podobnie. Spojrza-
łem znowu na mego towarzysza; ten się uśmiechnął

— Jakże się pan czujesz — zapytał.

— Gdzie ja jestem? — odparłem mu zamiast od-
powiedzi.

— Jesteś pan u mnie.

— Jak się tu znalazłem?

— Pomówimy o tem później, gdy pan będziesz
silniejszym. Tymczasem proszę, abys był zupełnie
spokojny. Jesteś pan wśród przyjaciół i w dobrych
rękach. Jakże się pan czujesz?

— Trochę dziwnie, odparłem, ale, jak sędzę,
dobrze. Czy powie mi pan, w jaki sposób zawdzię-
czam mu tę gościnność? Co mi się przytrafiło, jak się
znalazłem tutaj? Wszak zasnąłem w moim własnym
domu.

— Dość będzie czasu na objaśnienia później —
odpowiedział mój nieznamy gospodarz z uśmiechem,
dodającym otuchy. — Byłoby lepiej unikać wszelkich
rozmów podniecających, dopóki nie przyjdiesz pan
całkiem do siebie. Czy nie byłbyś pan łaskaw przeł-
knąć parę haustów tej oto mikstury? To panu ulży.
Ja jestem lekarzem.

Odsunąłem szklaneczkę z lekarstwem i, jakkol-
wiek z wysiłkiem, usiadłem na łóżku, głowa moja
była dziwnie lekką.

— Pragnę wiedzieć natychmiast, gdzie jestem
i coś pan ze mną robił?

— Drogi panie—odpowiedział mój towarzysz—
uspokój się pan proszę. Chciałbym, abys pan tak
nie nalegał o te wiadomości, jeżeli jednak chcesz te-
go koniecznie, postaram się zaspokoić pana, ale

przedewszystkiem zechciej zażyć tego oto napoju, który cię wzmacni.

Wypiłem lekarstwo, on zaś ciągnął dalej.

— Nie jest to rzeczą tak prostą, jak pan widocznie przypuszczasz, powiedzieć panu, jakeś się tu dostał. Pan mógłbyś mnie w tej mierze oświecić tyleż, co i ja pana. Ocknąłeś się pan właśnie z głębokiego snu, albo, mówiąc lepiej, z letargu. Tyle mogę panu powiedzieć. Utrzymujesz pan, żeś był we własnym swym domu, gdyś zasypiał. Czy mogę zapytać kiedy się to stało?

— Kiedy? odpowiedziałem, ależ wczoraj o 10-ej wieczorem. Sawyerowi kazałem, aby mnie obudził o 9-ej. Cóż się z nim stało?

— Nie mogę panu powiedzieć tego dokładnie— odparł mój towarzysz, patrząc na mnie z jakimś dziwnym wyrazem twarzy — ale jestem pewny, że nieobecność jego tutaj da się usprawiedliwić. A teraz czy nie mógłbyś mi pan powiedzieć wyraźniej kiedy popadłeś w sen; chciałbym wiedzieć datę.

— Jużci wczoraj, jak już powiedziałem, rozumie się—jeśli nie przespał całego dnia. Wielki Boże, czyżby to było możliwe; a jednak doznaję takiego uczucia, jak gdybym spał bardzo długo. Poszedłem spać w dzień święta narodowego.

— Narodowego święta?

— Tak, w poniedziałek, 30.

— Przepraszam, 30, którego?

— Jakto, 30 tego miesiąca, ma się rozumieć, jeśli nie przespał aż do czerwca, ale to nie możliwe.

— Obecnie mamy wrzesień.



— Wrzesień! wszak nie sądzisz pan, żeś spał od maja? Boże wielki, ależ to nie do uwierzenia.

— Zaraz, zaraz—odpowiedział mój towarzysz—powiadasz pan, żeś zasnął 30 maja.

— Tak.

— Czy mogę się spytać którego roku.

Wytrzeszczyłem na niego oczy, niezdolny przez kilka chwil wymówić ani jednego słowa.

— Którego roku? powtórzyłem wreszcie głosem przybitym.

— Tak, jeżeli łaska, którego roku? skoro, jakieś pan tego żądał, mam panu powiedzieć jak długo spałeś.

— Był wówczas rok tysiąc osiemset osiemdziesiąty siódmy...

Towarzysz mój wymógł na mnie, abym jeszcze raz zażył napoju ze szklaneczki; zbadał przytem stan mego pulsu.

— Drogi panie — mówił dalej — zachowanie się pańskie wskazuje, iż jesteś pan człowiekiem wykształconym, co, o ile wiem, nie było rzeczą powszednią za waszych czasów; bezwątpienia zrobiłeś pan już sam spostrzeżenie, że na tym świecie niema nic tak dziwnego, o czemby słusznie powiedzieć było można, iż jest rzeczą najdziwniejszą. Wszelkie zjawisko ma właściwą sobie przyczynę, wszelka zaś przyczyna odpowiednie skutki. Bezwątpienia uderzy pana to, co mu teraz powiem, ufam jednak, iż nie dasz się pan zbyt unieść wzruszeniu. Powierzehowność pana zdradza młodego mężczyznę lat zaledwie 30-tu, zaś stan jego obecny niewiele różni się od stanu człowieka, któryby dopiero co wstał z przydługiego

niec i zbyt głębokiego snu; a jednak mamy obecnie 10 września roku 2000, spałeś więc pan dokładnie 113 lat, 3 miesiące i 11 dni.

Uczuwając jakiś zawrót w głowie, wypilem znowu za poradą mego towarzysza filiżankę jakiegoś rosolu i, uczuwszy natychmiast wielką senność, zasnąłem po raz drugi głęboko.

Kiedym się ocknął, był już jasny dzień w pokoju, który przy pierwszym mem obudzeniu miał oświetlenie sztuczne. Tajemniczy mój gospodarz siedział w pobliżu. Nie patrzył on na mnie, kiedym otwierał oczy, to też miałem dobrą sposobność studyjowania go i rozmyślenia nad mojem położeniem niezwykłym, zanim spostrzegł, że już nie śpię. Zawrót głowy opuścił mnie zupełnie i umysł odzyskał całą swą jasność. Historyja o tem, że m przespał 113 lat, którą przyjąłem był w stanie osłabienia bez wszelkich zastrzeżeń, przedstawiła mi się teraz, jako brutalna próba oszukania mnie, której pobudek nie mogłem odgadnąć nawet w przybliżeniu.

Bez wątpienia musiało się zdarzyć coś niezwykłego, gdyż inaczej nie byłbym się znalazł w tym dziwnym domu i w towarzystwie nieznanego mi człowieka, ale wyobraźnia moja, oprócz przypuszczeń najdzikszych, niezdolną była wynaleźć nic ku wytłomaczeniu tej sprawy. Czyżbym padł ofiarą jakiegoś spisku? Zakrawało na to, a jednak jeżeli rysy twarzy ludzkiej mogły w ogóle świadczyć prawdziwie, to nie ulegało wątpliwości, że ten mężczyzna o obliczu tak pięknem i rozumnem, nie mógł być uczestnikiem jakiejś zbrodni albo oszustwa. Następnie, przyszło mi na myśl, że mozem się stał ofiarą jakiegoś

żartu moich przyjaciół, którzy dowiedzieli się o tajemnicy mojej sypialni podziemnej i użyli tego środka, aby mnie przekonać o niebezpieczeństwie doświadczeń hypnotyzerskich. Trudno jednak było przypuszczać coś podobnego. Sawyer nie byłby mię zdradził nigdy; z drugiej strony nie miałem też przyjaciół zdolnych do podobnego przedsięwzięcia. Z tem wszystkiem jednak, przypuszczenie, że się stał igraszką żartu, było jedynie możliwe do przyjęcia. Rozejrzałem się skrzętnie po pokoju, żywiąc niejaką nadzieję, że z poza krzesła albo z za kotary zobaczę którąkolwiek ze znajomych mi twarzy, z uśmiechem ku mnie patrzącą. Kiedy wzrok mój zatrzymał się na towarzyszu, ten spojrzał na mnie.

— Chrapnąłeś pan sobie ze dwanaście godzin— powiedział wesoło. — Widzę, że pomogło to panu. Wyglądasz pan znacznie lepiej, cerę masz dobrą, oczy pełne blasku. Jakże się pan czujesz?

— Nigdy nie czułem się lepiej, odrzekłem siadając.

— Przypominasz pan sobie zapewne pierwsze twoje obudzenie oraz zdziwienie twoje, kiedym powiedział panu, jak długo spałeś.

— Powiedziałeś pan, jak sądzę, że spałem lat 113.

— Tak właśnie.

— Czy nie przypuszczasz pan, dodałem z uśmiechem ironicznym, że historyja ta była nieco nieprawdopodobna.

— Zgadzam się, iż była nadzwyczaj nieprawdopodobna—odpowiedział mi— ale, w pewnych warunkach, nie była ona ani nieprawdopodobną, ani też niezgodną z tem, co wogóle wiemy o śnie letar-

gicznym. W letargu zupełnym, jaki się przytrafił panu, czynności życiowe całkowicie są zawieszane, tkanki zaś nie zużywają się wcale. Nie podobna wówczas określić długości trwania letargu, jeśli tylko zewnętrzne warunki osłaniają ciało przed uszkodzeniem fizycznym. Pański letarg jest istotnie najdłuższym z pomiędzy tych, o jakich przechowała się pamięć; gdyby jednak pana nie odkryto i gdyby pokój, w którym się pan znajdował, był w dalszym ciągu nietkniętym, to nie widzę powodu, dla którego nie miałbyś pozostawać w stanie owego zawieszenia życia aż do końca nieokreślonego szeregu wieków, aż do chwili, kiedy powolne ochładzanie się ziemi zburzyłoby twe tkanki i uwolniło duszę.

Musiałem przyznać, że, jeśli istotnie był ofiarą żartu, to autorowie jego wybrali sobie znakomitego pomocnika do prowadzenia swych kuglarstw. Wyrazisty, a nawet wymowny sposób zachowywania się tego człowieka, zdolnyby był przekonać kogoś, że księżyc zrobiony jest z sera. Uśmiech, z jakim spoglądałem nań, gdy wykladał swoją hipotezę letargu, jak się zdawało, nie wprawiał go w zamięszanie.

— Może też, odrzekłem, będziesz pan jeszcze łaskaw opowiedzieć mi bardziej szczegółowo, w jaki sposób odkryliście ów pokój i jaką była jego zawartość. Lubię ładne bajki.

— W tym wypadku—odpowiedział on poważnie—żadna bajka nie byłaby tak dziwną jak prawda. Musisz pan wiedzieć, że ja w ciągu lat ostatnich nosiłem się z myślą zbudowania w wielkim, przylegającym do tego domu, ogrodzie pracowni naukowej do chemicznych doświadczeń, w jakich mam upodobanie.

W zeszły czwartek poczęto wreszcie kopać fundamenty. Ukończono robotę wieczorem, a w piątek mieli już przyjść mularze. Z czwartku na piątek mieliśmy straszną ulewę, a w piątek zrana znalazłem sadzawkę na miejscu wykopów, boki zaś ich rozmyła całkowicie woda. Córka moja, która przyszła również, aby przyjrzeć się zniszczeniu, zwróciła moją uwagę na węgiel jakiegoś muru, obnażonego wskutek rozmycia wykopów. Odgarnąłem nieco ziemię i znalazłszy, iż była to część większej budowy, postanowiłem ją zbadać. Wezwani do tego robotnicy odkopali w głębokości stóp jakich ośmiu pod ziemią, długie sklepienie, wspierające się na owym węgle, który widocznie należał kiedyś do fundamentów wzniesionej ponad nimi ściany. Warstwa popiołu i żużli na wierzchu sklepienia wskazywały, iż dom spłonął był w ogniu. Samo sklepienie jednak pozostało nietkniętem, cement zaś był jaknajzupełniej nieuszkodzony. Znajdywały się tam również drzwi, ale myśmy ich nie odbijali, robiąc sobie raczej wejście przez usunięcie jednej z płyt, tworzących sufit. Wionęło na nas powietrze duszne ale czyste, suche i niechłodne. Zstąpiwszy na dół z latarką, ujrzałem się w pokoju, urządzonej jak sypialnia, w stylu XIX wieku. Na łóżku leżał młody mężczyzna. Uważaliśmy naturalnie za rzecz dowiedzioną, że był umarłym i, że umarł już był przed stu laty, ale dziwnie dobry stan, w jakim zachowało się jego ciało, w zdumienie wprawił mnie i wezwanych kolegów-lekarzy. Nie sądziliśmy, iżby kiedykolwiek posiadano sztukę tak dobrego balsamowania, a jednak, jak się zdawało, mieliśmy przed sobą dowód przekonujący, że

sztukę taką posiadali nasi przodkowie bezpośredni. Koledzy moi, bardzo zaciekawieni chcieli zaraz przedsiębrać doświadczenia, aby się dowiedzieć coś o przyrodzie środków, użytych w tej sprawie, ale ich powstrzymał. Pobudką takiego kroku, a przynajmniej jedyną o jakiej teraz mogę powiedzieć, było dla mnie przypomnienie tego, com czytał kiedyś o upowszechnionym wśród waszych współczesników uprawianiu magnetyzmu zwierzęcego. Zdawało mi się rzeczą całkiem zrozumiałą, iż mogłeś się pan znajdować w letargu oraz, że tajemnicą zachowania pańskiego ciała była nie sztuka balsamowania ale samo życie. Myśl ta była tak fantastyczną nawet dla mnie, że się nie odważyłem wspomnieć o niej przed kolegami, z obawy narażenia się na śmieszność; dałem więc im inny jakiś powód odłożenia doświadczeń. Nie wcześniej jednak, aż gdy odeszli, rozpocząłem systematyczne próby wskrzeszania pana, których wynik jest panu wiadomy.

Gdyby treść opowiadania była jeszcze bardziej nieprawdopodobną, to drobiazgowość jego, jak również i zachowanie się osobistości opowiadającego, mogły być oszołomić słuchacza; to też czułem się bardzo jakoś dziwnie, gdy kończył rzecz swoją i kiedy ujrzałem swoje odbicie w wiszącym naprzeciwko mnie lustrze. Wstałem i podszedłem doń bliżej. Twarz, jaką ujrzałem, ani o włos nie była starszą od tej, na którą patrzyłem, kiedyś zawiązywałem krawat, udając się do Edythy w dzień święta, obchodzonego, jak mówił ten człowiek przed 113-tu laty. Znowu owładnęło mną przekonanie, że jestem igraszką kolosalnego żartu. Oburzyło mnie to niezmiernie.

— Dziwisz się pan zapewne—powiedział mój towarzysz—że chociaż starszy jesteś o całe stulecie, niż wówczas, kiedyś szedł spać w swoim podziemnym pokoju, powierzchowność twa nie zmieniła się jednak. Nie powinno to pana dziwić. Przetrwałeś ten długi okres, jedynie dzięki całkowitemu zawieszeniu wszystkich czynności życiowych. Gdyby ciało twe ulegało jakim zmianom przez czas letargu, nie żyłbyś już dawno.

— Panie, powiedziałem, zwracając się do niego, jaką może być pobudka pańska prawienia mi, z obliczem poważnem, tych niedorzeczności, odgadnąć nie mogę: sądzę jednak, iż jesteś pan zbyt rozumny, aby myśleć, iż uwierzy temu człowiek nie pozbawiony rozsądku. Oszczędź mi przeto, proszę, tych pracowitych zmyśleń i powiedz raz na zawsze, czy nie zgadzasz się dać mi należytego wyjaśnienia, gdzie jestem i jak się tu znalazłem. Jeżeli nie, to postaram się dowiedzieć o tem bez względu na jakiegokolwiek przeszkodę.

— Więc nie wierzysz pan, że jest teraz rok 2000?

— A pan istotnie sądzisz, że potrzeba mnie o to pytać?

— Wybornie—odpowiedział mój niezwykley gospodarz—ponieważ ja nie mogę pana przekonać, przekonasz się pan o tem sam. Czy jesteś pan dość silny, aby pójść ze mną na górę?

— Jestem tak silny jak zawsze, odparłem gniewnie, i mogę tego dowieść, jeżeli farsa ta trwać będzie zbyt długo.

— Proszę cię, panie—odpowiedział mój towarzysz—abyś nie poddawał się zbyt łatwo przeświadczeniu, iż jesteś ofiarą żartu, w przeciwnym razie zbyt wielką będzie reakcja, gdy się przekonasz o prawdziwości mych twierdzeń.

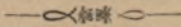
• Ton uprzejmości i współczucia, z jakimi to wymówił, oraz brak wszelkich śladów goryczy z powodu moich słów porywczych przedziwnie mnie uśmierzył; wyszedłem też za nim z pokoju, miotany najdziwniejszemi wzruszeniami. Przeprowadził mnie on przez dwoje schodów, a potem po kilku jeszcze stopniach, aż znaleźliśmy się wreszcie na belwederze, leżącym na szczycie domu.

— Bądź pan łaskaw rozejrzeć się wkoło—rzekł do mnie, gdyśmy dosięgli wzniesienia—i powiedzieć mi, czy to jest ten sam Boston, jaki pan znałeś w wieku XIX.

U stóp moich leżało wielkie miasto: szerokie kilkomilowej długości ulice, ocienione drzewami i zabudowane pięknymi domami, najczęściej nieprzylegającymi do siebie, lecz poddzielanymi kratą, bieglą we wszystkich kierunkach. W każdej dzielnicy wiadać było wielkie otwarte skwery, zasadzone drzewami, wśród których bieleły się posągi i połyskiwały wodotryski, odbijając promienie zachodzącego słońca. Ogromnych rozmiarów gmachy publiczne, o architekturze wspaniałej, której nie dorównywało budownictwo mnie współczesne, piętrzyły się szeregami wyniosłych kolumn. Niewątpliwie nie widziałem nigdy ani tego miasta, ani żadnego innego, któreby można było z niem porównać. Podniósłszy wreszcie oczy ku widnokręgowi, spojrzałem w końcu na za-

chód. Ta błękitna wstęga, gorejąca srebrem na słońcu, nie byłże to kręty Charles? Spojrzałem na wschód: przystań bostońska rozścielała się przedemną ze wszystkimi swemi cyplami; nie brakło ani jednej z jej zielonych wysepek.

Zrozumiałem wówczas, że prawdą były owe dziwy, o jakich mi mówiono, a jakie miały mi się przytrafić.



ROZDZIAŁ IV.

Nie postradałem czucia, ale wysiłek, jaki ponieść musiałem, aby uprzytomnić sobie swe położenie, przyprawił mnie o wielki zawrót głowy; przypominam, że towarzysz musiał mnie silnie wesprzeć swem ramieniem, sprowadzając z galeryi do obszernego pokoju, na górnym piętrze domu, gdzie wymógł na mnie, abym wypił z parę szklanek dobrego wina i trochę się posilił.

— Sądzę, że ma się pan teraz dobrze—rzekł do mnie.—Nie byłbym może wybrał tak gwałtownych środków przekonania pana, gdyby jego zachowanie się, całkiem zresztą usprawiedliwione w tym położeniu, nie zmusiło mnie poniekąd do tego. Wyznaję—dodał, uśmiechając się—iż była chwila, w której się obawiałem, że podlegnę temu, co wyście w wieku XIX nazywali przetrzepaniem, jeśli nie będę działał z pośpiechem. Przypominam sobie, że bostończycy waszych czasów byli znakomitymi bokserami; to też lepiej było nie tracić czasu. My-

ślę, że teraz pan uwolnisz mnie od posądzeń, od zarzutu mistyfikacyi.

— Gdybys pan powiedział, odrzekłem głęboko wzruszony, że tysiąc lat, nie sto, upłynęło od czasu, kiedym poraz ostatni patrzył na to miasto, uwierzyłbym panu.

— Tylko sto lat minęło; ale wiele tysiącoleci w dziejach ludzkości nie widziało może przemian tak niezwykłych. A teraz—dodał wyciągając rękę z wyrazem wielkiej serdeczności— pozwól mnie pan powitać siebie jako miłego gościa dzisiejszego Bostonu XX stulecia i tego domu. Nazywam się Leete; wszyscy nazywają mnie doktorem Leete.

— Moje nazwisko, odrzekłem, wstrząsając jego ręką, jest Julian West.

— Bardzo uszczęśliwiony jestem znajomością z panem. Ze względu na to, iż dom ten stoi na miejscu pańskiego, mam nadzieję, że pan łatwo będziesz się czuł tutaj, jak u siebie.

Kiedym się posilił, doktor Leete zaproponował mi kąpiel i zmianę ubrania.

Jak się zdawało, w strojach ludzi nie zaszła żadna z owych zmian uderzających, o jakich mówił doktor, gdyż z wyjątkiem paru drobnych szczegółów, moje nowe szaty nie raziły mnie niczem.

Pod względem cielesnym byłem znowu sobą, ale nie zdziwi się czytelnik, że inaczej się działo pod względem umysłowym. Co się odbywało w moich myślach i uczuciach, kiedym się nagle ujrzał jak gdyby przeniesionym do nowego świata! W odpowiedzi poproszę czytelnika, iżby wyobraził sobie, że w jednej chwili przeniesiono go np. z ziemi do raju

albo do hadesu. Czy wyobrażacie sobie, czegobyście wówczas doświadczali? Czy chcielibyście jaknajprędzej powrócić na ziemię, dopieroco opuszczoną, czyli też po pierwszym wstrząśnieniu zapomnielibyście o niej, pod wpływem zajęcia, jakie obudziłoby w was nowe otoczenie. Sądzę, że gdybyście doświadczali uczuć podobnych moim, to drugie przypuszczenie okazałoby się prawdopodobniejszem. Uczucia zdziwienia i ciekawości, tak dalece zaprzątnęły moją duszę po pierwszym wstrząśnieniu, iż niezdolny byłem myśleć o czemkolwiek innem nad to, co mnie otaczało. Przez jakiś czas pamięć o mojem życiu dawniejszem była jak gdyby nieobecna.

Kiedym się tylko pokrzepił, dzięki uprzejmości mego gospodarza, zapragnąłem natychmiast powrócić na galeryję; usadowaliśmy się teraz wygodnie w krzesłach, pod nami zaś i dokoła nas rozciągało się miasto. Kiedy już doktor Leete odpowiedział na moje liczne pytania co do dawnych gmachów, jakie były znikły, oraz co do nowych, które je zastąpiły, wówczas sam zwrócił się z zapytaniem do mnie, pragnąc się dowiedzieć, co szczególnie uderzało mnie w mieście nowem, gdym porównywał je w myśli ze starem.

— Jeśli wolno naprzód mówić o rzeczach małych, to sądzę, że najpierwej zadziwił mnie zupełny prawie brak kominów na domach i dymu.

— A!—zawołał mój towarzysz z wielkiem ożywieniem—zapomniałem już o kominach, tak dawno wyszły one z użycia. Już prawie sto lat dobiega, jak dawny sposób opalania domów, który dostarczał wam ciepła, należy do przeszłości.

— Wogóle, rzekłem, co najbardziej uderza mnie w mieście, to dobrobyt materyjalny jego mieszkańców, jakiego domyślać się każe wspaniałość samego grodu.

— Wiele dałbym za to, abym mógł rzucić okiem na Boston waszych czasów—odpowiedział doktor Leete.— O ile wnosić wolno ze słów pańskich, miasta wasze były dość nędzne. Jeżeliście posiadali dość smaku, aby je uczynić świetnymi, o czem nie wątpię, to powszechne ubóstwo, wypływające z waszego niezwykłego systemu przemysłowego, nie dało wam na to środków. Co większa, nadmierny indywidualizm, jaki wówczas panował, nie zgadzał się z duchem uczuć społecznych. Jakikolwiek mieliście bogactwo, wszystko, jak się zdaje, trwoniono na zbytek prywatny. Dzisiaj przeciwnie: nie masz bardziej popularnego zużytkowania nadmiaru bogactw jak przyozdobienie miasta, z czego korzystają wszyscy w równej mierze.

Słońce już zachodziło, kiedyśmy weszli na galerję, a podczas rozmowy naszej noc zapadła nad miastem.

— Sciemnia się — zauważył doktor — zejdzmy już na dół, zapoznam pana z moją żoną i córką.

Słowa jego przypomniały mi owe głosy kobiece, których szept słyszałem przy pierwszym mem obudzeniu; pełen ciekawości, jak też wyglądają panie z r. 2000, przystałem jaknajchętniej na propozycję. Pokój, w którym zastaliśmy żonę i córkę mego gospodarza, jak również i całe wnętrze domu, napełnione były łagodnem światłem, które uznać musiałem za sztuczno, jakkolwiek nie mogłem dojrzeć je-

go źródła. Pani Leete była to kopia wyjątkowo dobrze wyglądająca i zachowana, w wieku mniej więcej swego męża; córka zaś jej zaledwie rozkwitająca, była najpiękniejszą dziewczyną, jaką kiedykolwiek widziałem. Twarz jej, równie piękna jak i niebieskie głębokie oczy, cera delikatna i doskonałe rysy, a nadto przepyszne kształty jej figury, byłyby dały jej wybitne miejsce w szeregu piękności XIX wieku nawet wówczas, gdyby postać jej nie miała swoich uroków szczególnych. Miękkosć i delikatność kobieca rozkosznie kojarzyły się w tej miłej istocie z ogólnym pozorem zdrowia i siły żywotnej, czego brakowało tak często dziewczętom, z jakimi jedynie mogłem ją porównywać. Był tu jeden jeszcze zbieg okoliczności, błahy wobec całej niezwykłości położenia, niemniej jednak uderzający, ten mianowicie, że miała ona imię Edythy.

Wieczór, jakismy spędzili, był zapewne jedynym w dziejach stosunków towarzyskich; niesłusznością jednak byłoby wielką przypuszczać, że rozmowę naszą cechowała jakaś niezwykła sztywność lub trudność. Sądzę istotnie, że, w okolicznościach nienaturalnych lub niezwykłych, ludzie zachowują się zwykle w sposób najbardziej naturalny, a to z tego powodu, iż okoliczności takie rugują wszelką sztuczność. Wiem przynajmniej, że obcowanie moje owego wieczora z przedstawicielkami innego wieku i świata, odznaczało się taką szczerością i prostotą, jaka nie zawsze wieńczy długą nawet znajomość. Bezwątpienia, niezrównany takt moich współbiedniczek znacznie się do tego przyczyniało. Rzecz jasna, iż i o niczem nie mogliśmy mówić, jak tylko

o dziwnej przygodzie, wskutek której tam się znalazłem, ale rozmawiały one o tem z tak naiwnem i szczerem zajęciem, iż w znacznej mierze uwalniały nas od pierwiastku zabobonnej trwogi, jakie tak łatwo mogły nami ovladnąć. Zdawałoby się, iż całym przyzwyczajone były do prowadzenia rozmów z wysłańcami innego świata.

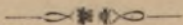
Co do mnie, to nie przypominam sobie większej lekkości i przenikliwości mego umysłu, niż ta, jaką czułem wówczas. Nie chcę naturalnie powiedzieć, iżby mnie choć na chwilę opuściła była świadomość mego dziwnego położenia, ale skutek jej polegał głównie na tem, iż umysł mój znajdował się w stanie jakiegoś gorączkowego podniecenia, jak gdyby jakiegoś zatrucia. Dla wytłómaczenia tego stanu, przypomnieć należy, że z wyjątkiem niektórych miejsc naszej rozmowy, nic w mojem otoczeniu najbliższem nie przypominało o tem, co mi się przytrafiło. Na własnych śmieciach, w starym Bostonie, mógłbym się być znaleźć nieraz w towarzystwach bardziej obcych. Mowa bostończyków XX stulecia mniej różni się od języka ich wykształconych przodków, niżli mowa tych ostatnich od języka Washingtona i Franklina; co zaś do różnicy w ubiorach i sprzętach, to nie była ona większa od tej, jaką za moich czasów wprowadzała odmienna moda.

Edytha Leete nieznaczny brała udział w rozmowie, natomiast ile razy pociągany urokiem jej piękności spojrziałem na nią, zawsze oczy jej wpatrzone były we mnie z wielkiem natężeniem, jak gdyby pod wpływem czarów. Widocznem było, że budziłem w niej zajęcie niezwykle, co nie zadziwi nas, gdy

przypuścimy, iż odznaczała się żywą wyobraźnią. Jakkolwiek sądziłem, że ciekawość jest najgłówniejszą pobudką tego jej zajęcia, to jednak nie robiłoby ono na mnie wielkiego wrażenia, gdyby Edytha była mniej piękną.

Doktór Leete, jak również i panie, zdawali się być bardzo zaciekawieni opowiadaniem mojem o tem, w jakich okolicznościach udałem się na spoczynek do mojej podziemnej sypialni. Wszyscy podsuwali swoje domysły w celu wytłomaczenia tego, w jaki sposób pozostawiono mnie pod ziemią. Ostatecznie zgodziliśmy się na pewną teorię, najbardziej, jak się zdaje, prawdopodobną; czy jednak prawdziwą jest ona w swych szczegółach, o tem zapewne nikt nigdy wiedzieć nie będzie. Warstwy popiołu znalezione nad moją komnatą świadczyły, że dom uległ pożarowi. Przypuśćmy, że ogień wszczął się tej samej nocy, kiedym ja zasnął. Pozostawałoby tylko dodać, że Sawyer postradał życie w płomieniach lub przy pożarze, reszta wypływała sama przez się w sposób dość naturalny. Oprócz niego i doktora Pillsbury nikt nie wiedział tak o istnieniu pokoju, jak i o mojej w niem obecności; doktor zaś, który tej samej nocy odjechał do Nowego Orleanu, nigdy prawdopodobnie nie słyszał o pożarze. Przyjaciele moi i wogóle wszyscy, musieli przyjść do wniosku, że zginął w płomieniach. Poszukiwania w zgłiszczach, nie dość głębokie, nie mogły odsłonić mojej komnaty. Niewątpliwie gdyby na tem samem miejscu budowano znowu, a przynajmniej zaraz po wypadku, kopanie głębsze stałoby się niezbędnem; ale czasy niespokojne, a nadto niezbyt ponętne dzielnica,

stały na przeszkodzie odbudowaniu. Objętość drzew w ogrodzie, zajmującym miejsce, na którym stało domostwo, wskazywała, jak mówił doktor Lee-te, że grunt ten przynajmniej od pół wieku pozostawał niezajętym.



BRONIAŁ 7

ROZDZIAŁ V.

Kiedy pod koniec wieczora panie się usunęły, pozostawiając nas samych, doktor Leete zapytał mnie, co myślę robić ze spaniem: oświadczył przytem, że, jeśli czuję senność, łóżko już czeka na mnie, jeżeli zaś usposobiony jestem do czuwania, to będzie dlań wielką przyjemnością dotrzymywać mi towarzystwa.

— Ja jestem późny ptaszek—dodał—nie będąc zaś posądzanym o pochlebstwo, mogę powiedzieć, że trudno wyobrazić sobie towarzystwo bardziej zajmujące od pańskiego. Nie często miewa się sposobność rozmawiania z człowiekiem z wieku XIX.

Przez cały wieczór oczekiwałem z pewną obawą chwili, kiedy pozostanę sam jeden na noc. W otoczeniu tych niezmiernie przyjacielskich ludzi, a przy pomocy ich serdecznego współczucia, mogłem jako tako zachowywać równowagę umysłu. Jednakże już wówczas, w przestankach rozmowy, miewałem szybkie, przelotne błyski strachu wobec dziwności położenia, z jaką trzeba będzie stanąć oko w oko. Wie-

działem, iż nie będę mógł zasnąć tej nocy, leżeć zaś nie śpiąc i myśleć, wydawało mi się czemś tak strasz-
nem, że, nie będąc tchórzem, mógłbym się był tego obawiać. Kiedy na zapytanie mego gospodarza wy-
znałem mu to z całą otwartością, odpowiedział mi,
iż byłoby dziwnem, gdyby się stało inaczej, lecz, że
nie powinienem się troskać o sen; gdybym tylko po-
trzebował udać się na spoczynek, mógłby on mi dać
lekarstwo, które z pewnością pozwoliłoby mi prze-
spać całą noc snem zdrowym i posilnym. Nazajutrz
obudziłbym się napewno, czując siebie dawnym oby-
watelem tego miasta.

— Zanim to nastąpi, odrzekłem,—chciałbym się
dowiedzieć coś jeszcze o losach Bostonu, do którego
powróciłem. Powiedziałaś mi pan, gdyśmy byli na
galeryi, że chociaż wiek tylko jeden upłynął od cza-
su mego zaśnięcia, to jednak w położeniu ludzkości
zaszły większe zmiany, niż w ciągu wielu tysiącoleci
uprzednich. Sądząc z widoku miasta, łatwo mogę
temu uwierzyć, chciałbym jednak dowiedzieć się coś
więcej o niektórych z tych zmian. Przedmiot to nie-
wątpliwie bardzo obszerny, ale aby od czegoś zacząć,
powiedz mi pan, w jaki sposób rozwiązaliście, jeśli-
ście rozwiązali, sprawę robotniczą? Była to sfinkso-
wa zagadka wieku XIX, kiedym zaś ja zszedł z po-
la, sfinks groził pożarciem społeczeństwa, gdyż od-
powiedź nie nadchodziła. Warto istotnie zasnąć na
lat 100, aby się dowiedzieć, jakie może być słuszne
rozwiązanie tej sprawy, jeżeli zgoła znaleźliście ja-
kiekolwiek.

— Nic podobnego do sprawy robotniczej nie
znamy dzisiaj—odpowiedział doktor Leete—nie mo-

głaby ona nawet powstać obecnie, gdyż, jak sędzę, rozwiązaliśmy ją całkowicie. Społeczeństwo istotnie zasługiwałoby na pożarcie, gdyby nie umiało rozstrzygnąć zagadki tak prostej. W rzeczywistości, mówiąc językiem książkowym, społeczeństwo nie miało żadnej potrzeby rozwiązywania zagadki; można powiedzieć, iż rozwiązała się ona sama. Rozwiązanie to było tylko wynikiem ewolucyi przemysłowej, która inaczej skończyć się nie mogła. Jedno co uczynić musiało społeczeństwo, to uznać ową ewolucyję i współdziałać jej, gdy jej dążność stała się oczywistą.

— Mogę tylko powiedzieć, odrzekłem, że w czasie, kiedym zasypiał, nie znałem żadnej takiej ewolucyi.

— Zasnąłeś pan w r. 1887, jakés pan mówił.

— Tak dnia 30 maja 1887 r.

Towarzysz mój popatrzał na mnie figlarnie przez chwil kilka, potem zaś zauważył.

— Więc powiadasz pan, że nawet wówczas nie uznawano jeszcze powszechnie, do jakiego rodzaju przesilenia zbliżało się społeczeństwo. Naturalnie wierzę pańskim słowom. Szczególna ślepotą współczesnych wam ludzi na znamiona ich czasów jest właśnie dzisiaj przedmiotem komentarzy naszych historyków; ale nie wiele faktów w historii byłoby nam równie trudno sobie przedstawić, jak ową ślepotę; spoglądając bowiem w przeszłość, tak jasno i w sposób tak wyraźny spostrzegamy owe wskazówki, jakie musiały przecie i przed waszemi przesuwac się oczami a jakie świadczyły o zbliżającym się przeobrażeniu. Byłbym bardzo obowiązany panu, panie West,

gdybys mi pan dopomógł wytworzyć jaśniejsze cokolwiek wyobrażenie o poglądach, jakie pan i ludzie podobni mu wykształceniem żywiliscie odnośnie do stanu i przyszłych widoków społeczeństwa w r. 1887. Musieliscie przynajmniej przedstawiać sobie, iż szeroko upowszechnione zaburzenia przemysłowe i społeczne, których podścieliskiem było niezadowolenie wszystkich klas z nierówności społecznych, oraz powszechna nędza ludzkości, brzemienne były jakimis wielkimi zmianami.

— Istotnie, przedstawialiscy sobie to w zupełności, odrzekłem, czuliscy, że społeczeństwo zerwało się z kotwicy i że mu grozi niebezpieczeństwo rozbicia się. Na co natrafi, nikt nie wiedział, lecz wszyscy obawiali się skał podwodnych.

— A jednak—powiedział doktor Leete—kierunek prądu był całkiem dostrzegalny, gdybyście tylko zadali sobie pracę obserwowania go i nie prowadził on do skał, ale na większą głębię.

— Mieliscy przysłowie ludowe: mądry po szkodzi; prawdziwość jego oceniam teraz bardziej niż kiedykolwiek. Jedno co mogę powiedzieć, to to, że, kiedym popadał w ów długi sen, widoki przyszłości były takie, iż, patrząc dziś z pańskiej galeryi na miasto, powinienbym się dziwić raczej, że nie widzę kupy zgliszcz i mchem porośłych rumowisk, zamiast tego pysznego grodu.

Doktor Leete słuchał mnie z pilną uwagą i skinął wyraziście głową, gdym kończył opowiadanie.

— To, coś pan powiedział, uważanem będzie za najcenniejszą obronę Storyjota, którego pogląd na waszą epokę, zwłaszcza zaś obraz ponurości i zamię-

szania panującego wówczas w umysłach uchodzi powszechnie za przesadzony. Owego okresu przejściowego, pełnego niepokoju i podniecenia można się było istotnie spodziewać; ale znowu ze względu na to, iż tak jasną była dążność sił, działających w społeczeństwie, można było mniemać całkiem naturalnie, że raczej nadzieja nie zaś obawa powinna była ovladnąć umysłami ogółu.

— Nie powiedziałeś mi pan, jaką odpowiedź znaleźliście na zagadkę, zacząłem znowu. Pałam niecierpliwością dowiedzenia się, w jaki sposób pokój i pomyślność, jakimi cieszyacie się obecnie, mogły być następstwem takiej epoki, jaką była moja.

— Przepraszam — przerwał mi gospodarz — czy pan pali?

Dopiero kiedyśmy zapalili cygara i usadowili się wygodnie, ciągnął on dalej:

— Skoro pan jesteś usposobiony do rozmowy, nie zaś do spania, tak samo jak i ja, to najlepiej będzie, gdy spróbuję dać panu jakie takie wyobrażenie o naszym nowoczesnym systemie przemysłowym, aby przynajmniej zwolnić pana od wrażenia, iż w jego ewolucyi było coś tajemniczego. Bostończycy pańskich czasów mieli opinię ludzi bardzo ciekawych, dowiodę też panu mego od nich pochodzenia, zadając mu również pytanie. Jaki rys waszych zaburzeń robotniczych, uważasz pan za najbardziej wybitny.

— No, jużci bezrobocia, odparłem.

— Dobrze, ale co je czyniło tak strasznemi?

— Wielkie organizacje robotnicze.

— Jakaż była pobudka, tych wielkich organizacji?

— Robotnicy utrzymywali, iż muszą się zorganizować, aby za pomocą wielkich stowarzyszeń wywalczyć sobie swe prawa.

— Słusznie— odrzekł doktor Leete — organizacja pracy i bezrobocia były tylko następstwem skupienia się kapitałów w większe masy, niż kiedykolwiek bądź dawniej. Kiedy się nie rozpoczęła jeszcze owa koncentracja, kiedy handel i przemysł uprawianym był przez drobnych przedsiębiorców o małym kapitale, nie zaś przez małą grupę przedsiębiorców wielkich o kapitale dużym, wówczas pojedynczy pracownik ważył więcej i był względnie niezależny w stosunkach swych do pracodawcy. Co większa, kiedy dość było małego kapitału, albo nowej jakiejś idei, aby człowiek mógł rozpocząć interes na siebie, wówczas pracownicy stawali się pracodawcami i pomiędzy klasami obydwoma nie było tak wyraźnej i trwałej granicy. Związki robotnicze nie były wówczas potrzebne, zaś o powszechnych bezrobociach nawet nie mówiono. Kiedy jednak po okresie małych przedsiębiorstw i kapitałów nastąpił okres wielkiego nagromadzenia się kapitału, wszystko się zmieniło. Pojedynczy pracownik, będący rzeczą względnie ważną dla pracodawcy małego, postradał wszelkie znaczenie i siłę, wobec wielkiego stowarzyszenia, gdy tymczasem z drugiej strony zamknięto mu drogę do stanowiska przedsiębiorcy. Samoobrona popchnęła go do łączenia się z towarzyszami.

— Świadcstwa owych czasów wskazują, że o-

krzyki przeciwko nagromadzeniu się kapitałów były zaciekle. Ludzie wierzyli wówczas, iż groziło to społeczeństwu tyraniją, straszniejszą niż jakakolwiek-bądź z dawnych. Mniemano, że wielkie korporacje gotowały jarzmo najokropniejszej niewoli, już nie u ludzi, ale u bezdusznych machin, niezdolnych do żadnej innej pobudki, oprócz nienasyconej chciwości. Spoglądając wstecz, nie możemy się dziwić ich rozpacz, gdyż bezwątpienia ludzkości nie groził nigdy los bardziej nędzny i wstrętny, niż owa era zjednoczonej tyranii, jakiej się spodziewano.

Tymczasem, nie doznając najłżejszej zawady z powodu owych krzyków, odbywało się w dalszym ciągu pochłanianie małych przedsiębiorstw, przez monopole coraz to większe. W Stanach Zjednoczonych, gdzie sprawa owa zaczęła się rozwijać później, niż w Europie, już na początku ostatniej ćwierci stulecia, jednostka nie mająca za sobą wielkiego kapitału, nie mogła rozpoczynać żadnego przedsiębiorstwa osobistego w żadnej z ważniejszych dziedzin przemysłowych. W ciągu zaś ostatniego dziesięciolecia, małe a pozostające jeszcze przy życiu przedsiębiorstwa, albo były już tylko objawem szczątkowym ubiegłej epoki, albo istniały pasorzytniczo kosztem stowarzyszeń wielkich, albo zajmowały wreszcie pola zbyt jałowe, iżby zwabić one mogły wielkich kapitalistów. Małe przedsiębiorstwa, o ile istniały jeszcze, znajdowały się w położeniu szczurów i myszy, żyjących po kątach i norach, i rachujących, iż, niepostrzeżenie, będą mogły się jakoś utrzymywać. Drogi żelazne, łącząc się w coraz to mniejszą grupę wielkich syndykatów, czuwały nad każdym torem kraju.

W rękodzielnictwie każdy główniejszy skład towarów podlegał kontroli syndykatu. Owe syndykaty, zmony, trusty, lub jakiegokolwiek było ich miano ustanawiały ceny i miażdżyły wszelkie współzawodnictwo z wyjątkiem tylko takich wypadków, gdy powstawała jakaś równa im potęga. Wywiązywała się wówczas walka, której wynikiem bywała jeszcze większa konsolidacja. Wielki bazar miejski druzgotał swych wiejskich współzawodników olbrzymimi składami, w samem zaś mieście pochłaniał mniejszych swych współzawodników, aż w końcu handel całej dzielnicy ześrodkowywał się pod jednym dachem, wraz z setkami uprzednich właścicieli sklepów, którzy pełnili tam rolę subiektów. Nie mając żadnego własnego przedsiębiorstwa, w któreby włożył swe pieniądze, drobny kapitalista, przyjmujący służbę u korporacji, nie znajdował innej dla nich lokacji, jak tylko jej akcje i papiery; w ten zaś sposób podwójnie stawał się od niej zależnym.

Ten fakt, że rozpaczliwy opór ludności przeciwko konsolidowaniu się przedsiębiorstw w kilku potężnych rękach nie mógł go powstrzymać, świadczy, iż musiała być jakaś ważna przyczyna ekonomiczna owej konsolidacji. Drobni kapitaliści, wraz z niezliczonym mnóstwem ich przedsiębiorstw, faktycznie ustąpili pola wielkim skupieniom kapitału, gdyż należeli oni do epoki małostek i całkiem nieświadomi byli wymagań wieku pary i telegrafu oraz olbrzymiej skali jego przedsiębiorstw. Przywrócenie dawnego porządku rzeczy, gdyby nawet było możliwem, kazałoby domyślać się powrotu do epoki dyliżansów. Jakkolwiek uciskającym i nieznośnym

był ów stan wielkiego konsolidowania się kapitału, to nawet ofiary jego, złorzecząc mu, zmuszone były uznawać, iż za jego przyczyną znakomicie zwiększała się sprawność narodowego przemysłu, iż osiągało się wielką oszczędność przez takie ześrodkowanie gospodarstwa i jedność organizacyi, zmuszeni byli wszyscy wyznać, że bogactwo świata wzrosło do rozmiarów, o jakich dawniej nie marzono. Niewątpliwie bogactwo to czyniło głównie bogatszymi bogatych, zwiększając przedział pomiędzy nimi a ludźmi biednymi; ale bądź co bądź było faktem, że jako środek wytwarzania bogactwa kapitał stawał się coraz skuteczniejszym w miarę swej konsolidacyi. Przywrócenie systemu dawnego z jego podziałem kapitału, gdyby było możliwe, sprowadziłoby może na nowo większą równość położeń, zrodziłoby więcej godności i wolności osobistej, ale stałoby się to kosztem ogólnej biedy i powstrzymania inateryjalnego postępu.

Czyliż więc nie było żadnego sposobu ujęcia w karby całej służby owego potężnego a wytwarzającego bogactwo pierwiastku konsolidacyi kapitału, bez uginania się przed plutokracją, podobną tej, jaka była w Kartaginie. Gdy tylko ludzie poczęli zapytywać siebie o to, znaleźli gotową już odpowiedź. Ruch w kierunku prowadzenia przedsięwzięć przy pomocy coraz większej konsolidacyi kapitału, dążność do monopolu, któremu opierano się tak rozpaczliwie a napróżno, zrozumianemi zostały w końcu należycie, to jest, jako proces, któremu potrzeba było tylko dać logiczne jego uzupełnienie, aby otworzył złotą dla ludzkości erę.

W samych już początkach niniejszego stulecia

ewolucja skończyła się ostatecznem skonsolidowaniem kapitału narodowego. Przemysł i handel kraju, wyszedłszy z pod kierownictwa grupy nieodpowiedzialnych stowarzyszeń i syndykatów osób prywatnych, kierownictwa zależnego tylko od ich woli i korzyści, powierzony został kierownictwu jedyne go syndykatu, przedstawiającego naród, a to we wspólnym interesie i ku wspólnej korzyści. To znaczy, iż naród zorganizowany został, jako jedno wielkie stowarzyszenie przedsiębiorcze, organizujące sobą wszystkie stowarzyszenia inne, stał się on jedynym kapitalistą, zajmującym miejsce wszystkich innych, jedynym pracodawcą, monopolem ostatecznym, który połknął wszystkie monopole uprzednie, monopolem, w którego zyskach i oszczędnościach wszyscy obywatele brali udział. Słowem, ludność Stanów Zjednoczonych postanowiła wziąć na siebie prowadzenie spraw swoich zupełnie tak samo, jak przed 100 laty wzięła ona na siebie sprawy rządowe, i dla celów przemysłowych zorganizowała się na takich samych podstawach, jak wówczas dla celów politycznych. Nakoniec, choć tak późno w ciągu dziejów ludzkości, spostrzeżono przecie ten fakt oczywisty, iż żadna sprawa nie jest tak dalece sprawą publiczną, jak przemysł i handel, od których zależy utrzymanie narodu, oraz, że powierzanie ich osobom prywatnym dla prywatnych zysków, jest podobnem, chociaż większem szaleństwem, jak powierzanie czynności rządowych jednostkom ku własnemu ich wywyższeniu.

— Tak wielkie zmiany, jakie pan opisujesz, odbyły się zapewne nie bez wielkiego rozlewu krwi, nie bez okropnych wstrząśnień.

— Przeciwnie—odpowiedział doktor Leete—nie było zgoła żadnego gwałtu. Zmianę przewidywano oddawna. Opinią powszechną całkowicie doń dojrzała, cała zaś masa narodu oświadczała się za nią. Nie podobna już było opierać się jej ani siłą, ani rozumowaniem. Z drugiej strony, usposobienie ogółu względem wielkich stowarzyszeń nie odznaczało się już taką goryczą, gdy poczęły się one mu ukazywać, jako ogniwo przejściowe w drodze do należytego systemu przemysłowego. Najgwałtowniejsi wrogowie monopolów prywatnych zmuszeni byli uznać teraz całą doniosłość i niezbędną ich zasług w sprawie odpowiedniego wychowania narodu, nauczania go sztuki prowadzenia swych interesów. Przed 50-ciu laty skonsolidowanie wszystkich gałęzi krajowego przemysłu pod kontrolą narodu wydałoby się zuchwałem przedsiębiorstwem, nawet umysłem najbardziej zapalonym. Ale w całym szeregu lekcyj poglądowych, dostępnych dla każdego, wielkie korporacje nauczyły naród całkiem inaczej myśleć o tym przedmiocie. Przez wiele lat ludność widziała, że syndykaty dawały sobie radę z dochodami większemi, niż dochody państw, że kierowały pracą setek tysięcy ludzi ze sprawnością i oszczędnością niedościgłą dla przedsiębiorstw mniejszych. Uznano za pewnik, że im większy jest interes, tem prostsze można stosować do niego zasady, że tak samo jak machina sprawniejszą jest od ręki, tak samo też i system, wykonywający w przedsiębiorstwie wielkiem pracę „pańskiego oka” przedsiębiorstw małych daje w końcu wyniki dokładniejsze. W ten sposób, dzięki samym korporacyjom doszło do tego, że kiedy

zapropozowano, iżby naród wziął na siebie ich czynności, to propozycja ta, nawet bojaźliwym, nie wydała się niewykonalną. Niewątpliwie, był to krok, prześcigający wszystkie inne, było to uogólnienie najszersze, ale sam ten fakt, że naród miał być korporacją jedyną, uwalniał, oczywiście, od pokonywania wielu trudności, z jakimi walczyć musiały monopole prywatne.



ROZDZIAŁ VI.

Doktór Leete przestał mówić, ja zaś milczałem, pragnąc wytworzyć sobie jakieś ogólne pojęcie o zmianie porządku społecznego, jakiej domyślać się kazał opisany przez niego poważny przewrót.

— Idea takiego rozszerzenia czynności rządu, jest, co najmniej przytłaczająca, rzekłem.

— Rozszerzenia? Gdzież tu jest rozszerzenie— odparł gospodarz.

— Za dni moich, odrzekłem, uważano, że właściwe czynności rządu ograniczają się, mówiąc ściśle, do obowiązków utrzymywania pokoju, oraz obrony narodu przed wrogiem, to jest do obowiązków wojskowych i policyjnych.

— Ależ, na miłość Boga — zawołał doktor Leete — któż jest wrogiem naszym? czy są nimi francuzi, niemcy, anglicy, czy też głód, chłód i nagość? Za dni waszych, rządy zmuszone były, przy najlżejszem nieporozumieniu międzynarodowem, chwycić całe tłumy obywateli i wydawać ich setkami

tysięcy na pastwę śmierci i kalectwa, szafując przytem ich mieniem, jak wodą; wszystko zaś to działa się najczęściej dla urojonego pożytku ofiar. Obecnie nie mamy wojen, a rząd nasz nie posiada władzy ich wypowiedania; ale dla osłonięcia każdego z obywateli przed głodem, chłodem i nagością, oraz dla zaradzenia wszystkim ich potrzebom cielesnym i duchowym, wziął on na siebie, na pewien lat szereg, czynności kierowania przemysłem. Nie, panie West, sądzę, że po namyśle przyjdiesz pan do wniosku, iż za waszych to dni, nie za naszych, zakres władzy rządowej był niezwykle wielki. Nawet dla celów najlepszych nie zgodziliby się ludzie na obdarowywanie kogoś taką władzą, jaką wówczas nadawano dla najszkodliwszych celów.

— Usuwając na bok porównanie, odrzekłem, za dni moich uważano demagogiję i przedajność, za niepokonane zarzuty w sprawie powierzenia rządowi kierownictwa narodowego przemysłu. Przekonaliśmy się nieraz, że trudno było o jakiś gorszy porządek rzeczy, niż oddanie kontroli polityków maszyneryi, wytwarzającej narodowe bogactwo, gdyż ich interes osobisty bywał wówczas kulą u nogi dla danej sprawy.

— Bezwątpienia mieliście słuszność, odparł doktor Leete, ale wszystko to zmieniło się dzisiaj. Nie mamy żadnych partyj ani polityków, co zaś do przedajności i demagogii, to posiadają one dla nas tylko znaczenie historyczne.

— Sama przyroda ludzka musiała więc znacznie się odmienić, powiedziałem.

— Bynajmniej, zmieniły się tylko warunki ludz-

kiego życia, a z niemi—pobudki działań ludzkich. Organizacya społeczna nie wyznacza już dzisiaj nagród za nicozemność, ale są to sprawy, które pan zrozumiesz dopiero, poznawszy nas lepiej.

— Aleś pan mi dotąd nie powiedział, w jaki sposób rozstrzygnęliście sprawę robotniczą. Roztrząsaliliśmy teraz sprawę kapitału. Kiedy naród wziął na siebie prowadzenie młynów, fabryk, dróg żelaznych, rolnych gospodarstw, kopalń i wogóle owdłanał całym kapitałem kraju, kwestyja robotnicza, bądź co bądź, pozostała jeszcze nierozwiązaną. Biorąc na siebie odpowiedzialność za kapitał, naród musiał też mierzyć się z trudnościami położenia kapitalisty.

— Z chwilą, gdy naród wziął na siebie ową odpowiedzialność, trudności te znikły. Narodowa organizacyja pracy, pod jedynym kierownictwem, była właśnie całkowitem rozwiązaniem tego, co wyście za dni waszych i przy waszym systemie słusznie uważali za nierozwiązalne zagadnienie robotnicze. Gdy naród stał się jedynym pracodawcą, wszyscy wówczas obywatele, w moc samego swego obywatelstwa, stali się również pracobiorcami, których potrzeba było tylko poumieszczać odpowiednio do potrzeb przemysłu.

— To znaczy, iż poprostu zastosowaliście do kwestyi pracy, jak gdyby zasadę powszechnej służby wojskowej?

— Tak—odpowiedział doktor Leete—coś podobnego zdarzyło się naturalnie, gdy tylko naród stał się jedynym kapitalistą. Obywatele oswoili się już byli z myślą, że obowiązkiem każdego, fizycznie

uzdolnionego, było przyczyniać się do owej orężnej obrony narodu, obowiązkiem jednakim dla wszystkich i bezwzględny. Kównie oczywistem też było, że powinnością każdego obywatela jest brać udział w służbie przemysłowej i umysłowej, a to dla utrzymania narodu; ale dopiero wówczas, gdy naród stał się pracodawcą, obywatele znaleźli się w możności powszechnego i sprawiedliwego spełniania tej służby. Żadna organizacja pracy nie była możliwą, dopóki władza pracodawcza dzieliła się pomiędzy setki i tysiące jednostek, oraz stowarzyszeń, dla których jakakolwiekby zgoda nie była bynajmniej pożądaną. Zdarzało się więc ustawicznie, że wielkie masy ludzi, pragnących pracować, nie mogły znaleźć po temu sposobności; z drugiej zaś strony, ci, którzy chcieli wykręcić się od części albo od wszystkich swych obowiązków, mogli uczynić to z łatwością.

— Służba, jak przypuszczam, obowiązuje dziś stanowczo wszystkich.

— Jest to raczej sprawa naturalnego biegu rzeczy, nie zaś przymusu. Spogląda się na nią, jako na tak dalece naturalną i słuszną, że zaprzestano myśleć o jej przymusowości. Każdego, ktoby potrzebował przymusu w takim wypadku, uważano by za osobistość, godną najwyższej pogardy. Niemniej jednak, nazwanie tej służby przymusową, nie dałoby jeszcze wyobrażenia o tem, jak dalece jest ona nieuchronną. Cały nasz porządek społeczny do takiego stopnia wspiera się na niej i z niej wypływa, że gdyby nawet możliwem było dla człowieka uniknięcie jej, zostałby on całkiem pozbawiony środków do życia. Wykluczyłby on siebie w ten sposób ze świa-

ta, odciałby siebie od reszty rodzaju ludzkiego, słowem popełniłby samobójstwo.

— Czy służba w tej armii przemysłowej jest dożywotnia?

— O, nie! rozpoczyna się ona później i kończy się zwykle wcześniej, aniżeli okres pracy za dni wazszych. Wasze pracownice pełne były dzieci i starców; my zaś uważamy wiek młodości za poświęcony wypoczynkowi i przyjemnemu folgowaniu w pracy. Okres służby przemysłowej jest dwudziestoczteroletni; rozpoczyna się wraz z ukończeniem nauk w roku 21 życia, zaś kończy się w roku 45. Po tym okresie obywatele, zwolnieni już od pracy, podlegają jednak powołaniu, w wypadkach np. wyborów, rodzących nagłe zapotrzebowanie pracy, a to aż do pięćdziesiątego piątego roku ich życia, ale powołania takie zdarzają się rzadko, właściwie zaś prawie nigdy. Dzień 15 października zowie się u nas dniem mustry, gdyż wówczas ci, co ukończyli rok dwudziesty pierwszy zaciągają się do armii pracującej, a zarazem też ci, co po ukończeniu okresu 24-letniego, dosięgli 45-go roku życia, odbywają pożegnalną mustrę honorową. Jest to u nas wielkie wydarzenie doroczne, podług którego datujemy wszystkie inne — są to nasze olimpiady, z tem tylko zastrzeżeniem, iż zdarzają się co roku.



ROZDZIAŁ VII.

— Właśnie po zaciągnięciu waszej armii przemysłowej na służbę powstaje, jak się spodziewam, trudność największa, gdyż tutaj musi skończyć się podobieństwo jej do wojska. Wszyscy żołnierze mają robić to samo: wykonywać ćwiczenia z bronią, maszerować i pełnić wartę; ale armija przemysłowa musi nauczyć się i uprawiać potem jakieś dwie lub trzy setki rozmaitych zajęć i powołań. Jakież talent administracyjny mógłby podołać sprawie mądrego wyznaczenia roboty lub zawodu dla każdej jednostki, gdy idzie o cały naród?

— Administracyja nie ma tam nic do czynienia.

— Któż więc określa zawód?

— Każdy robi to dla siebie—odpowiednio do swoich przyrodzonych skłonności; najtrudniejszą sprawą jest tutaj danie mu możliwości należytego określenia, jaką właściwie jest owa jego zdolność przyrodzona. System nasz przemysłowy wspiera się na zasadzie uwzględniania naturalnych przymiotów jednostki, tak duchowych jak i cielesnych, na określeniu,

co może ona robić z największą dla narodu korzyścią i największem zadowoleniem własnem. Jeżeli niepodobna uniknąć obowiązku służby w jakiejś postaci, to natomiast wybór jej dowolny, podlegający niezbędnemu tylko kierownictwu, zależy od określenia, do jakiego rodzaju poszczególnej pracy najprzystatniejszą byłaby dana jednostka. Ponieważ osobiste jej zadowolenie, w ciągu jej zawodu, zawisło od tego, iżby praca odpowiadała jej upodobaniom, przeto rodzice i wychowawcy czuwają od pierwszych dni dziecka nad objawami szczególnie właściwych mu zdolności. Ręczne ćwiczenia przemysłowe nie stanowią części naszego systemu wychowawczego, skierowanego wyłącznie ku ogólnemu wykształceniu i wychowaniu; ale teoretyczne wykłady rozmaitych spraw przemysłowych odbywają się ciągle, młodzież zaś nasza zachęcaną ustawicznie bywa do zwiedzania fabryk, częstokroć zaś przedsięwzięcie dalekie wycieczki dla oswojenia się z niektórymi szczególnymi gałęziami przemysłu. Zazwyczaj, na długo już przed zaciągnięciem się do służby, młodzieniec odkrywa w sobie, jeśli tylko je posiada, upodobanie do jakiegoś szczególnego zawodu i zdobywa o niem porządną dozę wiadomości. Jeżeli jednak nie ma żadnego takiego upodobania i jeśli wybór jego zależy od nadarzonej sposobności, wówczas przeznaczają się go do jednego z takich zajęć niezawodowych, jakich spełniania potrzebować właśnie może społeczeństwo.

— Niewątpliwie zdarza się chyba dość rzadko, aby liczba ochotników w danym zawodzie odpowiadała liczbie zapotrzebowań. Musi ona zazwyczaj albo przewyższać tamtę, albo jej nie dosięgać?

— Przypuszcza się, że podaż kandydatów odpo-
 wie zawsze popytowi. Rzeczą administracyi jest
 troszczyć się o to, aby tak było. Stosunek liczby
 ochotników do zapotrzebowania jest przedmiotem
 bacznej uwagi. Jeżeli będzie ich znacznie więcej,
 niż potrzeba, wnioskuje się ztąd, że dany zawód po-
 siada większy powab od innych. Z drugiej strony,
 jeśli owa liczba spada poniżej skali popytu—wnios-
 kuje się, że zawód uchodzi za bardziej przykry.
 Rzeczą więc administracyi jest starać się o ciągłe
 równoważenie powabu zawodów, o ile ściąga się to
 do warunków pracy; w ten sposób wszystkie zawo-
 dy muszą się stawać jednakowo pożądanymi dla osób,
 mających do nich powołanie przyrodzone. Cel ten
 osiąga się, zmieniając liczbę godzin pracy w rozma-
 itych zawodach — stosownie do ich uciążliwości. Za-
 jęcia łatwiejsze, spełniane w warunkach bardziej
 przyjemnych, mają, w ten sposób, najdłuższy dzień
 roboczy, gdy tymczasem mozolne zajęcia, jak górnic-
 two, mają dzień najkrótszy. Niema tu żadnej teorii,
 żadnej zasady apriorycznej, podług której określa-
 no by większą lub mniejszą pożądaną różność zawo-
 dów. Administracyja—ujmując ciężaru jednej gru-
 pie pracowników, zaś dodając go drugim, poprostu
 posłuszną jest tylko wahanom opinii samych pra-
 cowników, objawiającym się w większym lub mniej-
 szym napływie kandydatów. Zasada jest tutaj, iż,
 biorąc ogólnie, niczyja praca nie powinna być dla
 niego cięższą, niż praca innych ludzi—dla nich; sę-
 dziami zaś są tutaj sami pracownicy. Stosowanie
 owej zasady nie ma żadnych granic. Gdyby jakieś
 zajęcie było samo przez się tak przykre albo mozolne,

że dla zachęcenia doń pracowników, potrzebaby było zmniejszyć dzień roboczy do minut dziesięciu, uczynionoby to. Gdyby nawet wówczas nie chciał go nikt wykonywać, pozostałoby nietkniętem. W rzeczywistości jednak, umiarkowane nawet skrócenie godzin pracy, albo dodanie innych przywilejów, wystarcza do zgromadzenia dostatecznej liczby kandydatów w danym, potrzebnym dla ludzkości, zawodzie. Gdyby istotnie nieuniknione trudności lub niebezpieczeństwa takiego koniecznego zawodu były tak wielkie, iż żadne korzyści i przywileje nie mogłyby pokonać wstrętu do niego, administracyja usunęłaby tylko wówczas ów zawód z szeregu zajęć zwykłych, ogłosiłaby go za „ekstra-hazardowny”, zaś tych, co by mu się oddali, za godnych wdzięczności narodu, a natychmiast miałaby nadmiar ochotników. Nasza młodzież bardzo jest żądna zaszczytów i nie opuściłaby nigdy takiej sposobności. Rzecz jasna, spostrzeżesz pan, że owa zależność od dowolnego wyboru powołań, każe domyślać się usunięcia we wszelkich zawodach wszystkiego tego, co byłoby niehygienicznym lub groziłoby życiu albo ciału. Zdrowie i bezpieczeństwo — są to dziś warunki wspólne wszystkim gałęziom przemysłu. Naród nie nęka i nie morduje swych pracowników, jak to robili prywatni kapitaliści i towarzystwa waszych czasów.

— Kiedy bywa więcej kandydatów niż miejsc, jak sobie radzicie?

— Pierwszeństwo oddaje się tym, którzy mają najlepsze świadectwa z czasów niezawodowej służby przygotowawczej, oraz z okresu przygotowawczego. Każdy jednak, kto tylko przez lat kilka wytrwa

w życzeniu swem pokazania, co może zrobić w danym zawodzie, doczeka się w końcu upragnionej sposobności. Odnośnie do pewnych wypadków — nagłego zmniejszenia się liczby ochotników w danym zawodzie, odnośnie do jakiegoś nagłego spotęgowania się potrzeby, muszę dodać, że administracja, zależąc w zwykłym stanie rzeczy od wyboru dowolnego, ma jednak zawsze w rezerwie prawo odwołania się do ochotników szczególnych, albo przeniesienia pracowników z jednej dzielnicy do drugiej. Pospolicie jednak wszystkim tego rodzaju potrzebom może uczynić zadość odwołanie się do pracowników niezawodowych czyli pospolitych.

— W jaki sposób rekrutuje się tę klasę pracowników; sądzę, że nikt nie wstępuje do niej dobrowolnie?

— Jest to stopień, na jakim pozostają wszyscy nowozaciężni, przez pierwsze trzy lata po wstąpieniu na służbę. Dopiero po tym okresie, w ciągu którego zajęcie ich zależnem jest od zwierzchników, wolno młodzieńcom obierać sobie powołanie szczególne. Od tych trzech lat ścisłej dyscypliny, nikt nie jest wolny.

— Jako system przemysłowy, powiedziałbym, może to być bardzo skuteczne, ale nie widzę tu miejsca dla profesyj wolnych, dla ludzi, którzy służą narodowi mózgiem, nie zaś rękami. Naturalnie, nie obchodzicie się, panowie, bez pracowników umysłowych. Jakaż więc jest zasada wybierania ich z pośród mechaników i rolników? Musi to wymagać, że tak powiem, bardzo subtelnego sposobu przesiewania.

— Tak jest w istocie; potrzeba tu probierzy bardziej delikatnych, to też sprawę rozstrzygania o tem, czy ktoś ma być pracownikiem ręcznym, czy też umysłowym—pozostawiamy jemu samemu. Ku końcowi swego trzyletniego terminu robotnika pospolitego, co każdy przebywać musi, pozostawia się każdemu do wyboru: czy woli albo sztukę jaką, czy też naukę, albo mechanikę czy rolnictwo. Gdy sądzi, iż lepiej pracować może mózgiem, niż rękami, wówczas daje mu się wielką łatwość wykazania domniemanej jego zdolności, ćwiczenia jej, a w razie pomyślnym—wyboru odpowiedniego powołania. Szkoły technologii, medycyny, sztuk plastycznych, muzyki, aktorstwa, oraz wyższych nauk wyzwolonych stoją zawsze i bezwarunkowo otworem dla wszystkich aspirantów.

— Czy też czasem szkół tych nie przepętnia młodzież, pragnąca uwolnić się od pracy?

Dr. Leete uśmiechnął się nieco złośliwie.

— Nikt, zapewniam pana, nie będzie miał ochoty wstępować do szkoły zawodowej, dla uniknięcia pracy. Przeznaczonemi są one dla ludzi, mających szczególne zdolności do danych przedmiotów; to też każdy, coby zdolności takich nie posiadał, wolałby mieć podwójną liczbę godzin w swoim zawodzie, niż kusić się o pozostanie współuczniem. Rzecz prosta, iż wielu, całkiem szczerze, myli się co do swego powołania i, znalazłszy, że nie odpowiadają wymaganiom szkoły, wychodzą z niej i powracają do służby przemysłowej; nie potępia się ich za to bynajmniej, gdyż polityka ogółu polega na zachęcaniu wszystkich do uprawiania ich przypuszczalnych zdolności, jeśli tylko okaże się, iż są one rzeczywiste. Wasze szkoły za-

wodowe i ogólne zależne były od patronatu swych wychowawców i, jak się zdaje, upowszechnioną była wówczas praktyka dawania dyplomów osobom nieprzygotowanym, które dopiero później kształciły się w swych zawodach. Nasze szkoły są instytucjami narodowymi, zaś złożenie w nich egzaminów jest już dowodem właściwego uzdolnienia, nie podlegającego wątpliwości.

Ta łatwość wykształcenia zawodowego przysługuje każdemu do 35-go roku jego życia; po tym okresie już się studentów nie przyjmuje, gdyż inaczej pozostawałoby bardzo mało czasu na służbę narodową. Za dni waszych, młodzież musiała obierać sobie zawód bardzo wcześnie, a tem samem myliła się bardzo często co do swego powołania. Dzisiaj uznaje się, że przyrodzone zdolności mogą rozwijać się w jednych później, niż w drugich i dla tego też, jakkolwiek już w roku 24-ym można rozpocząć jakiś zawód, to jednak jeszcze w ciągu 11 lat później prawo to przysługuje każdemu, muszę tu bowiem dodać, że prawo przenoszenia się z jednego zawodu do drugiego, służy każdemu z pewnemi zastrzeżeniami aż do 35 roku życia.

W tej właśnie chwili mogłem nakoniec zrobić zapytanie, które przedtem kilkanaście razy miałem już na języku, zapytanie, dotyczące tego, co za dni moich uważano za największą trudność w sprawie ostatecznego rozstrzygnięcia kwestyi przemysłowej.

— Dziwna rzecz, powiedziałem, żeś pan mi dotąd ani słówka nie wspomniał o tem, w jaki sposób uregulowaliście płacę zarobną. Skoro naród jest

jedynym pracodawcą, to rząd musi ustanawiać wysokość płacy i określać, ile zarabiać ma każdy od doktorów aż do kopaczy. Jedno co mogę powiedzieć, to to, że plan ów nigdy wśród nas nie mógł być rzeczywistnym oraz, że nie widzę, w jaki sposób wy moglibyście go uczynić, jeśli się nie zmieniła przyroda ludzka. Za dni moich nikt nie był zadowolony ze swej płacy albo wynagrodzenia. Nawet wówczas, gdy czuł, że otrzymuje dosyć, rozumiał, że sąsiad jego ma o wiele więcej, co również było złem. Gdyby powszechne niezadowolenie z tego powodu, nie rozpraszając się już na bezrobocie i utarczki, skierowane przeciwko niezliczonym pracodawcom, ześrodkowało się teraz na jednym pracodawcy, na rządzie, to najsilniejszy nie byłby się nigdy doczekał dwóch zrzędu dni płacy.

Doktor Leete zaśmiał się serdecznie.

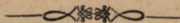
— Bardzo słusznie—odrzekł—powszechne bezrobocie byłoby prawdopodobnie wybuchło zaraz po pierwszym dniu płacy, zaś bezrobocie skierowane przeciwko rządowi—to rewolucja.

— W jaki więc sposób unikacie rewolucyi w każdym dniu płacy? zapytałem. Czyżby jaki filozof cudotwórca wynalazł nowy, zadawalniający wszystkich system dokładnego obliczania względnej wartości wszelkich rodzajów służby czy to mięśni, czy mózgu, ręki czy gardła, oka albo ucha? Albo czy się zmieniła cała przyroda ludzka tak, iż nikt nie pilnuje własnych spraw, ale każdy tylko spraw swojego sąsiada. Tylko w jednym lub drugim z tych wydarzeń można byłoby znaleźć wytłomaczenie.

— Ani w jednym, ani w drugim—odpowiedział, śmiejąc się, mój gospodarz. — Ale teraz, panie West, musisz pan przypomnieć sobie, że jesteś nie tylko moim gościem ale i pacjentem; pozwól więc, że ci zalecę sen. Jest już po trzeciej.

— Przepis ten bezwątpienia mądry, odrzekłem, nie wiem tylko, czy będę go mógł spełnić.

— Już ja się o to postaram—odpowiedział doktor—i dał mi wypić kieliszek czegoś, co mnie natychmiast uspiło, gdym tylko głowę przyłożył do poduszki.



J. J.

ROZDZIAŁ VIII.

Kiedym się obudził, uczułem się znacznie świeższym i przeleżałem jeszcze sporo czasu, nawpół drzeмиąc i napawając się uczuciem fizycznego dobrobytu. Doświadczenia dnia poprzedniego, ocknięcie się moje w r. 2000, widok nowego Bostonu, gospodarza mego i jego rodziny, oraz wszystkie te dziwne rzeczy, jakie słyshałem, zatarły się w mej pamięci. Myślałem, że się znajduję w sypialni mojej, w domu, a w stanie owej półsenności przesuwały się przed memi oczami widziadła, związane z mojem życiem uprzedniem. Ujrzałem znowu: wypadki dnia świątecznego, przechadzkę moją na Mount Augure z Edythą i jej rodzicami i obiad mój u nich po powrocie do miasta. Przypomniałem, jak niezwykle pięknie wyglądała wtedy Edytha, a stąd począłem myśleć o naszym małżeństwie. Zaledwie jednak wyobrażnia jąła rozsnuwać ten rozkoszny temat, gdy naraz marzenia przerwane zostały przypomnieniem owego listu, jaki otrzymałem był od przedsiębiorcy, a w jakim do-

noszono mi, że nowe bezrobocia odrzucają na czas nieokreślony ukończenie naszego domu. Zmartwienie ztąd wynikłe obudziło mnie naprawdę. Przypomniałem sobie, że miałem się widzieć z przedsiębiorcą o 11-ej, aby pomówić o strejku i, otworzywszy oczy, spojrzałem na zegar, umieszczony u stóp łóżka. Ale wzrok mój nie natrafił na żaden zegar i nagle spostrzegłem, że jestem nie w swoim pokoju. Zerwawszy się z pościeli, spojrzałem dokoła szeroko otwartymi oczami na dziwny apartament.

Rozglądanie takie trwało prawdopodobnie wiele sekund, a jeszcze nie mogłem opamiętać się, co do mego istotnego położenia. Pozbawiony byłem świadomości swojego ja, tak samo, jak to prawdopodobnie zdarza się duszy, gdy się jeszcze nie zdąży wcielić w kogoś i stać się osobą. Dziwna rzecz, że ów brak świadomości jest tak dręczącym, ale tak już widać jesteśmy zbudowani. Niema słów na wyrażenie tej męki duchowej w ciągu owego bezsilnego szukania samego siebie w bezmiernej próżni. Żaden inny stan ducha nie może dać nam prawdopodobnie pojęcia o owym zupełnym unicestwieniu się duchowem, jakie wynikło z utraty wszelkiego punktu oparcia myśli, a jakie ukazuje się w ciągu takich chwilowych zaćmień samowiedzy. Bodajbym nigdy tego już nie doznawał.

Nie wiem, jak długo trwał stan taki—zdawało mi się, iż ciągnie się to przez nieskończoność—gdy nagle, jak błyskawica, powróciła do mnie pamięć. Przypomniałem sobie kim i gdzie byłem, jak się tam znalazłem, przypomniałem sobie, iż rzeczy przesuwające się przed chwilą przed wzrokiem mego du-

cha, były obrazami z życia pokoleń, które dawno już w proch się obróciły. Zeskoczywszy z łóżka, stanąłem na środku pokoju, ściskając z całych sił skronie rękami, gdyż zdawało mi się, że głowa mi pęknie. Potem padłem znowu na łóżko i ukrywając twarz w pościeli, leżałem bez ruchu. Nastąpiła widocznie nieuchronna reakcja po uprzednim stanie podniecenia ducha i umysłowej gorączki, jakie były najpierwszym skutkiem mego straszliwego doświadczenia. Całkowite przedstawienie sobie mego położenia obecnego oraz wszystkiego tego, co w niem było szczególnem i niezwykłym, wprawiło mnie w stan jakiegoś duchowego przesilenia; jakoż z zacisniętymi zębami, ciężko dysząc i obejmując z zapamiętałością krawędzie łóżka, leżałem, walcząc z obłąkaniem. Wszystko mieszało mi się w głowie; zwykle mi uczucia, skojarzenia myśli, wyobrażenia osób i rzeczy, wszystko to roztapiało się, traciło spoiwość, wirując razem w jakimś chaosie nierozwikłanym. Nie było żadnego punktu oparcia w umyśle, nie było nic stałego. Pozostawała tylko wola; ale czyż jakakolwiek wola ludzka była dość silną, aby powiedzieć temu zburzonemu morzu, uspokój się. Nie śmiałem myśleć. Wszelki wysiłek rozumowania o tem, co mi się przytrafiło, oraz przedstawienia sobie następstw wypadku, przyprawiał mnie o straszliwy zawrót głowy. Zaczęła mię oblegać myśl, że byłem osobistością dwoistą, że jażn moja się rozdzieliła: było to, jak gdyby najprostsze wytłomaczenie mego położenia.

Czułem, że mi groziło obłąkanie, że zwaruję, jeżeli tak dłużej leżeć będę. Niezbędną mi była ja-

kaś rozrywka, przynajmniej jakieś ćwiczenie fizyczne. Porwałem się znowu z miejsca i, ubrawszy się, pośpiesznie zszedłem na dół. Było jeszcze bardzo wcześnie, gdyż nawet na dobre się nie rozwidniło, nikogo też nie zastałem na dole. W przedpokoju leżał czyjś kapelusz; wziąłem go i otworzywszy drzwi zewnętrzne, zlekka tylko przymknięte, co wskazywało, że w nowym Bostonie nie obawiano się złodziei, znalazłem się na ulicy. Dwie godziny chodziłem po mieście, zwiedzając głównie dzielnice, stanowiące półwysep. Tylko starożytnik jakiś, któryby wiedział coś o różnicy dzisiejszego Bostonu z Bostonem XIX stulecia, mógłby zrozumieć jako tako, jakim zdumiewającym niespodziankom podlegałem tam w czasie owej przechadzki. Miasto, co prawda, wydawało mi się już dziwnem, gdy patrzyłem na nie uprzednio ze szczytu domu, ale był to tylko widok ogólny. Dopiero teraz mogłem wyobrazić sobie, jak dalece zupełną była zmiana. Nieliczne pozostałe jeszcze cechy dawniejszego miasta uwydatniały jeszcze bardziej to przeciwieństwo; bez nich bowiem mógłbym pomyśleć sobie, że się znajduję w miejscowości nowej. Można opuścić miasto w dzieciństwie i powrócić do niego później, np. po latach 50-ciu; jesteśmy wówczas zdziwieni, lecz nie oszołomieni. Jesteśmy wówczas świadomi wielkiego przedziału czasu, oraz zmian, jakie zaszły w nas samych. Nie wyrażnie przypominamy sobie miasto z czasów naszego dzieciństwa. Ale co do mnie, to zwróćcie uwagę na to, iż nie miałem świadomości upłynionego czasu. Wszak niemal wczoraj przed kilku godzinami chodziłem po tych ulicach, których oto zary-

sy uległy całkowitemu prawie przeobrażeniu. Obraz dawnego miasta był tak świeży i silny w moim umyśle, iż nie ustępował przed wrażeniami nowymi, ale z nimi walczył; w ten sposób, już to jeden, już drugi zdawał mi się bardziej urojonym. Wszystko, na cokolwiek spojrziałem, mieszało się właśnie w taki sposób, jak rysy dwóch twarzy na fotografiach złożonych.

Nakoniec, znalazłem się przed drzwiami domu, z którego był wyszedł. Nogi moje instynktownie musiały mnie zaprowadzić na miejsce mego dawnego domostwa, gdyż nie miałem zgoła świadomości, abym tam powracał. Dom, który miałem przed sobą, nie był mi bardziej znajomym, niż wszystkie inne miejscowości w tem dziwnem mieście, mieszkańcy zaś jego niemniej nieuchronnie byli mi obcymi, jak i wszyscy inni mężczyźni i wszystkie inne kobiety na ziemi. Gdyby drzwi domu były zamknięte, upór ich przypomniałby mi, że nie mam tam po co wracać i byłbym sobie odszedł, ale ustąpiły one przed moją ręką, więc przeszedłszy krokiem niepewnym przez sieni, znalazłem się w jednym z sąsiadujących z nią pokoiów. Rzuciwszy się na krzesło, zasłoniłem płonące oczy rękami, aby nie widzieć otoczenia, przypominającego mi całą okropność mojej sytuacji. Pomieszanie mego umysłu było tak silne, iż przyprawiało mnie o najistotniejsze nudności. Nie mógłbym opisać męczarni chwilowych, w ciągu których mózg mój zdawał się tajać, owego poczucia mojej niemocy zupełnej. W rozpaczy jęknąłem głośno, czując, że zwarjuję, jeśli nie nadejdzie jakaś pomoc. Jakoż pomoc nadeszła. Usłyszałem szelest sukni kobiecej

i spojrzałem w górę, Edytha Leete stała przedemną; jej piękna twarz wyrażała współczucie najżywsze.

— Co się panu stało, panie West — rzekła. — Byłam tutaj, kiedyś pan wchodził, widziałam jak w strasznym był pan rozstroju i kiedym posłyszała jęk, nie mogłam wytrzymać dłużej. Co się panu wydarzyło? Gdzie pan był? Czy nie mogłabym mu w czem dopomódz?

Mimowoli, być może, mówiąc, wyciągnęła do mnie ręce. Pochwyciłem je instynktownie tak, jakby człowiek tonący chwycił się rzuconego w ostatniej chwili sznura. Kiedym spojrzał na jej twarz, ożywioną współczuciem, na oczy zwilżone łzą współubolewania, mózg mój zaczął się uspokajać. Tkliwe współczucie, uwydatniające się w miękkim uścisku jej palców, było mi właśnie podporą, jakiej potrzebowałem: podziałało to na mnie, jak dziwny jakiś balsam kojący.

— Bóg zapłać pani, powiedziałem po paru chwilach. On to chyba przysłał mi panią właśnie teraz; sądzę, że byłbym zwarjował, gdybyś pani nie przyszła.

Przy tych słowach moich łzy pokazały się w jej oczach.

— O panie West — zawołała — musieliśmy się wydać panu ludźmi bez serca! jak myśmy mogli zostawiać pana tak długo w samotności! Ale, wszak to już przeminęło. Jest panu teraz lepiej, nieprawdaż?

— Tak, odpowiedziałem, dzięki pani, i jeżeli pani mnie nie opuści jeszcze, to rychło przyjdę do siebie.

— Ależ ja nie odejdę—rzekła z lekkim drgnięciem twarzy, które więcej mówiło o jej współczuciu dla mnie, niż całe tomy słów.—Nie powinieneś nas pan uważać za tak pozbawionych serca, jak to mogło się wydać panu z tego, żeśmy go pozostawili w samotności. Jam prawie całą noc nie spała, myśląc, jak dziwnem będzie dzisiejsze pańskie przebudzenie; ale ojciec powiedział, że pan będziesz spał do późna. Mówił jeszcze, że byłoby lepiej nie okazywać panu z początku zbyt wiele współczucia, lecz, że należało starać się rozproszyć myśli pana i dać panu poznać, że się znajdujesz wśród przyjaciół.

— Pani istotnie dałaś mi to poznać, odrzekłem, ale widzi pani, nie mała to rzecz przespać całe stulecie; to też, jakkolwiek nie czułem tego tak bardzo wczoraj wieczorem, doznawałem dziś rano uczuć nad wyraz nieprzyjemnych.

Teraz, trzymając ją za rękę i patrząc w jej oczy, mógłbym prawie żartować z mego położenia.

— Nikt nie mógł myśleć, że pan tak rano wyjdzie sam do miasta. Gdzieżeś pan był, panie West?

Wtedy opowiedziałem jej, czego doświadczyłem przez cały ranek, od czasu ocknięcia się, aż do chwili, gdym ujrzał ją przed sobą. Owładnęło nią bardzo silne uczucie litości w ciągu opowiadania, i chociaż uwolniłem był jedną z jej rąk, nie odbierała mi drugiej, wiedząc zapewne, jaką przynosiła mi ulgę.

— Wyobrażam sobie, co to było za uczucie—rzekła.—Musiało to być okropne! powiedzieć też tu komu, żeśmy pozwolili panu samemu walczyć z tem wszystkim. Czy pan nam kiedy przebaczy?

— Ależ, to już przeszło, odpędziła pani tę zmo-
rę odemnie teraz zupełnie.

— Ale pan się jej już nie podda — zapytała
niespokojnie.

— Byłaby to może przedwczesna przechwałka,
ze względu na wszystkie dziwy, jakie mnie jeszcze
czekają.

— Lecz przynajmniej nie będziesz pan usiło-
wał walczyć z tem sam jeden — nalegała Edytha. —
Obiecuj pan, że przyjdiesz zawsze do nas, pozwolisz
siebie pocieszać i pomagać ci. Nie na wiele może
się to przyda, ale zawsze lepszem będzie, niż same-
mu stawić czoło tym uczuciom.

— Przyjdę do pani, jeżeli pani pozwoli.

— O tak, tak, proszę pana o to — odrzekła
z serdecznością — zrobię wszystko, co będę mogła, aby
panu pomódz.

— Nie potrzeba nic więcej, jak tylko pożało-
wać mnie tak, jak pani pożałowałaś teraz.

— A więc zgoda — rzekła, uśmiechając się z o-
czami jeszcze wilgotnemi — przyjdzie pan do mnie —
i, zawołała, nie będzie pan biegał po Bostonie wśród
obcych.

Przypuszczenie, że my nie byliśmy sobie obcy-
mi, prawie nie wydawało mi się już dziwnem, tak
dalece w ciągu tych chwil kilku zbliżyły nas: jej
lzy współczucia i moje dziwne położenie.

— Obiecuję, gdy pan tu przyjdzie, żałować
pana, ile się panu spodoba — rzekła z zachwycającą
figlarnością, — ale — dodała później z ożywieniem —
nie powinienes pan przypuszczać ani przez chwi-
lę, że naprawdę godny będziesz pożałowania, albo,

że się sam nie przestaniesz smucić. Jestem pewna, iż jedynem uczuciem pana będzie uczucie wdzięczności dla Boga, że przeciął dni życia twego w wieku ubiegłym i że pozwolił ci ożyć teraz, kiedy świat nie podobny jest, jak niebo do ziemi, do świata dawniejszego.



ROZDZIAŁ IX.

Państwo Leete, którzy właśnie weszli do pokoju, niemało byli zdumieni, dowiedziawszy się, że ja sam chodził po mieście zrana; zdaje się, iż zadziwiło ich przyjemnie to, że tak mało był wzruszony tym wypadkiem.

— Pańska wędrówka musiała być chyba bardzo zajmująca—rzekła pani Leete, gdyśmy zaraz potem usiedli do stołu,—musiałeś pan widzieć wiele rzeczy nowych.

— Widziałem bardzo mało nie nowych, ale co uderzyło mnie najbardziej, to to, że nie spostrzegłem ani jednego sklepu na ulicy Waszyngtońskiej, ani jednego bankierskiego kantoru na ulicy Stanowej. Coście państwo zrobili z tymi kupcami i bankierami? Możecie powiesili ich, jak to obiecywali za moich czasów anarchiści?

— Tak źle nie jest — odrzekł doktor Leete — poprostu obchodzimy się bez nich; funkcje ich w społeczeństwie dzisiejszem są zbyteczne.

— Któż sprzedaje wam przedmioty, jakich potrzebujecie, zapytałem.

— Niema dziś ani kupna ani sprzedaży, podział towarów odbywa się w inny sposób; co zaś do bankierów, to, nie używając pieniędzy, nie potrzebujemy dziś tych panów.

— Panno Leete, rzekłem, zwracając się do Edythy, obawiam się, że ojciec pani ze mnie żartuje. Nie mam mu tego za złe, gdyż naiwność moja obecna musi go kusić wielce, ale ostatecznie i moja łatwowierność ma granice.

— Jestem pewna, że ojciec nie żartuje z paną— odrzekła ona z uśmiechem, dodającym mi otuchy.

Rozmowa wzięła inny obrót, gdyż, o ile pamiętam, pani Leete zaczęła mówić o modach kobiecych XIX-go wieku; dopiero gdyśmy po śniadaniu znaleźli się z doktorem na galeryi, będącej, jak się zdaje, ulubionem miejscem jego wytchnienia, powrócił on do tego przedmiotu.

— Dziwiłeś się pan, kiedym mówił, że obchodzimy się bez pieniędzy i handlu, ale chwila zastanowienia wykaże panu, że handel i pieniądze za pańskich czasów potrzebne były dlatego, iż sprawa wytwarzania spoczywała w rękach prywatnych, oraz że, tem samem, są one dzisiaj zbytteczne.

— Nie widzę na razie, dlaczego jedno ma wynikać z drugiego.

— To bardzo proste— odrzekł doktor Leete:— kiedy niezliczone, niestosunkowane i niezależne od siebie osoby były wytwórcami rozmaitych rzeczy niezbędnych albo przyjemnych, wówczas musiała się odbywać nieskończona wymiana pomiędzy jednost-

kami, które pragnęły zaspakajać swoje potrzeby. Wymiana ta stanowiła handel, pieniądze zaś były niezbędnym jego środkiem. Ale z chwilą, kiedy naród stał się jedynym wytwórcą wszelkiego rodzaju towarów, wymiana pomiędzy jednostkami, mająca na celu nabycie rzeczy potrzebnych, stała się zbyteczną. Wszystko można było otrzymywać z jednego źródła, niczego zaś nie można było dostać ze źródeł innych. Miejsce handlu zajął system bezpośredniego podziału towarów ze składów narodowych, a ztąd pieniądze stały się niepotrzebne.

— W jaki sposób uskutecznia się ów podział?

— W sposób najprostsz. Każdemu z obywateli otwiera się w księgach publicznych, z początkiem roku, kredyt, odpowiadający udziałowi jego w rocznej produkcji narodowej i wydaje mu się kartę kredytu, przy pomocy której otrzymuje on wszystko, czego zapragnie, ze składów narodowych, znajdujących się w każdej gminie. Porządek ten, jak pan zobaczysz, usuwa potrzebę załatwiania jakichkolwiek bądź interesów handlowych pomiędzy wytwórcami a spożywcami. Możebyś pan chciał wiedzieć, jak wyglądają nasze karty kredytu. Uważaj pan—ciągnął on dalej, gdym ja z ciekawością przyglądał się podanej mi karcie tekturowej—że ta karta przedstawia pewną liczbę dolarów. Zachowaliśmy dawny wyraz, lecz nie istotę rzeczy. Wyraz ten nie oznacza u nas bynajmniej monety, lecz służy, jak symbol algebraiczny, do porównawczej oceny wytworów. W tym celu wszystkie one, tak samo, jak i za dni waszych, ocenione są na dolary i centy. Wartość przedmiotów, jakie nabywam przy pomocy tej karty,

wykreśla z niej subjekt — z tych oto szeregów kwadracików.

— A jeśli pan chcesz kupić coś od swego sąsiada, czy przelewasz pan wówczas na niego część swego kredytu?

— Najprzód—odpowiedział doktor Leete—nasi sąsiedzi nie mają nic do sprzedania nam, ale w każdym razie kredyt nasz, jako czysto osobisty, przelewany byćby nie mógł. Zanim naród mógłby zatwierdzić taki przelew, musiałby on dowiedzieć się o wszelkich warunkach transakcyi, aby mógł ręczyć za jej zupełną sprawiedliwość. Gdyby nie było żadnych innych powodów do zniesienia pieniędzy, wystarczyłby ten, iż posiadanie ich nigdy nie świadczyło o tem, że się ma prawo je posiadać. W rękach zarówno złodzieja jak i mordercy były one tak dobre, jak i w rękach tego, który je zarobił. Ludzie wymieniają dzisiaj ze sobą podarki z przyjaźni, ale kupowanie i sprzedawanie uważamy stanowczo za niezgodne z życzliwością wzajemną i bezinteresownością, jaka powinna panować wśród obywateli, oraz poczuciem wspólności interesów, na jakim wspiera się nasz system. Podług naszych pojęć, kupowanie i sprzedawanie jest rzeczą stanowczo antyspołeczną ze wszystkich swych dążeń. Jest to ćwiczenie się w pogoni za zyskiem osobistym kosztem innych; żadne też społeczeństwo, w szkole takiej chowane, nie mogłoby się wznieść ponad bardzo niski poziom cywilizacji.

— Cóż się dzieje, gdy musicie wydać więcej, niż pozwala wam wasza karta kredytu?

— Kredyt bywa zazwyczaj tak wielki, iż raczej nie wydajemy wszystkiego, jeżeli jednak wy-

czepią go jakieś wydatki nadzwyczajne, to możemy otrzymać pewien ograniczony awans na rachunek kredytu przyszłorocznego; praktyka ta jednak nie jest zalecaną, a dla poskromienia jej podobne operacje podlegają znacznemu dyskontowi.

— Kiedy nie zużytkowujecie całego kredytu, wówczas nagromadza się on zapewne?

— To również dozwolonem jest tylko w pewnej mierze, zwłaszcza, jeśli się przewiduje jakiś wydatek nadzwyczajny. Jeżeli jednak nie zawiadomimy o tem kogo należy, wówczas przypuszcza się, że obywatel, który nie zużytkował całego swego kredytu, nie miał po temu sposobności, i resztkę ową zalicza się na dobro ogólnej nadwyżki dochodów.

— Taki system nie zachęca obywateli do oszczędności.

— Nie stanowi też to jego zadania. Naród jest bogaty i bynajmniej nie pragnie, aby ludzie odmawiali sobie rzeczy dobrych. Za waszych czasów musiano gromadzić mienie i pieniądze na wypadek niepowodzenia, albo też dla dzieci. Konieczność ta czyniła cnotę ze skąpstwa. Ale obecnie nie ma ono żadnego tak chwalebego celu, a stawszy się nieużytecznem, przestało uchodzić za cnotę. Nikt już nie troszczy się dziś o jutro ani dla siebie, ani dla swoich dzieci, gdyż naród zapewnia każdemu obywatelowi, od kolebki aż do grobu, pożywienie, wykształcenie i utrzymanie wygodne.

— Nie szczególna to rękojmia, rzekłem, któż może być pewnym, że wartość pracy danego osobnika wynagrodzi narodowi poniesione nań wydatki. Biorąc ogólnie, społeczeństwo juźci może utrzymać

wszystkich swych członków; ale jedni z nich muszą zarabiać mniej, niż potrzebują na utrzymanie, inni zaś więcej; to przyprowadza nas znowu do zagadnienia o płacy zarobnej, o którym dotąd nie powiedziałem mi pan nic jeszcze.

Właśnie na tym punkcie, jeżeli pan zechce sobie przypomnieć, zakończyła się nasza ostatnia rozmowa; to też powiem dzisiaj, tak samo, jak mówiłem wtedy, że taki, jak wasz, narodowy system przemysłu z tej właśnie strony napotykał najwięcej trudności. Zapytuję raz jeszcze: w jaki sposób mogliście zadawalniająco ustosunkować płacę zarobną, albo wynagrodzenie w tyłu zawodach tak rozmaitych, tak nie-współwymiernych, a jednak niezbędnych dla społeczności? Za dni naszych ceny targowe określały zarówno cenę wszelkiej pracy, jak i towaru. Pracodawca płacił, jak można najmniej, pracownik usiłował cenę możliwie podnieść. Przyznaję, iż pod względem moralnym system ten nie był zachwycającym, ale dawał on nam pewną okrągłą i gotową formułę dla rozstrzygnięcia pytania, które stawiać musiano sobie dziesięć tysięcy razy dziennie, jeżeli świat miał choć trochę posuwać się naprzód. Innej drogi nie widzieliśmy zgoła.

— Tak — odpowiedział doktor Leete — była to jedyna droga, możliwa w takim systemie, który przeciwstawiał interesy każdej jednostki interesom jednostek innych; ale smutnie byłoby z ludzkością, gdyby nie wynalazła ona sobie sposobu lepszego; wasz bowiem sposób był poprostu wprowadzeniem do stosunków ludzkich djabelskiej zasady: „twoja strata jest moim zyskiem”. Wynagrodzenie za usługi zależało

nie od ich trudności, niebezpieczeństwa, albo mozołu, gdyż, jak się zdaje, na całym świecie roboty najcięższe, najbardziej wstrętne i najniebezpieczniejsze wykonywały klasy najgorzej płatne—ale jedynie od przykrości położenia tego, kto potrzebował usług.

— Zgadzam się z tem wszystkim, odrzekłem, ale, bądź co bądź, pomimo wad owych, sposób stanowienia wysokości płacy podług cen rynku był praktyczny; nie mogę też zrozumieć, co lepszego wynaleźliście na jego miejsce. Ponieważ rząd jest jedynym pracodawcą, więc, naturalnie, nie ma ani rynku pracy, ani cen rynkowych; płaca zarobna przeto musi przez rząd dowolnie być ustanawiana. Nie mogę sobie wyobrazić funkcyi bardziej zawiłej i drażliwej, ani też, jakkolwiekby ją wykonywano, nie wyobrażam sobie, iżby nie budziła ona powszechnego niezadowolenia.

— Przepraszam—odparł doktor Leete—ale sądzę, że przesadzasz pan tę trudność. Przypuść pan tylko, iż zarząd, złożony z ludzi rozsądnych, ma obowiązek ustanawiania płacy zarobnej na wszelkiego rodzaju roboty w systemie takim, jak nasz, który zapewnia każdemu jakieś zajęcie, pozostawiając nadto wolny wybór zawodu. Czyż nie spostrzegasz pan, że jakkolwiek niezadowolniającem byłoby tam pierwsze ustosunkowanie płacy, błędy te poprawiono by rychło. Zawody ulubione miałyby zbyt wielu ochotników, nieponętne miałyby ich znów zbyt mało aż do chwili sprostowania omyłek. Ale to nie należy do rzeczy, gdyż jakkolwiek plan taki byłby, jak sądzę, dość praktycznym, nie ma on nic wspólnego z naszym systemem.

— W jakim więc sposób regulujecie płacę, zapytałem raz jeszcze.

Doktor Leete odpowiedział mi dopiero po kilku chwilach milczenia i namysłu.

— Jestem naturalnie o tyle obeznany z dawnym porządkiem rzeczy, iż mogę zrozumieć, o co panu idzie w tem pytaniu; jednakże ustrój obecny tak dalece różni się pod tym względem od dawnego, iż nie wiem, jakby tu panu odpowiedzieć najlepiej. Zapytujesz pan, w jaki sposób regulujemy płacę; mogę odrzec tylko, iż w współczesnej ekonomii społecznej nie istnieje zgoła pojęcie, któreby odpowiadało temu, co wyście za dni waszych nazywali płacą zarobną.

— Przypuszczam, iż chcesz pan powiedzieć, że nie macie wcale pieniędzy, ale kredyt, przyznawany pracownikom przez zarząd składu towarów, odpowiada właśnie naszej płacy. W jaki więc sposób określa się wysokość kredytu rozmaitych pracowników? Podług czego ocenia jednostka wartość swego udziału w wytworze, jaka jest podstawa jej uposażenia?

— Tytułem jest tutaj jej człowieczeństwo, podstawą wymagań—ten fakt, iż jest ona człowiekiem.

— Fakt, że jest człowiekiem? — powtórzyłem niedowierzająco. Chcesz pan może powiedzieć, że wszyscy mają udział jednaki?

— Najniewątплиwiej.

Czytelnicy tej książki, którzy w praktyce nie spotykali się z żadnym innym porządkiem rzeczy, lub którzy może niebardzo uważnie badali historję epok dawniejszych, kiedy panował system całkiem

inny, nie będą mogli ocenić zdumienia, w jakie pograżyła mnie ta prosta odpowiedź doktora Leete'a.

— Widzisz pan — rzekł on do mnie, śmiejąc się—iż nietylko nie mamy pieniędzy na uiszczenie zapłaty, ale że nie mamy nic takiego, coby odpowiadało waszemu pojęciu płacy zarobnej.

Przez ten czas odzyskałem już trochę głosu, aby porobić zarzuty, jakie mnie, człowiekowi XIX wieku, musiały koniecznie przyjść na myśl, gdym posłyszał o tym zdumiewającym porządku rzeczy.

— Ależ, niektórzy ludzie robią dwa razy tyle co inni, zawołałem, czyż lepsi pracownicy mogą być zadowoleni z planu, który ich stawia na równi z próżniakami?

— To też my nie dajemy żadnego powodu do zażaleń na niesprawiedliwość, wymagając od wszystkich jednakiej miary usług.

— Chciałbym wiedzieć, w jaki też sposób dokonywacie tego, skoro niema dwóch ludzi równych sobie.

— Nic nad to prostszego—brzmiała odpowiedź doktora Leete'a—żądamy od wszystkich, aby ponosili wysiłek jednaki, t. j., aby każdy spełniał swą służbę, jak może najlepiej.

— Ależ, przypuszczając, że wszyscy robią możliwie najlepiej, znajdziemy jeszcze, że wytwór jednego będzie dwa razy większy, niż wytwór drugiego.

— Najzupełniejsza prawda; ale też ilość wytworu nie ma nic wspólnego z naszym pytaniem: idzie tu o zasługę. Zasługa jest sprawą moralną, suma zaś wytworu jest materalną ilością. Dziwną byłaby

logika, usiłująca rozstrzygać moralne zagadnienie za pomocą zasady materyjalnej. Jedyne tylko na-
 tężenie wysiłku ma związek z zagadnieniem zasłu-
 gi. Wszyscy ludzie, usiłujący robić jaknajlepiej, ro-
 bią to samo. Zdolności człowieka, jakkolwiek by-
 łyby wielkie, stanowią tylko o skali jego obowią-
 ku. Człowiek uzdolnień wielkich, nie robiący wszyst-
 kiego, co może, gdyby nawet robił więcej, niż czło-
 wiek małych uzdolnień, pracujący możliwie najle-
 piej, uważany byłby za pracownika mniej zasłużone-
 go i umarłby, jako dłużnik swych bliźnich. Stwórca
 wskazuje ludziom ich zadanie, darząc ich takimi
 lub innymi zdolnościami; my, poprostu, wykonywamy
 tylko Jego wolę.

— Niewątpliwie jest to bardzo piękna filozofi-
 ja, jednakże człowiekowi, wytwarzającemu dwa razy
 więcej od innego, nawet gdy oba pracują według sił
 swoich, owo jednakie wynagrodzenie musi wydawać
 się bardzo przykrem.

— Czyż pan tak sądzi istotnie — odpowiedział
 doktor Leete — wie pan, jest to dla mnie rzecz bar-
 dzo ciekawa? Według pojęć dzisiejszych, człowiek,
 robiący przy wysiłku jednakim dwa razy więcej niż
 inny, nietylko nie zasługuje na nagrodę, ale, gdyby
 tego nie czynił, zasługiwałby na karę. Przypuszczam,
 że w wieku XIX nagradzaliście konia, gdy ciągnął
 brzemie większe, niż koziół. Dzisiaj, gdyby tego nie
 czynił, wysmagalibyśmy go porządnie, a to na tej
 zasadzie, iż skoro jest o wiele silniejszym, powinien
 to robić. Dziwna rzecz, jak się zmieniają zasady
 moralności.

Doktór tak zabawnie przymrużył oczy, iż nie mogłem się nie zaśmiać.

— Przepuszczam, odrzekłem mu, że istotną przyczyną tego, iż nagradzaliśmy uzdolnienia ludzi, gdy tymczasem konia i kozła uważaliśmy tylko za obowiązanych do niesienia nam odpowiednich usług, było to, że zwierzęta, jako istoty nie rozumujące, z samej natury rzeczy pracowały, jak mogły najlepiej, ludzi zaś nakłonić do tego można było, jedynie wynagradzając ich odpowiednio do sumy ich wytworu. To doprowadza mnie do pytania, w jaki sposób wyście się uwolnili od tej konieczności, jeżeli tylko przyroda ludzka nie uległa potężnej zmianie w przeciągu 100 lat ostatnich.

— Sądzę — odpowiedział doktor Leete — iż od czasów pańskich nie zaszła żadna pod tym względem zmiana w przyrodzie ludzkiej. Dotąd jest ona jeszcze taką, iż potrzebuje szczególnych podniet w postaci nagród albo widoków korzyści do tego, aby w jednostce przeciętnej można było wywołać chęć możliwie najlepszego wykonywania obowiązków.

— Ale jakąż zachętę znajdzie człowiek do ponoszenia owych wysiłków, skoro, ilekolwiekby zrobił, dochód jego pozostanie jednakim. Ludzie o charakterze wzniosłym ulegają, być może, w takim systemie wpływom umiłowania dobra powszechnego, ale czyż nie ustanie w pracy człowiek przeciętny, rozumując sobie, iż jakkolwiekby się wysiłał, nie potrafi ani zmniejszyć, ani zwiększyć swego dochodu.

— Czyż naprawdę zdaje się panu — odrzekł mój towarzysz — że przyroda ludzka nie jest wrażliwą na żadne pobudki inne, oprócz obawy niedostatku

albo zamiłowania w zbytkach, czyż sądzisz pan, że zapewnienie bytu i równość środków utrzymania wyłączają wszelkie inne podniety? Współcześni panowie nie sądzili tak, jakkolwiek zdawało im się może, iż tak właśnie myślą. Gdy chodziło o najwznioślejsze wysiłki, o poświęcenie najzupełniejsze, wówczas zawsze występowały pobudki inne. Nie wyższą płacę zarobną, ale cześć i nadzieję wdzięczności ludzkiej, patryjotyzm i przejęcie się obowiązkiem—wstawiali oni przed żołnierzami swymi, gdy trzeba było umrzeć dla narodu. Nie było też takiej epoki w dziejach świata, w którejby pobudki owe nie wywoływały tego, co jest najpiękniejszym i najszlachetniejszym w człowieku. Zresztą nie dość na tem, lecz, jeśli poddasz pan rozbiorowi ową miłość pieniędzy, będącą tak powszechną pobudką wysiłków za dni wazycznych, to znajdziesz pan, iż obawa niedostatku lub zamiłowanie w zbytkach były to tylko dwie pobudki w szeregu innych, jakie popychały do zdobywania pieniędzy; innymi pobudkami, dla wielu nawet silniejszymi, bywały: żądza sławy, stanowisko społeczne i rozgłos, z powodu zdolności lub powodzenia. Widzisz więc pan, że chociaż zniesliśmy ubóstwo i obawę jego, oraz bezładny zbytek i nadzieję jego osiągnięcia, to jednak nie tknęliśmy większości pobudek, które za dni dawnych były podstawą zamiłowania w pieniądzach, ani też żadnej z tych, które popychały do wysiłków najwznioślejszych. Pobudki niższe, nie wstrząsające nami dzisiaj, zastąpionemi zostały przez wyższe pobudki, całkowicie nieznanne wazycznym pracownikom, mającym jedynie zarobek na celu. Dzisiaj przemysł wszelkiego rodzaju nie jest

już obsługiwaniem siebie samego, ale jest służbą dla narodu, patryjotyzmem, umiłowaniem ludzkości, które dodają bodźca pracownikowi tak samo, jak za dni waszych dodawały żołnierzom. Armija przemysłowa jest armiją nie tylko ze względu na swoją ścisłą organizację, ale również na zapał i poświęcenie, jakie ożywiają jej członków. Tak samo, jak wyście uciekali się do pobudek patryjotyzmu i żądzy sławy dla podniesienia męstwa waszych żołnierzów, tak i my też czynimy podobnie. Ponieważ system nasz przemysłowy wspiera się na zasadzie, domagającej się jednakiej miary wysiłków od każdego, to jest żądającej, aby każdy pracował, jak może najlepiej, więc, jak to pan zobaczysz, środki zachęty dla naszych pracowników muszą stanowić bardzo ważną część całego planu. U nas pilność w służbie narodowej jest jedyną i pewną drogą rozgłosu, towarzyskiego wyróżnienia i władzy urzędowej. Wartość usług człowieka w społeczeństwie orzeka o jego społecznym stanowisku. Wasze pogładowe lekcje strasznej nędzy i bezdusznego zbytku, od jakich wyście zależeli, my, wobec naszych urządzeń społecznych, nakłaniających ludzi do gorliwości, uważamy zarówno za słabe i niepewne jak i za barbarzyńskie.

— Bardzo byłbym ciekaw dowiedzieć się coś o tych społecznych urządzeniach zachęty.

— Plan ich szczegółowy z konieczności jest bardzo zawiły—odpowiedział doktor—gdyż stanowi on podścielisko całej organizacyi naszej armii przemysłowej. Ale kilka słów da panu o tem wyobrażenie ogólne.

W tem miejscu rozmowę naszą przerwało uka-

zanie się Edythy. Ubrana była jak do miasta i przyszła pomówić z ojcem o jakimś jego poleceniu, które miała wypełnić.

— Ale, ale, Edytho — zawołał doktor, gdy chciała odejść—dziwiłbym się, gdyby pan West nie zapragnął zwiedzić z tobą naszych składów. Mówiłem mu już trochę o naszym systemie podziału, więc może zechciałby obejrzeć rzecz tę w praktyce. Córnka moja—dodał, zwracając się do mnie—niezmordowana jest w robieniu sprawunków i może, więcej niż ja, powiedzieć panu o naszych składach.

Naturalnie z przyjemnością zgodziłem się na propozycję, ponieważ zaś Edytha pozwoliła, abym jej towarzyszył, wyszliśmy razem na miasto.



ROZDZIAŁ X.

— Jeżeli ja panu mam tłumaczyć nasz system robienia sprawunków — rzekła moja towarzyszka gdyśmy się znaleźli na ulicy, to i pan musisz mi powiedzieć coś o swoim. Nigdy nie mogłam go zrozumieć, pomimo wszystkiego, com o nim czytała. Tak np.: jeśliście mieli tyle magazynów, a każdy z nich z innym towarem, to w jaki sposób wasze panie mogły robić swoje sprawunki? Musiały przytem obchodzić chyba wszystkie sklepy.

— Tak było istotnie. Była to jedyna dla nich droga dowiedzenia się, co jest w magazynach.

— Ojciec nazywa mnie niezmordowaną amatorką sprawunków, sądzę jednak, że zmęczyłabym się prędko, gdybym tak miała robić jak one — dodała z uśmiechem.

— Istotnie, pilniejsze z pań uskarżały się gorzko na stratę czasu, z powodu owego chodzenia, ale co do kobiet klasy zamożnej, uskarżających się zre-

sztą, również, to system ów był istotnie darem nieba, gdyż podsuwał im środek zabijania czasu.

— Ale powiedz pan, wszak bywały w mieście tysiące, a przynajmniej setki sklepów tego samego rodzaju, w jakim więc sposób najbardziej nawet próżniacze mogły obejść je wszystkie?

— Naturalnie, wszystkich sklepów nie odwiedzały, odrzekłem. Te, które robiły dużo zakupów, dowiadywały się zawczasu, gdzie mogą znaleźć to, czego im potrzeba. Takie panie studyjowały specjalności rozmaitych sklepów i robiły sprawunki korzystnie, kupując zawsze najwięcej, najlepiej i najtaniej. Znajomość taka wymagała jednak wielkiego doświadczenia. Ci, co byli bardzo zajęci, lub kupowali zbyt mało, narażali się zwykle na to, że mieli towar najgorszy, najdroższy i w ilości najmniejszej. Przypadkiem tylko zdarzało się, iż osoba, nie mająca wprawdy w kupowaniu, otrzymywała w towarze wartość swoich pieniędzy.

— Ale dla czegoż godziliście się z tak rażąco niedogodnym porządkiem, skoroście tak jasno pojmowali jego wady.

— Podobnie też działo się ze wszystkimi naszymi urządzeniami społecznymi, odrzekłem. Wy może nie widzicie wad ich wyraźniej od nas, ale myśmy nie znali na nie lekarstwa.

— Oto właśnie dochodzimy do składu naszej dzielnicy — rzekła Edytha, gdyśmy się zbliżyli do wejścia jednego z owych wspaniałych gmachów publicznych, jakie zauważyłem był podczas rannej mojej przechadzki. Pozór jego zewnętrzny przedstawicielowi wieku XIX nie przypominał bynaj-

mniej składu handlowego. Nie było wystawy towarów w wielkich oknach, ani też żadnego znaku, albo przynęty. Na przodzie gmachu nie dostrzegłem żadnego napisu albo godła, które wskazywałoby charakter przedsiębiorstwa. Zamiast tego wszystkiego, nad bramą znajdowała się majestatyczna grupa, naturalnej wielkości, z postacią środkową, wyobrażającą obfitość i trzymającą róg w ręku. Sądząc z masy wchodzących i wychodzących osób, znalazłem, iż stosunek obu płci był prawie taki sam, jak w wieku XIX. Gdyśmy wchodzili, Edytha powiedziała mi, iż w każdej dzielnicy miasta znajdował się jeden taki skład, tak, iż żadna z posesyj nie była od nich odległą więcej jak o 5 lub 10 minut drogi. Po raz to pierwszy oglądałem wewnątrz publicznego gmachu wieku XX. Widok ten, naturalnie, zrobił na mnie głębokie wrażenie. Znalazłem się w wielkiej sali, zalanej światłem, napływającym nie tylko z okien ale i z kopuły, która znajdowała się o jakie sto stóp nad nami. U dołu, na samym środku wznosił się wspaniały wodotrysk, ochładzając powietrze zachwycającą świeżością swoich smug. Ściany i sufit okryte były freskami o barwach miękkich, które łagodziły jaskrawość światła, nie pochłaniając go jednak. Dokoła fontanny stały szeregami krzesła i sofy, gdzie siedziało, gwarząc, kilka osób. Na ścianach, dokoła sali widać było napisy, które wskazywały, jakiego rodzaju towar zawierają znajdujące się pod nimi kantory. Edytha skierowała się ku jednemu z nich, gdzie wystawione były najróżnorodniejsze muśliny, i poczęła je przeglądać.

— Gdzież jest subjekt, spytałem, gdyż nie by-

ło nikogo za kontuarem, i, jak się zdawało, nie nadchodził nikt na pomoc kupującej.

— Jeszcze nie potrzebuję subiekta — odrzekła Edytha — nie zrobiłam przecie wyboru.

— Głównem zadaniem subiekta za moich czasów było dopomagać ludziom w wyborze.

— Jakto, mówić ludziom, czego oni potrzebują.

— Tak, albo częściej nakłaniać ich do kupowania tego, czego nie potrzebowali.

— Ale czyż panie nie znajdowały w tem wielkiej impertynencyi — zapytała Edytha ze zdziwieniem. — Cóż mogło obchodzić subiektów: czy ludzie kupowali, czy też nie.

— Obchodziło to ich wyłącznie, odrzekłem. Najmowano ich umyślnie w tym celu, aby się pozbywali towarów, rachując, że zrobią wszystko w tej mierze, co będą mogli, z wyjątkiem tylko używania siły fizycznej.

— Ach, tak jestem niemądra, żem zapomniała o tem! Za waszych czasów utrzymanie właściciela sklepu i jego subiektów zależało od sprzedaży towarów. Rzecz naturalna, że dziś jest całkiem inaczej. Znajdują się one tutaj dla tych, co ich potrzebują, zadaniem zaś subiektów jest czekać na publiczność i przyjmować jej obstalunki; ale ani im samym, ani narodowi nie zależy na tem, aby dać choć jeden łokieć lub funt towaru temu, który nie potrzebuje. Jakże dziwnym musiał być widok subiektów, usiłujących skłonić ludzi do kupowania tego, czego nie potrzebowali, lub o potrzebie czego wąpili — dodała jeszcze, śmiejąc się.

— Ale nawet w wieku XX subjekt mógłby być dla pani pożytecznym, dając wskazówki co do towarów, gdyby nawet nie nakłaniał do kupowania.

— Nie—odrzekła Edytha—nie jest to sprawą subjektów. Te oto drukowane kartki, za które odpowiedzialnemi są władze rządowe, dostarczają nam wszelkich wskazówek, jakich możemy potrzebować.

Istotnie, ujrzałem wówczas, że do każdego wzoru przytwierdzona była karta, z dokładnym i treściwym opisem fabrykacyi i materyjałów towaru, wszystkich jego własności i ceny—tak, iż nie potrzeba było rozpytywać się o nie.

— Subjekt więc niema nic do powiedzenia o towarze, który sprzedaje?

— Nic a nic, nie ma potrzeby, żeby wiedział albo udawał, że wie o tem cośkolwiek. Grzeczność i dokładność w wykonywaniu obstalunków—oto jedyny jego obowiązek.

— Ileż kłamstwa oszczędza ten prosty porządek, zawołałem.

— Czy sądzisz pan, że wszyscy subjekci pańskich czasów fałszywie przedstawiali swoje towary—zapytała Edytha.

— Niech mnie Bóg broni, abym tak mówił; było wielu takich, którzy tego nie robili i należało poczytywać im to za wielką zasługę, gdyż pokusa oszukiwania kupujących była nielada, skoro dobrobyt człowieka, jego żony i dzieci zależał od ilości towarów, jakich zdołał on się pozbyć. Ale ja rozmową swoją przeszkadzam pani w zajęciu.

— Bynajmniej, już zrobiłam wybór.

Przy tych słowach, nacisnęła ona guzik w murze, a w tej chwili ukazał się subjekt. Zapisał on zamówienie w dwóch egzemplarzach, z których jeden jej oddał, drugi zaś włożył do małego odbiornika i opuścił do rury przesyłającej.

Subjekt wykreślił wartość sprawunku z kredytowej karty mojej towarzyszki. Oszczędzszy od kontuaru, Edytha zwróciła się do mnie.

— Duplikat zamówienia daje się kupującemu na to, aby w razie potrzeby mógł łatwo wysledzić i sprostować omyłkę w wykonaniu obstalunku.

— Pani bardzo prędko rozprawiła się z wyborem. Chciałem się spytać, z kąd pani wie, czy nie znalazłaby czegoś lepszego w innych składach; ale prawdopodobnie wymaga się od pani, abys kupowała w swojej własnej dzielnicy.

— O nie—odrzekła—kupujemy, gdzie się nam spodoba, chociaż, naturalnie, najczęściej w pobliżu domu, Ale nie zyskałabym nic, zwiedzając inne zakłady. Dobór jest we wszystkich ściśle jednaki i przedstawia zawsze próbki wszelkich odmian towarów, wytwarzanych w Stanach Zjednoczonych lub sprowadzanych tutaj. Oto dla czego można wybrać prędko, dla czego nie potrzeba zwiedzać dwóch lub więcej składów.

— Ale to jest tylko skład próbek. Nie widziałem, aby subjekci krajali albo zawijali towary.

— Wszystkie nasze składki są takimi składkami wzorów, z wyjątkiem tylko niewielu artykułów. Towary wszystkie, za wyłączeniem owych wyjątków, znajdują się w centralnym składzie miejskim, dokąd przywozi się je wprost na okrętach od wytwórców. Za-

mawiamy podług wzorów i tego drukowanego opisu fabrykacyi i własności towaru. Zamówienie posyła się do składu centralnego a ztamtąd towary przychodzą do nas.

— Musi to być ogromnem oszczędzeniem pracy handlowej. W naszym systemie, wytwórca sprzedawał kupcowi hurtowemu, hurtownik detalicznemu, ten zaś spożywey, a za każdym razem trzeba było mieć do czynienia z towarem i oglądać go. Wy oszczędzacie sobie jednych takich oględzin i całkiem wyłączacie kupca detalicznego wraz z jego ogromnym zyskiem, oraz armiją subjektów, którzy byli obowiązani mu służyć, gdyż ten skład jest tylko podziałem składu hurtowego i posiada też odpowiedni komplet subjektów. Przy naszym systemie oglądania towarów, namawiania ludzi, aby je kupowali, odcinania ich i pakowania, dziesięciu subjektów nie zrobiłoby tego, co tutaj robi jeden. Oszczędność musi być olbrzymia.

— Tak sędzę—rzekła Edytha—my zresztą nie znaliśmy nigdy sposobu innego. Ale, panie West, musisz pan poprosić kiedy ojca, aby poszedł z panem do centralnego składu, gdzie oni otrzymują zamówienia i rozsyłają sprawunki według adresów. Byłam tam z nim niedawno i nie mogłam się nadziwić. System jest niewątpliwie doskonały. Oto np. w tej klatce siedzi subjekt przyjmujący depesze. Ze wszystkich oddziałów towarowych przychodzą do niego zamówienia przy pomocy rur przesyłających. Pomocnicy jego segregują i kładą je do osobnych skrzynek. Subjekt ma przed sobą z jaki tuzin pneumatycznych przesyłaczy, z których każdy odpowiada

jakiejś ogólnej kategorii towarów i łączy się z odpowiednim oddziałem składu centralnego. Opuszcza on paczkę zamówień do tnby, a po kilku chwilach spada ona na odpowiednie biurko składu centralnego, wraz z innemi tegoż rodzaju zamówieniami innych składów próbek. Odczytanie zamówień, wniesienie ich do księgi i przesłanie ich wykonawcom, odbywa się z szybkością błyskawicy. Sądzę, że właśnie wykonanie to jest ekspedycja, jest najciekawsza. Sztuki materyi na wałkach nawija maszyna, krajczy zaś, również maszyną odcina jeden obstatek po drugim, a kiedy się zmęczy, ustępuje miejsca innemu. W podobny też sposób dzieje się w innych wydziałach. Paki towarów opuszcza się w większe rury do zarządu rozmaitych dzielnic miejskich, z kąd rozsyła się je po domach. Jak dalece prędko wykonywa się to wszystko, przekona się pan najlepiej, gdy mu powiem, że mój sprawunek będzie w domu wcześniej, niż ja sama byłabym go ztąd doniosła.

— Jakże się urządzenie w mniej zaludnionych okręgach wiejskich.

— Panuje tam taki sam system—odrzekła Edytha—wiejskie składy wzorów połączone są za pomocą przesyłaczy z centralnymi składami towarów prowincyj, odległych niekiedy o jakie mil dwadzieścia; przesyłanie jest tak szybkie, że czasu traci się bardzo mało. Ale dla oszczędności, w wielu prowincjach jedna grupa rur, łączy kilka wiosek ze składem centralnym, a wówczas traci się czas na czekanie. Niekiedy otrzymuje się towary w dwie albo trzy godziny po zamówieniu. Tak było, gdym ba-

wiła przeszłego lata na wsi i było mi z tem bardzo niewygodnie *).

— Składy wiejskie zapewne pod wieloma innymi względami ustępują też miejskim.

— Nie — rzekła Edytha — pod każdym innym względem dorównują ono zupełnie. Skład wzorów w najmniejszej wiosce, tak samo jak i ten oto, pozwala wybierać ze wszelkich odmian, jakie tylko naród posiada, gdyż prowincjonalny skład towarów miewa je z tego samego źródła, co i skład miejski.

Gdyśmy szli razem, zwróciłem jej uwagę na wielką różnorodność wymiarów i wielkości domów.

— W jaki sposób, rzekłem, różnica ta godzi się z faktem, że wszyscy obywatele mają dochód jednaki.

— Bo chociaż dochód jest ten sam, to jednak osobiste upodobania stanowią o tem, w jaki sposób jednostka go zużytkuje. Niektórzy lubią piękne konie; inni, jak ja np., lubują się w ładnych strojach; jeszcze inni szukają wykwintnego stołu. Płaca roczna, jaką naród otrzymuje za te domy, zmienia się odpowiednio do ich rozmiarów, wytworności i położenia, tak, iż każdy znajduje zazwyczaj coś odpowiedniego dla siebie. Domy większe zajmowane są zwykle przez większe rodziny, z których kilka osób bierze udział w opłacie komornego; tymczasem rodziny mniejsze, jak nasza np., uważają mniejszy lokal

*) Kiedy już książka ta była w druku, dowiedziałem się, iż rychło owa niedogodność okręgów wiejskich ma być usunięta, oraz, że każda wioska ma mieć własne swe rury.

za rzecz bardziej dogodną dla siebie i ekonomiczną. Zależy to całkowicie od upodobania i względów wygody. Czytałam, że za czasów dawnych, ludzie częstokroć żyli wystawnie i dopuszczali się innych rzeczy podobnych, jedynie aby pokazać światu, że są bogatsi, niż to było w istocie. Czy to prawda, panie West?

— Muszę przyznać, że tak było naprawdę, odrzekłem.

— Dzisiaj nie mogłoby tak być, jak pan widzi, gdyż dochód każdego jest wiadomy; wiadomo też, że to, co się wydaje w jednym zakresie, musi być oszczędzone w drugim.



ROZDZIAŁ XI.

Kiedyśmy przyszli do domu, doktor Leete nie był jeszcze powrócił, a pani Leete nie ukazywała się wcale.

— Lubisz pan muzykę, panie West — zapytała Edytha.

Odrzekłem, że nie mógłbym się obejść bez muzyki.

— Powinnabym była przeprosić za takie pytanie; nie zadaje się go u nas dzisiaj, ale czytałam, że za waszych czasów nawet wśród ludzi wykształconych bywali tacy, którzy nie cenili muzyki.

— Dla usprawiedliwienia nas muszę pani przypomnieć, że mieliśmy wówczas najniedorzeczniejsze jej rodzaje.

— Tak, wiem o tem, może i mnie nie zachwycałaby ona. Chcesz pan posłuchać dzisiejszej?

— Byłbym zachwycony, gdybym mógł usłyszeć panią.

— Mnie — zawołała, śmiejąc się. — Czyż myśli pan, że będę grała albo śpiewała dla pana.

— Tak przypuszczałem.

Widząc, że trochę zmieszany, poskromiła swoją wesołość i rzekła:

— Naturalnie, my wszyscy śpiewamy dzisiaj dla wyćwiczenia głosu, niektórzy zaś uczą się grać na różnych instrumentach dla własnej uciechy; ale muzyka zawodowa jest o tyle piękniejsza i doskonalsza od naszej prywatnej i słyszeć ją tak jest łatwo, iż nawet nie śni się nam nazywać muzyką naszych własnych śpiewów lub grania. Wszyscy istotnie uzdolnieni śpiewacy i muzycy pełnią odpowiednią służbę, my zaś najczęściej siedziemy cicho. Ale czy pan chcesz naprawdę posłuchać muzyki?

Upewniłem ją raz jeszcze, że tego pragnę.

— Chodźmy więc do pokoju muzycznego — rzekła Edytha — prowadząc mnie do pięknie wykończonego apartamentu bez obić i dywanów, gdzie podłoga i ściany były z polerowanego drzewa.

Spodziewałem się, że znajdę tam jakieś nieznanne sobie narzędzie muzyczne, ale nie spostrzegłem nic takiego, co by naprowadzić mogło na myśl o muzyce. Zdziwienie moje bardzo bawiło Edythę.

— Proszę zobaczyć, jaki jest program dnia — rzekła, podając mi kartę — i powiedzieć mi, co pan woli? Niech pan nie zapomina, że jest teraz piąta.

Karta nosiła datę 12 września 2000 r., zawierała program muzyczny większy, niż kiedykolwiek zdarzyło mi się widzieć. Był on zarówno długi jak i urozmaicony, przedstawiał niezwykle szereg instrumentalnych i wokalnych występów solowych, duetów,

kwartetów, oraz rozmaitych kombinacyj orkiestrowych. Byłbym pozostał w zdumieniu nad cudowną tą listą, gdyby różowy paluszek Edythy nie wskazał mi jednego z jego działów z napisem: „godz. 5 w.”; wówczas spostrzegłem, że był to program całej doby, podzielony na 24 części, odpowiednio do liczby godzin. Niewiele sztuk przypadało na godzinę piątą, ja zaś wybrałem utwór na organy.

— Jakże się cieszę, że pan lubisz organ; sądzę, że żaden instrument nie odpowiada równie często memu usposobieniu.

Kazała mi usiąść wygodnie, przeszła przez pokój i, o ile mogłem dojrzeć, nacisnęła jeden lub dwa guziczki w ścianie, a natychmiast pokój napełnił się dźwiękami wspaniałej muzyki organów; mówię, że się napełnił, nie utonął w dźwiękach, gdyż jakimś dziwnym sposobem fala ich zastosowaną była do rozmiarów pokoju. Słuchałem, zatrzymując w sobie oddech. Nie sądziłem, że kiedykolwiek posłyszę muzykę podobnie wykończoną.

— Wspaniałe — zawołałem, gdy ostatnia fala dźwięków spłynęła i roztopiła się w ciszy.— Chyba sam Bach był tutaj wykonawcą. Ale gdzież są organy.

— Poczekaj pan chwilę — rzekła Edytha — zanim pomówimy, chciałabym, abys pan posłuchał jednego walca.

Gdy mówiła jeszcze, dźwięki skrzypiec poczęły napełniać salę czarem „Nocy letniej”. Kiedy i to się skończyło, Edytha rzekła:

— W muzyce tej nie ma nic a nic tajemniczego, jakbyś pan mógł sobie wyobrażać, sprawcami jej

nie są ani wróżki, ani genjusze, ale dobre, poczciwe i niezmiernie biegle ręce ludzkie. Oto, poprostu, tak samo do naszej służby muzycznej, jak i do innych zakresów, zastosowaliśmy zasadę oszczędności pracy przez kooperację. W mieście istnieje pewna liczba sal koncertowych, doskonale przystosowanych pod względem akustycznym do rozmaitych rodzajów muzyki. Sale te, za pomocą telefonów, łączą się ze wszystkimi domami miasta, których mieszkańcy chcą płacić małą daninę, a możesz pan być pewnym, że nie ma takich, coby tego nie chcieli. Brygady muzyków, konsystujące przy każdej sali, są tak wielkie, że jakkolwiek każdy wykonawca lub grupy wykonawców biorą nieznaczny tylko udział, program dnia rozciąga się na 24 godziny. Na karcie dzisiejszej spotrzeżesz pan, przyjrzawszy się jej bliżej, odrębne programy czterech z pomiędzy takich koncertów, z tych zaś każdy składa się z innego rodzaju muzyki i odbywa się jednocześnie z innymi; każdej z czterech sztuk, granych w tej chwili, możesz pan słuchać, nacisnąwszy tylko guzik drutu łączącego dom z salą, w której sztuka jest wykonywaną. Programy tak są ułożone, iż sztuki, grane jednocześnie i w rozmaitych salach, różnią się nietylko pod względem instrumentalno-wokalnym ale i pod względem rodzaju instrumentów, oraz pod względem motywów; mamy tu rzeczy poważne i wesołe, tak, iż wszelkim upodobaniom i usposobieniom można uczynić zadość.

— Zdaje mi się, panno Leete, rzekłem, że gdybyśmy mogli wynaleźć sposób dostarczenia każdemu w jego domu muzyki doskonałej pod względem jakości, nieograniczonej co do ilości, zastosowanej do

wszelkich usposobień, odzywającej się i milknącej stosownie do woli, pomyślelibyśmy, żeśmy już dosięgli kresów ludzkiej szczęśliwości i przestalibyśmy się starać o rozwój dalszy.

— Nigdy z pewnością nie mogłam zrozumieć, w jaki sposób ludzie, którzy za waszych czasów byli lubownikami muzyki, godzili się z owym starym systemem korzystania z niej—odrzekła Edytha.— Muzyka, istotnie godna tej nazwy, była, jak sądzę, całkiem niedostępną dla was; najszczęśliwsi zaś miewali ją przypadkiem z wielkimi kłopotami i ze znacznym wydatkiem i to przez czas krótki, dowolnie przez kogoś obrany. Naprzykład wasze koncerty i opery! Jak rozpaczliwem musiało być dla was siedzieć i słuchać całemi godzinami tego, czegoście słuchać nie chcieli dla doczekania się w końcu jednej lub dwóch sztuk ulubionych! Przy obiedzie każdy może pomijać potrawy, których nie lubi. Najbardziej głodny nie obiadowałby nigdy, gdyby mu kazano jeść wszystko, cokolwiek podanem będzie na stół; słuch z pewnością nie jest mniej wrażliwym od smaku. Przypuszczam, że właśnie niemożność słyszenia dobrej muzyki, nakłaniała do grywania w domu, tak wiele osób, które nie miały po temu prawie żadnych zdolności.

— Tak, odrzekłem, dla większości z nas była to muzyka jedynie dostępna.

— Chyba; to też nie dziwnego, że za dni waszych ludzie nie lubili tak powszechnie muzyki, ja sama może nienawidziłabym jej wówczas.

— Jeślim panią dobrze zrozumiał, zapytałem, to ten program muzyczny rozciąga się do całej doby,

tak jest przynajmniej na karcie, ale któż będzie słu-
chał muzyki np. pomiędzy północą a rankiem?

— O, bardzo wielu; u nas ludzie śpią i czuwa-
ją, kiedy im się spodoba. Gdyby jednak z tej mu-
zyki nie korzystał kto inny, to korzystaliby z niej
ludzie cierpiący na bezsenność, chorzy i umierający.
We wszystkich naszych sypialniach są nad łózkami
guziki telefonów, i każdy, komu nie udaje się za-
snąć, może mieć na zawołanie muzykę, odpowiadają-
cą jego usposobieniu.

— Czy jest taki przyrząd w sypialni, przezna-
czonej dla mnie.

— Ależ z pewnością! Jakżem nie mądra, o, jak-
żem ja nie mądra, żem nie powiedziała panu o tem
wczoraj wieczorem. Ale ojciec pokaże panu cały
przyrząd, zanim pan pójdzie spać dzisiaj, a przy je-
go pomocy będzie pan mógł odpędzić wszelkie nie-
znośne myśli, gdyby napastowały pana dziś znowu.

Wieczorem doktor Leete rozpytywał się nas
w przedmiocie wycieczki do składu towarów, a w cią-
gu wesołego porównywania rozmaitych urządzeń
wieku XIX i XX, jakaś okoliczność nasunęła mi
myśl o prawach dziedziczenia.

— Przypuszczam, rzekłem, iż dziedziczenie włas-
ności nie jest dozwolone dzisiaj.

— Przeciwnie—odparł doktor Leete—nikt nas
w tem nie krępuje. Faktycznie, panie West, znaj-
dziesz pan, gdy pan nas poznasz, iż mamy dzisiaj
o wiele mniej skrępowań wolności osobistej, aniżeli te,
do jakich wyście byli przyzwyczajeni. Wymagamy
istotnie, aby każdy przez pewien okres czasu służył
narodowi i nie pozostawiamy mu natomiast wolności

wyboru pomiędzy pracą, kradzieżą lub śmiercią głodową, jakieście to wy czynili. Ale, z wyjątkiem tego prawa zasadniczego, które jest tylko kodyfikacją prawa przyrody, wyrokiem wygnania z raju, z wyjątkiem tym, który zarówno ciąży na wszystkich naszych współbliźnich, system nasz nie jest już zależny od żadnego szczególnego prawodawstwa i przedstawia się, jako całkiem dowolny i logiczny wynik działania ludzkiej przyrody w warunkach racjonalnych. Sprawa dziedziczenia jest właśnie tego żywym przykładem. Ten fakt, że naród jest jedynym kapitalistą i posiadaczem ziemskim, ogranicza, naturalnie, własność jednostki li tylko do jej rocznego kredytu, oraz do rzeczy osobistych i gospodarczych, jakie może sobie zdobyć. Kredyt jej, tak jak dożywocie za dni waszych, ustaje wraz z jej śmiercią, przyczem wyznacza się jeszcze pewną sumę na pogrzeb.

— Cóż po pewnym czasie zapobiedz może u was takiemu nagromadzeniu się rzeczy wartościowych i klejnotów w rękach jednostek, jakie groziłoby poważnie równości obywateli?

— Urządza się to samo przez się. Przy obecnej organizacyi społecznej, takie nagromadzenie własności osobistej staje się tylko ciężarem z chwilą, gdy przekroczy granicę nabytków, służących ku wygodzie osobistej. Za dni waszych człowiek, któryby nappełnił cały swój dom srebrnem i złotem naczyniem, rzadką porcelaną chińską, kosztownemi sprzętami i t. p., uważany byłby za bogacza, gdyż wszystkie te przedmioty przedstawiałyby pieniądz i mogłyby nań być zmienione w danym razie. Dzisiaj człowiek, któregooby jednoczesna śmierć wielu krewnych

postawiła w takim położeniu, uważany byłby za bardzo nieszczęśliwego. Ponieważ przedmiotów tych sprzedawać niewolno, nie miałyby one dla niego żadnej wartości z wyjątkiem tylko tych wypadków, gdy służyłyby ku bezpośredniemu jego użytkowi albo ozdobie. Z drugiej strony, ponieważ dochód jego pozostałby jednakim, więc nie chciałby on obarczać swego rocznego kredytu, wynajmując dom na przechowanie tych zasobów, albo też płacąc służbie, któraby ich pilnowała. Możesz pan być pewnym, iż taki człowiek, nie tracąc czasu, byłby rozdał swym przyjaciółom ową własność, któraby go tylko zubożała, oraz, że nikt z jego przyjaciół nie chciałby wziąć od niego nic więcej nad to, czemu mógłby wyznaczyć u siebie miejsce i do pilnowania czego miałby dość czasu. Widzisz więc pan, że zakaz dziedziczenia własności osobistej w celach, zapobiegających jej nagromadzeniu się, byłby ostrożnością zbytęzną ze strony narodu. Można ufać, iż każdy obywatel będzie czuwał nad tem, aby brzemię jego nie było zbyt wielkie. Tak dalece troskliwym on bywa pod tym względem, iż krewni najczęściej zrekają się prawa do większości rzeczy, pozostałych po nieboszczyku, zachowując tylko dla siebie przedmioty niektóre. Naród wchodzi w posiadanie sprzętów innych i te z nich, które posiadają jakąś wartość, zalicza znowu do wspólnego kapitału narodowego.

— Mówiłeś pan o płaceniu za pilnowanie rzeczy, powiedzenie to nasuwa mi pewne pytanie, które wielokrotnie chciałem już zadać. W jaki sposób rozstrzygnęliście sprawę służby domowej? Któż może chcieć być sługą w społeczności, gdzie wszyscy

są sobie równi? Nasze panie z trudem znajdowały sobie służbę nawet wówczas, gdy mało jeszcze było uroszczeń do równości.

— Właśnie dla tego, że wszyscy jesteśmy równi pod względem społecznym, i że równości tej nic nie może na szwank narazić, oraz dla tego, że służba jest rzeczą zaszczytną w społeczeństwie, którego podstawowa zasada polega na tem, iż wszyscy po kolei służą innym, dla tego moglibyśmy mieć taką służbę domową, o jakiej wam się nie śniło; ale nie potrzebujemy jej wcale.

— Jakże się więc urządza państwo z zajęciami domowymi?

— Nie ma tu nic do robienia — odrzekła pani Leete, do której się zwróciłem z zapytaniem — pranie nasze odbywa się w pralniach publicznych za cenę niezmiernie niską, gotowanie zaś w publicznych kuchniach. Szycie i reperacja wszelkiej odzieży odbywa się w zakładach publicznych. Elektryczność, naturalnie, zajęła miejsce wszelkiego opału i oświetlenia. Szukamy domów nie większych niż te, jakich nam potrzeba, a to aby mieć jaknajmniej kłopotu z utrzymywaniem ich w porządku. Nie używamy zgoła sług domowych.

— Ten fakt — dodał doktor Leete — że w klasach uboższych wyście znajdowali niezliczone zastępy sług, na których wkładaliście wszelkie ciężkie i bardziej nieprzyjemne roboty, pozostawiał was obojętnymi na środki uniknięcia tych robót. Ale dzisiaj my wszyscy musimy wykonywać po kolei wszelkie roboty, jakich tylko potrzebuje społeczeństwo; każda więc jednostka jest zarówno zainteresowana osobiście

w wynajdywaniu środków ulżenia ciężarom. Fakt ten nadał przedziwny impuls wszelkim wynalazkom, mającym na celu oszczędzenie pracy we wszystkich gałęziach przemysłu, jednym zaś z najpierwszych tego wyników było skojarzenie możliwie największej wygody, oraz najmniejszej kłopotliwości w urządzeniach domowych. W szczególnych wypadkach gospodarczych, jak np. przy jakim odświeżaniu lub odnawianiu, albo w razie choroby, miewamy zawsze zapewnioną sobie pomoc sił roboczych.

— Ale, w jaki sposób wynagradzacie tych pomocników, nie mając pieniędzy?

— To też nie płacimy im samym ale narodowi za nich. Usługi ich można otrzymać, zwracając się do właściwego biura, zapłatę zaś wykreśla się z kredytowej karty proszącego.

— Cóż za raj musi być dzisiaj dla kobiet, zawołałem. Za dni moich nawet bogactwo i mnogość służby nie uwalniały pań od trosk gospodarskich, gdy tymczasem kobiety z klas mniej zamożnych lub biedniejszych żyły i umierały, jako męczennice swych kłopotów.

— Tak—rzekła pani Leete—czytałam coś o tem, przynajmniej tyle, aby się przekonać, że jakkolwiek źle było waszym mężczyznom, to jednak szczęśliwsi byli oni, niż matki wasze i żony.

— Potężne barki narodu—rzekł doktor Leete—nie czują dziś prawie ciężaru tego, co za dni waszych było brzemieniem, uginającym grzbiety waszych kobiet. Nędza ich wraz z innemi waszemi nędzami, pochodziła z nieudolności do współdziałania, jaka wynikała z indywidualizmu, będącego podstawą wa-

szego ustroju społecznego, wypływała z nieudolności waszej dopatrzania się tego, iż mogliście dziesięć razy więcej korzystać z waszych bliźnich, jednocząc się z nimi, aniżeli walcząc. Dziwnem jest nie to, żeście nie żyli wygodnie, ale żeście wogóle zdolni byli żyć razem, żywiąc jawną skłonność robienia sobie wzajemnie swemi sługami, oraz zapewniając sobie posiadanie mienia cudzego.

— Ależ, ojcze, gdy będziesz tak okrutnym, pan West pomyśli, że go łajesz — śmiejąc się wtrąciła Edytha.

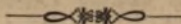
— Gdy potrzebujecie doktora, spytałem, czy wówczas poprostu zawiadamiacie właściwe biuro i przyjmujecie tego, kogo wam przysłał?

— Nie byłoby to dobrem w odniesieniu do lekarzy—odpowiedział doktor Leete—pomoc, jaką lekarz okazać może chorym, w znacznej mierze zależną jest od poznania ich skłonności i budowy. Chory więc musi mieć możność przywoływania takiego lekarza, jakiego sam zechce, jakoż czyni to tak samo, jak za dni waszych. Jedyna różnica na tem polega, że zamiast zbierać honoraryjum dla siebie, lekarz zbiera je dla narodu, wykreślając, stosownie do pewnej skali wynagrodzenia za pomoc lekarską, odpowiednią kwotę z kredytowej karty chorego.

— Wyobrażam sobie, że jeżeli honoraryjum jest zawsze jednakie i doktor nie może nie przyjmować pacjentów, do czego, jak przypuszczam, ma prawo, to dobrzy lekarze są ciągle wzywani, zaś gorsi pozostają w bezczynności.

— Naprzód, jeżeli zechcesz pan tylko przebaczyć pozorną zarozumiałość w uwadze wysłużonego

lekarza—odpowiedział doktor Leete—nie mamy doktorów gorszych. Człowiek, któremu udało się nalykać trochę terminów lekarskich, nie może dziś tak, jak za waszych czasów, robić sobie doświadczeń na ciele obywateli. Tacy tylko, co złożyli ścisły egzamin i jasno dowiedli swego powołania, mogą praktykować. Dalej, zauważ pan, iż żaden lekarz nie usiłuje dziś tworzyć sobie praktyki kosztem lekarzy innych, gdyż nie ma po temu żadnych pobudek. Nakoniec, doktor zdaje regularną sprawę ze swych czynności urzędowi lekarskiemu i jeśli nie jest dostatecznie zajęty, wyznacza mu się robotę.



ROZDZIAŁ XII.

Ponieważ musiałem robić nieskończenie wiele zapytań, zanim jako tako zapoznałem się z urządzeniami XX stulecia, a dobroć doktora Leete zdawała się być również nieskończoną, więc, kiedy panie nas opuściły, zasiedliśmy znowu do kilkogodzinnej pogawędki. Przypomniawszy doktorowi, na czem przerwailiśmy naszą rozmowę zrana, wyraziłem chęć dowiedzenia się, w jaki sposób organizacja armii przemysłowej umiała znaleźć dość skuteczne sposoby zachęcenia swych członków do pilności, skoro pracownik wolny był od wszelkiej troski o swój dobrobyt.

— Przedewszystkiem, musisz pan zrozumieć, że sprawa owych bodźców zachęcających do staranności jest jednym tylko z celów, jakie ściga organizacja naszej armii. Drugim, niemniej ważnym celem jest zapewnienie sobie przewodników, dowódców pracy i wielkich wodzów narodu, ludzi wypróbowanych zdolności, którym sam przebieg ich życia, daje moż-

ność utrzymywać tych, co za nimi idą, na stanowisku najwyższej sprawności i nie pozwalać na lenistwo. Odpowiednio do tych dwóch celów, ogół członków armii przemysłowej dzieli się na cztery klasy główne. Naprzód pracownicy nie wykwalifikowani, pospolici robotnicy, wyznaczani do wszelkiego rodzaju robót, zazwyczaj gorszych. Do tego oddziału należą wszyscy nowozaciężni w ciągu trzech lat pierwszych. Powtóre, mamy terminatorów, t. j. ludzi, którzy po wyjściu z oddziału uprzedniego spędzają pierwszy rok na wdrażaniu się do swoich zawodów. Po trzecie, mamy główny korpus pracowników skończonych, złożony z ludzi w wieku od lat 25 do 45. Po czwarte, przełożonych, poczynając od najniższych, mających obowiązek dozoru ludzi, aż do najwyższych. Każda z tych czterech klas podlega innej dyscyplinie. Pracownicy przedklasowi, jako wykonywający robotę mieszaną, nie mogą, naturalnie, podlegać tak ścisłemu stopniowaniu, jak wyżsi. Uważamy ich za wychowañców pewnego rodzaju szkoły, w której przystosowują się do wymagań życia przemysłowego. Niemniej wszakże prowadzi się ich kontrolę osobistą, a celujący otrzymują wyróżnienie, co pomaga oryjentować się nam w ich zawodzie późniejszym mniej więcej tak, jak dyplomy i nagrody uniwersyteckie waszych czasów. Dalej idzie rok terminatorstwa. W terminie, pierwszy kwartał poświęca się na zdobycie początków danego zawodu, ale w ciągu trzech kwartałów ostatnich zwraca się już na terminatora uwagę szczególną w tym celu, aby oznaczyć, jaką rolę dać mu potrzeba będzie, gdy się stanie pracownikiem skończonym. Dziwnem się mo-

że wydać, że okres terminatorstwa jednaki jest we wszystkich zawodach, ale czyni się to dla ujednostajnienia systemu; w praktyce, zaś system ów działa właśnie tak, jak gdyby okres był różny, stosownie do większej lub mniejszej trudności powołania. W takich bowiem wypadkach, kiedy terminator nie może osiąść umiejętności swej w ciągu jednego roku, staje się on później pracownikiem stopnia niższego i uczy się dalej, aż do nabrania zupełnej wprawy. Tak też w istocie bywa w większości wypadków. Pracownicy skończeni dzielą się na trzy stopnie, odpowiednio do swojej sprawności, każdy zaś stopień ma klasę pierwszą i drugą, a w ten sposób we wszystkich zawodach znajdziemy po sześć klas pracowników, odpowiednio do ich uzdolnień.

Aby ułatwić sobie sprawdzanie owej sprawności, wszelkie zajęcie przemysłowe, przy pomocy środków rozmaitych i niekiedy nawet może z pewną niedogodnością, prowadzonym jest „od sztuki”, kiedy zaś to jest bezwzględnie niewykonalnym, wówczas obiera się jakiś możliwie najlepszy środek zastępczy określania biegłości, Nadanie nowych stopni odbywa się coroku tak, iż zasługa nie potrzebuje nigdy czekać zbyt długo, a nadto nikt nie może spoczywać na laurach dawniej zdobytych, jeśli nie chce być zdegradowanym. Wyniki owych nadań, świadczące o stanowisku każdego w armii przemysłowej, ogłaszane bywają w gazetach. —

Oprócz owej wielkiej pobudki do działania, polegającej na tem, że zaszczytne stanowiska w narodzie dostępnymi są dla pracowników klasy najwyższej, istnieją jeszcze rozmaite rodzaje pomniejszych,

jakkolwiek może równie skutecznym bodźców, w postaci szczególnych nagród i przywilejów, z jakich korzystają członkowie wyższej klasy. Będzie te, wogóle niezbyt ważne, mają wszakże ten skutek, iż nikomu nie pozwalają zapominać, że pożądanym jest dlań osiągnięcie stopnia wyższego.

Ważnym jest, iż nietylko dobrzy ale i średni, oraz mierni robotnicy mogą żywić ambycję dostąpienia awansu. Istotnie, ponieważ liczba ostatnich jest o wiele większą, przeto ważniejszą jest rzeczą to, aby nasz system stopniowania ich nie zniechęcał, aniżeli to, aby pobudzał innych. W tym to właśnie celu stopnie podzielone są na klasy. Ponieważ liczba klas jest wszędzie równą, przeto w każdym czasie, odliczając urzędników (oficerów), robotników przedklasowych i terminatorów, przeszło $\frac{1}{8}$ armii przemysłowej należy do klasy najniższej, większość zaś jej — są to pracownicy niedawno wypuszczeni z terminu, z których każdy oczekuje awansu. Aby jeszcze bardziej zachęcić ludzi niewielkich uzdolnień do pracy możliwie najlepszej, ci, którzy po osiągnięciu stopnia wyższego powracają znowu na niższy, nie tracą owoców swego wysiłku, ale zachowują sposobem tytułu honorowego godność swą uprzednią. Wynik tego jest taki, że w naszym systemie stopniowania ci, którzy nie mogą dostać żadnej nagrody ku uraczeniu ich dumy i którzy pozostają przez cały okres służby w klasie najniższej, stanowią zaledwie drobny ułamek armii przemysłowej i odznaczają się zarówno obojętnością na swoje stanowisko, jak i nieudolnością podwyższenia go.

Zresztą, do tego, aby pracownik miał przynaj-

mniej choć przedsmak sławy, nie potrzeba, iżby otrzymywał on promocyję na stopień wyższy. Promocya każe domyślać się celowania we wszystkich gałęziach danej pracy, gdy tymczasem istnieją jeszcze wzmianki zaszczytne i rozmaite rodzaje wyróżnień dla odznaczenia sprawności mniejszej, niż ta, jaka daje prawo do promocyi, a również dla nagradzania czynów i robót poszczególnych. Zamiarem naszym jest, iżby żadna postać zasługi nie została całkowicie pominięta.

Co do wypadków istotnego zaniedbania się w pracy, przedstawiania roboty stanowczo złej, oraz co do innych dowodów opieszałości ze strony ludzi, niezdolnych ulegać pobudkom szlachetniejszym, to karność naszej armii przemysłowej jest zbyt ścisła, iżby pozwalać miała na wiele takich objawów. Człowiek, zdolny do pełnienia obowiązków, lecz uparcie wzbraniający się od tego, odosobnionym bywa od wszelkiej społeczności ludzkiej.

Najniższego stopnia oficerowie armii przemysłowej, t. j. pomocnicy dozorców, czyli porucznicy, mianowani są z pomiędzy tych, którzy przebyli dwa lata w pierwszych klasach pierwszego stopnia. Tam, gdzie porządek taki pozostawia wyborowi granice zbyt szerokie, tylko pierwsza grupa tej klasy jest obieralną. W ten sposób ktokolwiek dochodzi do stanowiska zwierzchniczego, miewa już około 30 lat wieku. Kiedy ktoś stanie się oficerem, wówczas wynagradzanie jego zależy, naturalnie, nie od sprawności jego własnej pracy, ale od pracy jego ludzi. Dozorców wyznacza się z pomiędzy ich pomocników w taki sam sposób, t. j. ograniczając wybór do gru-

py małej. W mianowaniu wyższych urzędników posługujemy się zasadą inną, której tłumaczenie jednak zabrałoby tu zbyt wiele czasu.

Rzecz jasna, iż opisanego przezemnie systemu stopniowania nie dałoby się zastosować do małych przedsiębiorstw waszej epoki, w których czasem bywało tak niewielu pracowników, iż nie wypadłoby po jednym na każdą klasę. Musisz pan przypomniać sobie, że w narodowej organizacyi przemysłu wszystkie jego gałęzie uprawiane są przez wielkie zbiorowiska ludzi, gdyż setki waszych ferm i warsztatów myśmy połączyli w jedno. Nadzorca więc u nas jest prawie tak, jak pułkownik, albo nawet generał w wojsku waszym.

A teraz, panie West, na podstawie tego, zarysowanego przezemnie szkicu, zapytuję pana, czy ludzie, potrzebujący szczególnych bodźców do pracy, mogą uskarżać się na brak ich w naszym systemie?

Odrzekłem, iż, jak mi się zdawało, jeżeli można było robić tu jakiś zarzut, to chyba taki, że bodźce były zbyt silne; że młodzież zmuszano do podążania krokiem zbyt pospiesznym; nadto, zrobiłem skromną uwagę, że dłuższy pobyt wśród ich systemu i lepsze z nim zapoznanie się nie wpłynęły na zmianę mego pod tym względem mniemania.

Doktor Leete wszakże zaczął mnie reflektować; jakoż prawie gotów byłbym wyznać, że całkiem zadawalniającą była jego odpowiedź, w której zwrócił uwagę, iż dobrobyt pracownika nie zależał bynajmniej od jego rangi, oraz, że troska o ten dobrobyt nigdy nie podnosiła goryczy jego rozczar-

rowań; że godziny pracy są krótkie, wypoczynek zaś przysługuje każdemu regularnie, że wszelkie współzawodnictwo ustaje w 45 roku, t. j. w połowie życia.

— Jest jeszcze parę innych punktów, na które musiałbym zwrócić uwagę pana, aby sprostować te mylne jego wyobrażenia. Najprzód musisz pan zrozumieć, że ten system oddawania pierwszeństwa pracownikom lepszym przed gorszymi bynajmniej nie paczy zasadniczej idei naszego układu społecznego, iż wszyscy, co pracują według sił swoich, równe mają zasługi, bez względu na to, czy wielkimi, czy małymi są owoce ich pracy. Wykazałem, iż system zbudowany jest tak, iżby mógł zarówno zachęcać silniejszych jak też i słabszych nadzieją awansu, gdy tymczasem ten fakt, że silniejszych wybiera się na przewodników, bynajmniej nie ubliża słabszym, służy zaś interesom całości.

Nie wyobrażaj pan sobie, że dlatego, iż współzawodnictwu pozostawia się w naszym systemie wolne pole, jako bodźcowi, mielibyśmy uważać je za pobudkę, godną ludzi szlachetniejszych albo też zdolną podniecić ich. Tacy znajdują swój bodziec wewnątrz siebie, nie zaś na zewnątrz i mierzą obowiązek swój skalą uzdolnień własnych, nie zaś cudzych. Dopóki czyny ich odpowiadają ich siłom, uważaliby oni za rzecz niesłuszną spodziewać się kary albo nagrody, z powodu, iż udało się im wykonać pracę lepiej lub gorzej. Takim osobistościom współzawodnictwo wydaje się czemś niedorzecznem ze stanowiska filozoficznego i nagannem ze stanowiska moralności, gdyż wobec powodzenia albo niepowodzenia

innych, rodzi w nas ono radość zamiast podziwu i przesadę zamiast żalu.

Ale nie wszyscy ludzie, nawet w tym ostatnim roku XX stulecia, należą do tej kategorii wyższej; jakoż dla tych, którzy takimi nie są, potrzeba koniecznie bodźców, odpowiadających ich niższej przyrodzie, dla nich więc właśnie pozostawia się owo najzarliwsze współzawodnictwo, jako pobudkę stałą. Ci, którzy jej potrzebują, ulegać będą jej wpływom; ci zaś, co są nad nią wyżsi, nie potrzebują jej.

— Nie powinienem jeszcze zapominać—kończył doktor Leete — że dla jakiego takiego zrównania z główną armiją robotniczą takich, którzy się odznaczają szczególną słabością sił umysłowych, albo cielesnych, znamy pewną kategorię osobną: posiadamy mianowicie rodzaj korpusu inwalidów, którego członkom wyznacza się zadania łatwe, odpowiadające ich siłom. Wszyscy nasi towarzysze, chorzy na umyśle albo ciele, wszyscy głusi i niemi, kulawi, ślepi i ułomni, a nawet waryjaci nasi należą do owego korpusu inwalidów i mają odpowiednie odznaki. Najsilniejsi z pomiędzy nich robią częstokroć prawie tyle, co człowiek zwyczajny, najsłabsi naturalnie nie robią nic; ale każdy kto może zrobić cośkolwiek, nie wyrzeka się pracy dobrowolnej. Nawet obłąkańcy nasi, w chwilach jaśniejszych, żądni są jakiejś roboty, odpowiadającej ich zdolnościom.

— Bardzo piękna jest ta myśl korpusu inwalidów; nawet barbarzyńca wieku XIX może to ocenić. Jest to bardzo wdzięczny sposób zamaskowania miłośierdzia i musi też przyjemnie oddziaływać na uczucia tych, którzy go doznają.

— Miłosierdzia—powtórzył doktor Leete—czyż przypuszczasz pan, że my na tę kategorię ludzi patrzymy, jak na przedmiot miłosierdzia?

— Tak sędzę, nie mogą bowiem zdobyć się na utrzymywanie siebie samych.

Ale doktor przerwał mi szybko.

— Któż jest zdolnym do tego—zapytał.—W społeczeństwie cywilizowanem nie może być mowy o utrzymywaniu się samodzielnie. W stanie takiego barbarzyństwa, kiedy nawet współdziałanie rodzinne jeszcze nie istnieje, każda jednostka zapewne musi utrzymywać się sama, jakkolwiek zresztą i wówczas nie zdolną jest do tego przez całe życie. Ale z chwilą, gdy ludzie poczynają żyć razem, tworząc bodajby społeczność najpierwotniejszą, utrzymanie takie staje się niemożliwem. W miarę rozrostu cywilizacji ludzkiej, podziału zajęć i usług, prawem powszechnem staje się zależność wzajemna. Każdy człowiek, jakkolwiek odosobnionem wydawałoby się jego zajęcie, jest wówczas członkiem rozległej spółki przemysłowej, tak wielkiej jak cały naród, jak ludzkość cała. Nieodzowność wzajemnej zależności każe domyślać się obowiązku, oraz rękojmi wzajemnego utrzymywania się, ta zaś okoliczność, iż nie było tak za dni waszych, stanowiła właśnie o niedorzeczności i okrucieństwie waszego systemu.

— Wszystko to być może, odrzekłem, nie dotyczy to jednak tych, co zgoła niezdolni są do brania udziału w ogólnej wytwórczości przemysłowej.

— Zapewne powiedziałem panu dziś zrana, a przynajmniej sędzę, że powiedziałem, iż prawo człowieka do żywienia się przy biesiadnym stole naro-

dowym zależy od samego faktu jego człowieczeństwa, nie zaś od zasobu jego zdrowia i siły, a to dopóty, dopóki nie przestaje on pracować wedle sił swoich.

— Powiedziałeś pan to, ale sądziłem, że prawidło stosowało się jedynie do pracowników rozmaitego stopnia zdolności. Czyżby stosowało się również do tych, co nie mogą robić nic zgoła?

— Alboż tacy nie są również ludźmi?

— Więc mam rozumieć, że kulawi, ślepi i niedołężni korzystają z dochodów jednakich na równi z pracownikami najbardziej sprawnymi.

— Niewątpliwie, odpowiedziano mi.

— Wszelka myśl o miłosierdziu na tak szeroką skalę byłaby wprawiała w osłupienie naszych najgorliwszych filantropów.

— Gdy masz pan chorego brata w domu, niezdolnego do pracy, czyż będziesz go żywił gorzej, czy dasz mu gorszą odzież lub mieszkanie, niż sobie samemu? Daleko prędzej oddałbyś mu pan pierwszeństwo, nie myśląc nazywać tego miłosierdziem. Czyż wyraz ten, w takim znaczeniu użyty, nie napełniłby pana oburzeniem.

— Naturalnie, ale przykład ten nie odpowiada tamtemu. Jużciż w pewnym znaczeniu wszyscy ludzie są braćmi, ale tego braterstwa ogólnego, pomijając chyba zwroty krasomówcze, niepodobna porównywać z braterstwem krwi, tak pod względem uczuć, jak i obowiązków.

— Mówi przez pana wiek XIX—zawołał doktor Leete. Ach, panie West, ani wątpić, żeś spał pan bardzo długo. Gdybym musiał dać panu w jed-

nem jakimś zdaniu klucz do zrozumienia tego, co może wydawać się tajemnicą naszej cywilizacji w przeciwstawieniu do waszej, powiedziałbym, iż kluczem owym jest ten fakt, że solidarność rodu człowieczego i braterstwo ludzi, które dla was były tylko pięknym frazesem, dla naszych myśli i uczuć są już tak istotnymi i tak żywotnymi więzami jak i braterstwo fizyczne.

Ale, nawet usunąwszy te względy, nie widzę, dlaczego miałoby pana dziwić, że tym, którzy pracować nie mogą, daje się prawo żyć kosztem tych, co do pracy są zdolni. Nawet za dni waszych powinność służby wojskowej dla obrony narodu, powinność, której odpowiada nasza służba przemysłowa, obowiązując tych, co zdolnymi byli do jej wykonywania, nie pozbawiała jednak prawa obywatelstwa takich, którzy do niej zdolnymi nie byli. Ci ostatni pozostawali w domu, korzystając z obrony tych, którzy walczyli, a nikt nie podawał w wątpliwość równości ich praw z walczącymi. Podobnie też i teraz, wymaganie służby przemysłowej od ludzi, którzy są do niej zdolni, nie pozbawia przywilejów obywatelstwa, (polegających dziś na dostarczeniu możliwości utrzymania się) tych, którzy pracować nie mogą. Pracownik nie dlatego jest obywatelem, że pracuje, ale pracuje dlatego, że jest obywatelem. Tak samo jak wycie uznawali obowiązek silnych—walczenia za słabszych, tak my dzisiaj, gdy walki już przeminęły, uznajemy ich obowiązek pracowania za nieudolnych.

Rozwiązanie, pozostawiające jeszcze coś niewytłomaczonego, nie jest zgoła rozwiązaniem; to też

nasze rozstrzygnięcie zagadnienia o społeczności ludzkiej nie byłoby zupełnem, gdyby kulawych, chorych i ślepych, na równi ze zwierzętami, pozostawiano własnemu przemysłowi. Daleko lepszem byłoby opuścić w taki sposób silnych i zdrowych, aniżeli tych nieszczęśliwych, o których troszczyć się winno każde serce i którym przed wszystkimi innymi należałoby zapewnić wygody ducha i ciała. Tak więc, jakem to już panu powiedział zrana, prawo każdego mężczyzny, kobiety lub dziecka do środków utrzymania wspiera się tylko na tej oczywistej, szerokiej i prostej podstawie, iż są oni współtowarzyszami jednego rodu—członkami jednej rodziny ludzkiej. Jedyną u nas monetą obiegową jest obraz Boga; stanowi on też dostateczną zapłatę za wszystko, co tylko posiadamy.

Sądzę, iż dla myśli nowożytnej cywilizacja wasza nie ma cech bardziej wstrętnych, jak owo lekceważenie waszych klas zależnych. Jeśliście nawet nie mieli ani litości, ani uczucia braterstwa, nie rozumiem, w jaki sposób nie dostrzegaliście tego, iż rabujecie klasę nieudolnych z jej oczywistego prawa, pozostawiając potrzeby jej niezaspokojonemi.

— Zupełnie nie mogę zgodzić się tu z panem; uznaję uroszczenia owej klasy do naszej litości, ale w jaki sposób ci, którzy nic nie wytwarzali, mogliby domagać się udziału w wytworze, jako swego prawa?

— W jakim sposobie—odpowiedział doktor Lee—pracownicy wasi zdolnymi byli wytwarzać więcej, niżby to uczyniła taka sama ilość dzikich? Czy-

liż nie działa się to, dzięki odziedziczeniu minionej wiedzy i dzieł, dokonywanych przez pokolenia ubiegłe, dzięki owej, tysiące lat pracującej maszynie społecznej, którą wyście znajdowali już całkiem gotową? W jaki sposób bywaliście posiadaczami wiedzy owej i owej maszyny, które działaniem swem dziesięciokrotnie przewyższały wasz własny udział w wartości waszego wytworu. Wszak dziedziczyliście to, nieprawdaż? Czy zaś owi inni, nieszczęśliwi i ułomni bracia, których odrzucaliście, nie byli wspólnymi spadkobiercami, współdziedzicami dóbr owych? Cóżście robili z ich dziedzictwem? Czyście nie pracowali ich, darząc okruchami chleba, gdy mieli prawo zasiadać wraz z dziedzicami, oraz czy nie dodawaliście znieuwagi do rabunku, nazywając okruchy owe miłosierdziem. Ach, panie West—ciągnął dalej doktor, podczas gdy ja milczałem—czego nie rozumiem, pominawszy wszelkie względy sprawiedliwości i braterstwa względem ułomnych i kalek, to mianowicie tego, jak mogli mieć serce do pracy robotnicy waszych czasów, wiedząc, że dzieci ich albo wnuki, w razie nieszczęścia pozbawionymi będą wygod a nawet niezbędnych potrzeb do życia. Tajemnicą jest dla mnie, w jaki sposób ludzie, mający dzieci, mogli sprzyjać systemowi, w którym wynagrodzenie ich przewyższało zapłatę słabszych i upośledzonych. Gdyż na tej samej zasadzie, na jakiej korzystał ojciec, syn jego, będąc przypadkowo słabszym od innych, mógł być skazanym na nędzę i żebractwo. Nigdy nie mogłem zrozumieć, w jaki sposób ludzie odważali się pozostawiać po sobie dzieci.

Uwaga. Chociaż w pogadance swojej poprzedzającego wieczora doktor Leete mówił mi o pieczołowitości, z jaką dopomaga się każdemu człowiekowi do należytego wyboru istotnego jego powołania, to jednak dopiero wówczas, gdy się dowiedział o równości dochodów wszystkich pracowników, zrozumiałem, jak dalece wybór taki stał się dla nich możliwym, oraz, jak każdy, obrawszy zawód naprawdę najłatwiejszy dla siebie, istotnie mógł w nim pracować najlepiej. Za dni moich trudność wynalezienia jakiegoś systematycznego i skutecznego sposobu użytkowywania przyrodzonych skłonności ludzkich w zawodach przemysłowych i naukowych była zarówno źródłem strat wielkich, jak też i jedną z najpospolitszych przyczyn unieszczęśliwiania jednostek. Większość moich współczesników, jakkolwiek posiadała niby wolność wyboru, nie korzystała z niej nigdy, lecz pod wpływem okoliczności oddawać się musiała powołaniom, do których, z powodu swych uzdolnień przyrodzonych, stosunkowo nie była dość odpowiednią. Bogaty znajdował się pod tym względem w położeniu nie o wiele lepszym od biedaka. W istocie, ten ostatni, pozbawiony będąc zazwyczaj wykształcenia, nie miał sposobu nawet dowiedzenia się o swych przyrodzonych skłonnościach, z powodu zaś ubóstwa nie mógł rozwijać ich i kształcić, nawet wówczas, kiedy o nich wiedział. Profesyje wolne i techniczne, z wyjątkiem tylko pewnych wypadków, szczególnie przyjaznych, niedostępne dlań były, ku wielkiej szkodzi tak jego samego, jak i społeczeństwa. Z drugiej strony ludzie zamożni, jakkolwiek mogli korzystać z wykształcenia i nadarzonej spo-

sobności, to jednak o tyleż prawie skrępowanymi byli wskutek przesądów społecznych, które zakazywały im oddawać się powołaniom rękodzielniczym, gdy nawet mieli potemu zdolności, i wskazywały każdemu z nich owe profesyje wolne, pozbawiając w ten sposób społeczeństwa mnóstwa wybornych rzemieślników. Względy pieniężne, popychając ludzi do zajęć zyskowych, do jakich zdolnymi nie byli, zamiast do mniej zyskowych zatrudnień, do jakich mieli zdolności, stawały się przyczyną innego marnotrawstwa — paczenia talentów. Wszystko to zmieniło się dzisiaj. Jednakże wykształcenie, oraz sposobność jednaka, musi niechybnie uwydatnić wszelką skłonność człowieka, zaś ani przesady społeczne, ani pieniężne względy, nie krępują go w wyborze jego życiowego zawodu.



ROZDZIAŁ XIII.

Edytha spełniła widocznie swą obietnicę, jakoż, kiedym udawał się na spoczynek, doktor Leete poszedł wraz ze mną, aby mnie nauczyć posługiwania się telefonem muzycznym. Pokazał mi on, jak za pokręceniem szrubki można było albo napęłnić cały pokój falami dźwięków, albo też słuchać tylko zamierającego ich odgłosu, tak dalekiego i słabego, iż niejeden nie wiedziałby napewno, czy ma do czynienia z urojeniem, czy też z rzeczywistością. Jeżeli z dwóch znajdujących się obok siebie osób, jedna chciałaby słuchać muzyki, druga zaś spać, to można było dźwięki uczynić dosłyszalnemi dla jednej, zaś nie istniejącemi dla drugiej.

— Jaknajmocniej radziłbym panu spać, jeżeli pan możesz, wyrzekając się nawet najpiękniejszej muzyki w świecie—rzekł do mnie doktor po skończeniu objaśnień—w pańskim stanie obecnym sen jest środkiem pokrzepiającym, którego nic nie zastąpi.

Pomny tego, co mi się przytrafiło zrana, obiecałem, że rady jego usłucham.

— Bardzo dobrze, więc ja nastawię telefon na godzinę ósmą.

— Co to znaczy.

Objasnił mi, że, przy pomocy mechanizmu zegarowego, można było kazać się obudzić o wszelkiej godzinie dźwiękami muzyki.

Zaczynało mi się zdawać, co zresztą sprawdziło się później, że moja skłonność do bezsenności zostawił po za sobą tak samo, jak i inne niedogodności życia wieku XIX, gdyż, jakkolwiek nie przyjmowałem tym razem żadnego usypiającego napoju, to jednak tak samo, jak i nocy poprzedniej, zasnąłem, dotknawszy się zaledwie poduszki.

Śniło mi się, że siedział na tronie Abenceragów w biesiadnej sali Alhambry, racząc moich panów i wodzów, którzy nazajutrz mieli pod znakiem księżycy iść przeciwko chrześcijańskim psom Hiszpanii. W powietrzu, oziębionem strumieniami wodotrysków, unosiła się ciężka woń kwiatów, grono dziewcząt, o członkach okrągłych i rozkosznych wargach, tańczyło z wdziękiem lubieżnym przy muzyce dętych i rzniętych instrumentów. Spojrzawszy w górę na kryte galeryje, spotykało się tu i owdzie promienie oczu jakiejś piękności haremu królewskiego, spoglądającej z góry na kwiat maurytańskiego rycerstwa. Coraz głośniej rozlegały się cymbały, coraz dzikszym był śpiew, aż w końcu krew tych dzieci pustyni nie mogła dłużej opierać się szalowi wojewemu i smagłe rycerstwo porwało się z miejsc swoich; dobyto tysiąca szabel, okrzyk Allah il Allah

wstrząsnął komnatą i... zbudził mnie: ocknąłem się wśród dnia białego, w pokoju zaś dźwięczała elektryzująca muzyka „Tureckiej pobudki”.

Przy śniadaniu, kiedy powiedział gospodarzowi o mojej przygodzie porannej, dowiedziałem się, że utwór, który mnie zbudził, nie przypadkowo tylko był capstrzykiem. W jednej z sal koncertowych w godzinach rannych, w czasie wstawania ze snu, grywano zwykle utwory, budzące zapal.

— Ale, ale, rzekłem, kiedy już mówimy o Hiszpanii, przypominam sobie, że wcale nie zapytywałem pana o Europę. Czy społeczeństwa starego świata również zostały przekształcone.

— Tak — odpowiedział doktor Leete — wielkie narody Europy, jak również Australija, Meksyk i część Ameryki północnej przedstawiają teraz rzeczywospolite przemysłowe na wzór Stanów Zjednoczonych, które były przodownikami w tej ewolucyi. Pokojowe stosunki owych narodów znajdują rękojmię w tem, iż wszystkie one stanowią luźny związek federalny wszechświatowy. Rada międzynarodowa kieruje handlem i wzajemnymi stosunkami poszczególnych członków związku, oraz wspólną ich polityką względem ras bardziej uwsteczniejszych, które, kształcąc się, dzięki im, stopniowo dochodzą do urządzeń właściwych cywilizacyi. W granicach własnych każdy naród korzysta z zupełnej samodzielności.

— W jaki sposób prowadzicie handel bez pieniędzy, rzekłem, wszak handlując z innymi narodami, musicie mieć jakieś pieniądze, jakkolwiek obchodzicie się bez nich w waszych sprawach wewnętrznych.

— O nie, pieniądze są równie zbyteczne w naszych wewnętrznych jak i zewnętrznych stosunkach. Kiedy handel zewnętrzny prowadziły przedsiębiorstwa prywatne, wówczas potrzebowano pieniędzy nieodzownie, aby sprostać różnorodności i zawiłości dokonywanych transakcyj; ale dzisiaj—jednostkami, spełniającymi tę funkcję, są narody. W ten sposób istnieje tylko jakichś kilkunastu kupców na świecie, ponieważ zaś nad sprawami ich czuwa rada międzynarodowa, więc do regulowania tego wszystkiego wystarcza jaknazupełniej system ksiąg rachunkowych. Każdy naród posiada „biuro wymiany obcej”, kierujące jego handlem zagranicznym. Tak np.: biuro amerykańskie, uznawszy, że w danym roku będzie nam potrzeba tyle a tyle towarów francuzkich, posyła odpowiednie zamówienie do Francji, z kąd znowu takie zamówienia przysyłają do nas. Tak samo też postępują wszystkie inne narody.

— Ale jakże ustanawiacie ceny towarów obcych, skoro nie ma żadnego współzawodnictwa.

— Każdy naród—odpowiedział doktor Leete—winien dostarczać innym wyrobów swoich po takiej cenie, po jakiej dostarcza własnym swym obywatelom. W ten sposób, jak pan widzisz, nie grozi nam żadne nieporozumienie. Rzecz jasna, iż w zasadzie żaden naród nie jest obowiązany dzielić się z innym owocami swej pracy, ale wzajemna wymiana towarów korzystną jest dla wszystkich. Kiedy dany naród jest stałym dostawcą pewnych wyrobów względem innego narodu, wówczas obie strony zawiadamiać siebie muszą o wszelkiej ważniejszej zmianie stosunków.

— Cóż jednak bywa wtedy, gdy naród jakiś, posiadający monopol pewnego płodu przyrodzonego, odmówi dostarczenia go innym narodom albo też jednemu z pomiędzy nich.

— Wypadek taki nigdy się nie zdarzył, w każdym razie stronie odmawiającej byłby on wyrządził szkodę daleko większą, niż innym. Najprzód nie wolno okazywać żadnych wyróżnień. Prawo wymaga, iżby każdy naród traktował wszystkie inne na równi pod wszelkimi względami. Postępowanie, o jakim pan napomyka, byłoby odcięło niefortunny naród od reszty świata we wszystkich jego sprawach i zamiarach. Wypadek taki nie powinien nas wielkiego nabawiać niepokoju.

— Ale, odrzekłem, przypuśćmy, iż dany naród, posiadając monopol przyrodzony jakiegoś płodu, którego wywóz przewyższa spożycie, podniesie jego ceny, a w ten sposób, nie powstrzymując dowozu, wyzyska on potrzeby swoich sąsiadów. Jego własni obywatele będą płacić, naturalnie, cenę wyższą za ów towar, ale jako całość zyskiwać on będzie więcej na obcych, niż wydawać z własnej kieszeni.

— Kiedy się pan dowiesz, w jaki sposób określone są dzisiaj ceny wszelkich towarów, spostrzeżesz, jak dalece niemożliwą jest ich zmiana, z wyjątkiem tylko tych wypadków, kiedy wymaga tego ilość albo trudność zużytkowanej pracy. Zasada ta jest rękojmnią, zarówno międzynarodową jak i narodową; ale nawet bez niej poczucie wspólności interesów tak międzynarodowych, jak i narodowych, oraz przeświadczenie o niedorzeczności samolubstwa—są dzisiaj zakorzenione zbyt głęboko, aby możliwą była

praktyka, jakiej się pan obawia. Musisz pan zrozumieć, że my wszyscy spodziewamy się w przyszłości zjednoczenia całego świata w jeden wielki naród. Będzie to niewątpliwie ostateczna forma społeczeństwa, która urzeczywistni pewne korzyści ekonomiczne, jakich osiągnąć nie pozwala jeszcze dzisiejszy system związkowy narodów niezależnych. Tymczasem jednak, system obecny o tyle jest już blizkim doskonałości, że my z całym zadowoleniem pozostawiamy potomkom naszym sprawę wykończenia tego planu. Istnieją zresztą tacy, co utrzymują, że nigdy nie będzie on w ten sposób wykończonym, a to dla tego, iż plan związkowy jest nietylko czasowem, ale najlepszem i ostatecznem rozwiązaniem zagadnienia o społeczności ludzkiej.

— Jakże sobie radzicie wtedy, zapytałem, gdy rachunki dwóch jakichś narodów nie równoważą się wzajem? Kiedy np. Ameryka przywozi z Francji więcej, niż sama do niej wywozi.

— Z końcem roku sprawdzane są księgi każdego narodu. Jeżeli Francja jest naszą dłużniczką, to prawdopodobnie my jesteśmy dłużnikiem jakiegoś innego narodu, który winien jest coś Francji i tak dalej, odnośnie do wszystkich innych narodów. Przewyżka albo niedobór, pozostające po zrównoważeniu rachunków przez radę międzynarodową, nie mogą być znaczne przy naszym systemie. Gdy się zdarzą jednak, rada domaga się uregulowania ich co parę lat, albo też w razie rozmiarów zbyt wielkich, żąda natychmiastowego ich usunięcia; przestrzega się bowiem tego, aby żaden naród nie zadłużał się zbyt innym, gdyż mogłoby to szkodzić wzajemnym uczu-

ciom przyjaznym. Chcąc jeszcze skuteczniej zapobiedz temu, rada pilnuje, iżby towary, będące przedmiotem wymiany międzynarodowej, odznaczały się wyborową jakością.

— Ale, w jaki sposób ostatecznie wyrównywa się bilans, skoro nie macie pieniędzy?

— Przy pomocy narodowych składów towarów. Ugoda co do tego, jakie towary i w jakiej proporcji mają być przyjmowane w razie wyrównywania bilansów, jest właśnie wstępem do stosunków handlowych.

— Inną jeszcze sprawą, o którą muszę się pana zapytać, jest wychodźstwo. Wobec tego, iż każdy naród zorganizowany jest jako ścisła spółka przemysłowa, monopolizująca wszystkie środki wytwarzania, wychodźca, gdyby mu wolno nawet było wywędrować, musiałby umrzeć z głodu. Przypuszczam, że emigracyja nie istnieje już dzisiaj.

— Przeciwnie, odbywa się ciągła emigracyja, jeżeli, jak sądzę, przez ten wyraz rozumie pan oddalenie się do krajów obcych na stały pobyt. Odbywa się to na podstawie prostej międzynarodowej ugody wzajemnego wynagradzania strat. Tak np., jeżeli mężczyzna, lat 21, emigruje z Anglii do Ameryki, to Anglija traci wszystkie koszta utrzymania jego i kształcenia, zaś Ameryka nabywa darmo pracownika, Ameryka więc winna jest tu Anglii pewne odszkodowanie. Ta sama zasada z rozmaitemi, odpowiednio do okoliczności, zmianami stosowaną jest wszędzie. Jeżeli emigrant blizkim już jest końca swego okresu pracowniczego, wówczas odszkodowanie pobiera kraj, który go przyjmuje. Co do osób

niedoleźnych, to uznaje się za rzecz najlepszą, iżby każdy naród odpowiadał za swoich niedolegów; toteż koszta wychodźstwa takich jednostek, naród musi już brać całkowicie na siebie. Wobec takiej reglamentacyi, prawo każdego człowieka do wyemigrowania w każdym czasie jest nieograniczone.

— Ale, jakże się ma rzecz z wycieczkami dla przyjemności, z wyprawami turystów? W jaki sposób może cudzoziemiec podróżować po kraju, którego ludność, sama nie pobierając pieniędzy, środki utrzymania dostaje na zasadzie takiej, jaka do niego się nie rozciąga. Jego własna karta kredytowa, nie może mu, naturalnie, służyć w krajach obcych; w jakież więc sposób płaci on koszta swej podróży?

— Amerykańska karta jest równie dziś dobra w Europie, jak było niegdyś amerykańskie złoto, a to na zasadzie ściśle tej samej—że można ją wymieniać na bieżącą monetę danego kraju. Amerykanin w Berlinie np.: otrzymuje kartę kredytową w miejscowem biurze rady międzynarodowej, a w zamian za całą albo za część jej dostaje kredytową kartę niemiecką; ogólna suma tego rodzaju zobowiązań obarcza później przy międzynarodowym obrachunku *conto* Stanów Zjednoczonych na dobro Niemiec.

— Może pan West chciałby obiadować dzisiaj w Elefant?—rzekła Edytha, gdyśmy wstali od stołu.

— Jest to nazwa, jaką dajemy publicznej jadalni naszej dzielnicy—objaśnił jej ojciec.—Niedosć, że gotowanie odbywa się u nas w kuchniach

publicznych, jakem to powiedział panu wczoraj wieczorem, ale i zastawa i jakość potraw jest tam o wiele bardziej zadawalniająca. Dwa posiłki mniejsze, śniadania i kolacje spożywamy zazwyczaj w domu, gdyż nie warto się dla nich trudzić, ale obiad jada się u nas pospolicie po za domem. Nie robiliśmy tego od czasu, jak pan jesteś z nami, czekając aż się oswoisz trochę więcej z naszym rodzajem życia. Jak pan myślisz, możebyśmy zjedli dziś obiad w jadłodajni?

Odrzekłem, iż sprawi mi to wielką przyjemność.

Rychło potem Edytha przyszła do mnie uśmiechnięta i rzekła:

— Ostatniej nocy myślałam, cobym mogła zrobić, abyś pan był tu u nas jak w domu, zanim przyzwyczaisz się nieco więcej do nas i naszych obyczajów; przyszła mi też do głowy myśl jedna. Cobys pan powiedział na to, gdybym zaprowadziła pana do bardzo miłego towarzystwa pańskich czasów, z którem, jestem pewna, byłeś pan bardzo blisko znajomym.

Odpowiedziałem niejasno, iż byłoby to zapewne bardzo przyjemne dla mnie, lecz, że nie widzę, w jaki sposób mogłaby tego dokonać.

— Chodź pan ze mną—odrzekła, śmiejąc się—i przekonaj się, czy nie jestem równie dobrą, jak i moja mowa.

Zdolność zdziwienia wyczerpała się już prawie była we mnie pod wpływem ciągłych wstrząśnień, jakich doznawałem, pomimo to jednak, z niejakim zdziwieniem wszedłem za nią do pokoju, do które-

gom jeszcze przedtem nie wchodził. Był to mały wytworny apartament, obstawiony szafami, pełnymi książek.

— Oto są pańscy przyjaciele—rzekła Edytha, wskazując mi jedną z szaf; zrozumiałem jej myśl, kiedy, spojrzawszy na grzbiety książek, ujrzałem imiona: Szekspira, Milтона, Wordsworth'a, Shelley'a, Defoe'go, Dickensa, Tackeray'a, Huga, Hawthorne'a, Irving'a i mnóstwa innych wielkich pisarzy epoki mojej i wszelkiej. Edytha dobrze wywiązała się ze swojej obietnicy, której wypełnienie dosłowne byłoby, wobec tego, raczej pewnem rozczarowaniem. Wprowadziła mnie ona do kółka przyjaciół, na których postarzenie stulecie ubiegłe, od czasu gdym się z nimi rozstał, wpłynęło równie mało, jak i na mnie. Duch ich tak samo był wzniosły, dowcip równie ostry, śmiech i łzy równie zaraźliwe jak i wtedy, kiedy mowa ich skracała godziny w wieku minionym. Wśród dobrych tych towarzyszy, nie byłem i nie mogłem być osamotniony, bez względu na to, jaka przepaść lat oddzielała mnie od mego dawnego życia.

— Rad pan jesteś, żem pana tu przyprowadziła — zawołała Edytha, promieniejąc z zadowolenia, gdyż z wyrazu mej twarzy dowiedziała się, jakie powodzenie miała jej próba.— Dobrą myśl powzięłam, nieprawda panie West? Jakżem niemądra, żem nie pamiętała o tem pierwej! Zostawię pana teraz ze starymi pańskimi przyjaciółmi, gdyż wiem, że dzisiaj żadne towarzystwo nie byłoby dla niego lepszem; ale proszę pamiętać, aby starzy przyjaciele nie wyrugowali zupełnie z pańskiej pamięci nowych. Po

tem żartobliwym ostrzeżeniu Edytha pozostawiła mnie samego.

Zwabiony przez najbardziej znajome mi z pomiędzy znajdujących się przedemną imion, wyciągnąłem rękę po jeden z tomów Dickensa i, usiadłszy, zacząłem czytać. Był on największym moim ulubieńcem pośród wszystkich pisarzy wieku, rozumie się wieku XIX; w mojem życiu dawnem nie było prawie tygodnia, żebym nie brał do ręki któregoś z jego dzieł dla odpędzenia wlekącej się powoli godziny. W okolicznościach obecnych, każdy z dawniej znajomych mi tomów musiałby wyrzucić wrażenie niezwykle; ale moje wyjątkowe oswojenie się z Dickensem i wynikająca ztąd jego władza wywoływania w umyśle moim skojarzeń z życia dawniejszego nadawała tym pismom wpływ, jakiego nie miały żadne inne, wpływ, który mocą kontrastu potęgował we mnie poczucie dziwnego mego położenia obecnego. Jakkolwiek nowem i zadziwiającem byłoby czyjeś otoczenie, ukazuje się zwykle tak rychło dążność do stania się jego częścią, że odrazu prawie zatracamy zdolność patrzenia nań przedmiotowo i należytego oceniania jego dziwności. Zdolność ową, przytłumioną już we mnie nieco, rozbudziły na nowo pisma Dickensa, prowadząc mnie drogą skojarzeń do mego życia dawniejszego. Ujrzałem przeszłość mą i terażniejszość, jak dwa stojące obok siebie, a sprzeczne obrazy, ujrzałem z taką jasnością, jakiej przedtem osiągnąć nie byłem zdolny.

Geniusz wielkiego powieściopisarza XIX wieku, tak samo jak i geniusz Homera, mógłby, co prawda, urągać czasowi, ale osnowa jego wzruszających opo-

wieści, niedola biednych, nadużycia przemocy, bezlitosne okrucieństwo społecznego ustroju, wszystko to przeminęło tak bezpowrotnie, jak Cyrce i Syreny, jak Charybda i Cyklopy.

W ciągu godziny lub dwóch, którem spędził nad otwartą książką Dickensa, przeczytałem nie więcej nad parę kartek. Każdy okres, każde zdanie, uwydatniały jakąś nową postać przeobrażenia świata, jakie się odtąd odbyło i prowadziły myśl moją na dalekie i rozbiegające się szlaki. Rozmyślając tak w biblijotece doktora Leete, stopniowo wyrabiałem sobie coraz jaśniejsze i bardziej spójne pojęcie o cudownem widowisku, które, dzięki tak niezwykle mu przypadkowi, mogłem oglądać; pełny byłem głębokiego podziwu wobec tego kaprysu losów, które jednemu, tak mało zasłużonemu człowiekowi z pomiędzy wszystkich jego współczesników dały możliwość stanąć na ziemi doby dzisiejszej. Anim przewidywał tego nowego świata, anim pracował dla niego, jak to czyniło wielu dokoła mnie, bez względu na drwiny głupich lub błędne tłumaczenia dobrych. Niewątpliwie byłoby rzeczą bardziej zgodną z wymaganiami słuszności, gdyby któraś z owych dusz proroczych a mężnych mogła była oglądać teraz swą pracę i cieszyć się nią; tysiące razy godniejszym tego ode mnie byłby np. ten, co ujmując w widzeniu świat, jaki ja oglądałem obecnie, śpiewał o nim słowami, które w ciągu tych dni przedziwnych raz po raz przychodziły mi na pamięć:

Sięgam w przyszłość, jak tylko oko sięgnąć może,
Ujrzałem obraz świata jej i dziwów wszystkich;
Nie słyhać już bojowych tręb, zwinięto już sztandary
Na sejmie wszechczłowieczym, we wszechświatowej spójni.

Jakkolwiek w starości utracił on chwilowo wiarę w swą przepowiednię, jak to w ogóle czynili prorocy w godzinach upadku i zwątpienia, to jednak słowa te pozostały, jako wiekuiste świadectwo widzenia starca-poety, jako świadectwo daleko sięgającego jasnovidzenia wiary.

Byłem jeszcze w bibliotece, gdy po paru godzinach przyszedł tam po mnie doktor Leete.

— Edytha powiedziała mi o swoim pomysle; sądzę, że jest wyborny. Jestem też trochę zaciekawiony pytaniem, do jakiego pisarza zwróciłeś się pan najpierwej? A Dickens! Podziwialiście go więc wówczas, zgodzilibyśmy się w tem z wami. Z naszego stanowiska, przewyższa on wszystkich pisarzy swego wieku, nie dlatego, iżby jego geniusz pisarski był najwyższy, ale że serce jego biło dla biednych, że sprawę ofiar społecznego porządku uczynił on swoją a chwile swe poświęcił malowaniu jego okrucieństw i hańby. Nikt za jego czasów nie działał tyle co on, dla zwrócenia umysłów ludzi ku niesłuszności i nędzy starego porządku rzeczy, nikt tak nie otwierał ich oczów na nieodzowność wielkiej zmiany, zbliżającej się już, jakkolwiek sam on nie przewidywał jej jasno.



ROZDZIAŁ XIV.

Deszcz ulewny spadł w ciągu dnia tego, sądziłem więc, że stan ulic odbierze gospodarstwu memu chęć wychodzenia z domu na obiad, jakkolwiek, o ile wnioskować mogłem, jadalnia znajdowała się bardzo blisko. Zdziwiłem się też mocno, gdy w porze obiadowej panie ukazały się, gotowe do wyjścia, ale bez kaloszków i bez parasolów.

Tajemnica wyjaśniła się, gdyżśmy wyszli na ulicę, nad całym bowiem chodnikiem rozciągał się sufit szklany, zamieniając trotoary na dobrze oświetlone i zupełnie suche korytarze, napełnione tłumem pań i panów, ubranych jak do obiadu. Na rogach lekkie mostki, pokryte podobnie, przechodziły po nad ulicami. Edytha, z którą właśnie szedłem, była bardzo zaciekawiona, dowiadując się widocznie po raz pierwszy, że w Bostonie za moich czasów w chwilach słoty ten tylko mógł przechodzić przez ulice, kto miał parasol, buty i ciężkie ubranie.

— Więc nie używano zgoła dachów chodnikowych?

— Owszem, były one w użyciu, ale zaledwie tu i owdzie, bardzo niesystematycznie, gdyż były przedsięwzięciem prywatnym.

Odrzekła mi na to, iż obecnie wszystkie ulice były zaopatrzone przeciw niepogodzie w taki sam sposób i że przyrząd ten usuwano, gdy stawał się niepotrzebnym. Znajdowała ona, iż uważanoby za wielkie niedołęztwo pozwalać pogodzie, aby wpływała na swobodę stosunków towarzyskich.

Doktór Leete, który szedł przed nami, posłyszawszy coś z naszej rozmowy, zwrócił się ku nam, mówiąc, iż różnicę pomiędzy indywidualizmem a łącznością cechuje dobrze ten fakt, że w wieku XIX, kiedy deszcz padał, mieszkańcy Bostonu rozpościerali 300000 deszczochronów nad tyłomaż głowami, w XX zaś wieku nad wszystkimi głowami roztańczają oni jeden deszczochron.

Kiedyśmy szli jeszcze, Edytha rzekła:

— Deszczochron prywatny jest ulubionym ojca przykładem, zapomocą którego ilustruje on dawny porządek rzeczy, kiedy każdy żył dla siebie i dla swojej rodziny. W Galeryi obrazów znajduje się pewne malowidło z wieku XIX, przedstawiające tłum ludzi w czasie deszczu; każdy trzyma tam parasol nad sobą i nad swoją żoną, obryzgując sąsiadów; ojciec sądzi, iż musiała to być satyra artystyczna na owe czasy.

Weszliśmy teraz do wielkiego budynku, do którego wlewał się właśnie potok ludzi. Nie mogłem

zobaczyć frontu z powodu markizy; jeżeli jednak odpowiadał on wewnątrz, piękniejszemu nawet niż wewnątrz zwiedzonego przezemnie wczoraj magazynu, to musiał być wspaniały. Towarzyszka moja powiedziała mi, iż rzeźbiona grupa nad wejściem budziła szczególny podziw. Wszedłszy na wielkie schody, posuwaliśmy się jakiś czas po szerokim korytarzu, na który wychodziło mnóstwo drzwi. Skręciliśmy ku jednemu z wejść, gdzie wypisane było nazwisko mego gospodarza i znaleźliśmy się w wytwornej jadalni ze stołem na cztery osoby. Okna wychodziły na dziedziniec, gdzie igrał wysoki wodotrysk, a muzyka elektryzowała powietrze.

— Zdaje się, iż jesteście tu państwo jakby u siebie, rzekłem, kiedyśmy siedli do stołu i kiedy doktor Leete dotknął się *zawiadamiacza*.

— W istocie, jest to część naszego domu, trochę tylko oddalona od reszty. Każda rodzina naszej dzielnicy, za opłatą małej renty rocznej, ma pozostawiony na wyłączny i stały swój użytek jeden pokój w tym wielkim gmachu. Dla gości przyjezdnych i pojedynczych osób znajduje się odpowiedni lokal na innem piętrze. Gdy mamy obiadować tutaj, posyłamy zamówienie z wieczora, wybierając sobie cokolwiek na targu, odpowiednio do codziennych sprawozdań dziennikarskich. Posiłek może być tak kosztowny albo tak skromny, jak tylko nam się podobą, jakkolwiek, naturalnie, wszystko jest tutaj tańsze i lepsze, niż byłoby w domu. My bardzo żywo interesujemy się dzisiaj przysposabianiem i gotowaniem żywności, sądząc też, że możemy być nieco dumni z powodzenia naszego na tem polu. Ach, drogi pa-

nie West, chociaż pod innym względem cywilizacja wasza była bardzo tragiczną, to jednak nie wyobrazam sobie nic bardziej przygnębiającego, jak owe nędzne obiady, jakie spożywać u was musieli ludzie niebogaci.

— Pod tym względem nie znalazłbyś pan wśród nas oponentów.

W tej chwili ukazał się w pokoju lokaj, młodzieniec przystojny, przybrany w uniform, zlekka go odróżniający. Przypatrywałem mu się pilnie, gdyż po raz to pierwszy mogłem szczegółowo badać zachowanie się człowieka, służącego w szeregach armii przemysłowej. Na podstawie tego com słyszał, wiedziałem już, że młodzieniec ten musiał być wysoko wykształcony, oraz, że tak pod względem towarzyskim, jak i pod innymi był równy tym, których obsługiwał. Widocznem jednak było, że wzajemny stosunek w najłżejszym stopniu nie krępował stron obu.

Dr. Leete zwrócił się do młodzieńca, mówiąc, jak przystało na dżentelmena, głosem wolnym od wszelkiej wyniosłości, ale zarazem też bez najmniejszego uniżenia, gdy tymczasem zachowanie się młodzieńca zdradzało w nim jednostkę, starającą się poprawnie powierzone sobie zadanie wykonać, również bez poufałości i bez służalstwa. Było to jakby zachowanie się żołnierza, pełniącego swe obowiązki, tylko bez żołnierskiej sztywności.

Kiedy młodzieniec opuścił pokój, rzekłem:

— Nie mogę pokonać zdziwienia, widząc, jak podobny młodzian tak chętnie wykonywa obowiązki podrzędne.

— Co to znaczy podrzędne, nie słyszałam nigdy tego wyrazu — rzekła Edytha.

— Jest to wyraz dziś już przestarzały — zauważył jej ojciec. — Jeśli się nie mylę, stosowano go do osób, które wykonywały za innych czynności szczególnie nieprzyjemne i niemile; wyraz ten zawierał w sobie pewien odcień pogardy, czyż nie tak, panie West?

— Tak, mniej więcej. Służba osobista, jak np. usługiwanie do stołu, uważana właśnie była za czynność podrzędną i w takiej znajdowała się pogardzie za dni moich, iż osoby z wyższem wykształceniem i wychowaniem były raczej przeniosły trud wszelki zanimby się poniżyły aż do niej.

— Dziwne, sztuczne pojęcia — zawołała zdziwiona pani Leete.

— A jednak służbę tę musiał ktoś spełniać — rzekła Edytha.

— Naturalnie, odrzekłem, ale myśmy wkładali ten obowiązek na biednych, i na takich, którym pozostawała do wyboru tylko śmierć głodowa.

— I brzemień włożone na nich powiększaliście jeszcze waszą pogardą — zauważył doktor Leete.

— Sądzę, że nie rozumiem dobrze, czy znaczy to, żeście pozwalali ludziom robić dla siebie takie rzeczy, za wykonywanie których pogardzaliście nimi, czy też, żeście przyjmowali od nich usługi, którychbyście im oddać nie chcieli. Wszak chyba nie tak było, panie West?

Zmuszony byłem odpowiedzieć Edytcie, że było

tak właśnie, ale doktor Leete przyszedł mi z pomocą.

— Rozumiem zdziwienie Edythy; musisz pan wiedzieć, że dzisiaj pewnikiem jest naszej moralności, iż przyjmowanie od kogoś takich usług, których w razie potrzeby nie chcielibyśmy mu oddać, jest tem samem, co pożyczanie pieniędzy z zamiarem nie zapłacenia, gdy tymczasem zmuszanie do jakiejś takiej roboty, przez wyzyskanie czyjogoś ubóstwa lub potrzeby, byłoby również występem, jak rabunek połączony z gwałtem. W każdym systemie, który dzieli ludzi albo pozwala dzielić się im na klasy i kasty, najgorszem jest to, iż osłabia on uczucie wspólnego człowieczeństwa. Niejednaki podział bogactw a jeszcze bardziej niejednostajna możność kształcenia się i wychowywania, dzieliła ludzi za dni waszych na klasy, które pod wieloma względami spoglądały na się, jak na szczepy bardzo od siebie odległe. Ostatecznie, różnica naszych i waszych poglądów na tę sprawę, nie jest tak wielką, jakby się to mogło wydawać. Pannie i panowie waszych klas oświeconszych nie pozwoliłyby, tak samo jak i my, osobom ze swego towarzystwa świadczyć sobie przysług, którychby oddać nie pozwalała im duma. Ale na biednych i niewykształconych spoglądali oni, jak na rodzaj jakiś odmienny. Równość bogactw i jednaka sposobność kształcenia się, z jakiej korzystają dziś wszyscy, uczyniła nas poprostu członkami jednej klasy, która odpowiadała waszej klasie najszcześniejszej. Gdyby nie urzeczywistniła się owa równość położenia, wówczas idea solidarności ludzkiej i wszechludzkiego braterstwa nie byłaby się nigdy stała naszym prze-

konaniem istotnem i praktyczną zasadą działania, jak to ma miejsce dzisiaj. Za dni waszych posługiwano się temi samemi frazesami, co i teraz, ale były to tylko frazesy.

— Czy lokaje idą również na ochotnika?

— Nie — odpowiedział doktor Leete. — Są to młodzieńcy, znajdujący się w przedklasowym oddziale armii przemysłowej, a przeznaczani do rozmaitych zajęć, które nie wymagają uzdolnienia szczególnego. Usługiwanie do stołu należy właśnie do takich, i każdy też z młodych rekrutów musi go skosztować. Przed jakimś laty czteremnaście ja sam przez kilka miesięcy służyłem jako lokaj w tej samej jałdłodajni. Raz jeszcze musisz pan przypomnieć sobie, iż nie uznaje się tu żadnego rodzaju różnicy w dostojęństwie rozmaitych gatunków prac, jakich naród potrzebuje. Na jednostkę nie spogląda się nigdy, ani też sama ona na siebie nie patrzy jako na sługę tych, których obsługuje; nie jest też ona w najlżejszym stopniu od nich zależną; zawsze służy tylko narodowi. Nie uznaje się żadnej różnicy pomiędzy czynnościami lokaja, oraz jakiegoś innego pracownika. Ten wzgląd, iż praca jego jest służbą osobistą, nie ma u nas żadnego znaczenia. Tak samo ma się rzecz z doktorem. Musiałbym chyba oczekiwać, że dzisiejszy nasz kelner będzie spoglądał na mnie z góry, gdyż ja obsługiwałem go jako doktor — jeżeli sam myślę z góry patrzeć na niego za to, iż posługuje mi jako kelner.

Po obiedzie współtowarzysze oprowadzili mnie po gmachu, którego obszar, wspaniała budowa i bogactwo upiększeń wprowadzały mnie w podziw.

Zdawało się, iż nie była to prosta jadalnia, ale jak gdyby jakiś wielki dom zabaw i zebrań towarzyskich tej dzielnicy; nie brakło też tutaj niczego, coby służyć mogło ku pokrzepieniu lub orzeźwieniu się.

— Znajdujesz pan tutaj uzmysłowienie tego — rzekł doktor Leete, kiedy mu wyraził swój podziw — co mówiłem panu podczas pierwszej naszej rozmowy, gdyś spoglądał na miasto, o świetności naszego publicznego i wspólnego życia w zestawieniu z prostotą życia prywatnego i domowego, oraz o przeciwieństwie, jakie pod tym względem odróżnia wiek XX od XIX. Aby ulżyć sobie nieużytecznego brzemienia, zatrzymujemy przy sobie tyle tylko rozmaitych rzeczy, ile tego wymaga wygoda, ale natomiast społeczna strona naszego życia jest tak ozdobna i zbytkowna, jak tego sobie nigdy świat nie wyobrażał dawniej. Wszystkie zawody przemysłowe i profesjonalne mają własne swe kluby, równie jak ten rozległy, oraz własne wille górskie i nadmorskie siedziby do zabawy i odpoczynku w czasie wakacyjnym.

Uwaga. W ciągu ostatniej części wieku XIX weszło w zwyczaj wśród uboższej młodzieży niektórych kolegiów tego kraju, iż zarabiała sobie nieco pieniędzy, służąc za kelnerów w hotelach w czasie długich wakacyj letnich. Na wołania krytyków, którzy w duchu przesądów czasu utrzymywali, że osoby, oddające się dobrowolnie takiemu zajęciu, nie mogą być dżentelmenami, odpowiadano, iż raczej zasługiwali oni na pochwałę za to, że przykładem swym

przyczyniali się do obrony dostojenstwa wszelkiej uczciwej a niezbędnej pracy. Posługiwanie się takim argumentem świadczy o pospolitem pogmatwaniu pojęć wśród dawniejszych moich współczesników. Sprawa posługiwania do stołu, tak samo nie potrzebowała jakiejś obrony, jak i wszystkie prawie inne sposoby zaspakajania codziennych potrzeb życia, ale niedorzecznością było mówić o dostojenstwie jakiegokolwiekbądź pracy wobec ówczesnego systemu. Nie ma sposobu odnalezienia jakiegoś większego dostojenstwa w sprzedawaniu pracy za cenę możliwie najwyższą, niż w takim samym sprzedawaniu towarów. Jedno i drugie było tylko transakcją handlową i ocenianem być musi z handlowego stanowiska. Oznaczając zapłatę pieniężną za swe usługi, pracownik uznawał tem samym pieniężną ich miarę i zrzekał się prawie całkowicie jakiegokolwiekbądź miary innej. Dusze szlachetne gorzko odczuwały owo skazanie, jakiemu w ten sposób podpadały najszlachetniejsze i najwyższe rodzaje usług, ale nie było sposobu uniknięcia tego. Jakiemikolwiek byłyby zalety usług danej jednostki, nie mogła ona ominąć konieczności targowania się o ich cenę do upadłego na rynku pracy. Lekarz sprzedawać musiał zdrowie, zaś apostoł naukę swoją zarówno z innymi. Prorok, który odgadywał wyroki Boga, musiał klócić się o zapłatę za swoje objawienie, poeta zaś obwoływał swoje widzenia na rynku. Gdyby mnie zapytano, co było największą szczęśliwością tego wieku w porównaniu z owym czasem, kiedy po raz pierwszy ujrzał światło dzienne, powiedziałbym, iż tkwi ona w godności, jaką nadalicie pracy, zakazując ustana-

wiania jej ceny i znosząc na zawsze rynek. Wymagając od każdego, aby pracował wedle sił swoich, uczyniliście Boga jego przełożonym, czyniąc zaś cześć jedyną zapłatą za dokonane czyny, wszelką służbę nacechowaliście owem dostojenstwem, jakie za dni moich znamionowało tylko trudy żołnierza.



ROZDZIAŁ XV.

Kiedyśmy w ciągu naszego przeglądu weszli do biblioteki, ulegliśmy pokusie spoczęcia na zbyt wysokich skórzanych krzesłach, jakimi była umeblowana; usiedliśmy w jednym z pokojów, zastawionych książkami, aby chwilę odpocząć i pogadać. Nie mogę dość nachwalić się swobody, jaka panuje w czytelnicach wieku XX, gdy się ją porówna z nieznośnym porządkiem bibliotek XIX stulecia, w których książki zazdrośnie odgradzano od ludzi i w których otrzymywać je było można jedynie kosztem znacznej straty czasu i kontroli, mogącej odebrać zupełnie śmiertelnikowi chęć do czytania.

— Edytha mówiła mi, żeś pan cały ranek był w bibliotece—rzekła pani Leete.— Wie pan, zdaje mi się, panie West, iż jesteś pan człowiekiem najgodniejszym zazdrości.

— Czy mógłbym wiedzieć dla czego?

— Gdyż książki ostatnich lat stu będą dla pana nowością, będziesz pan miał do czytania tak wie-

le rzeczy zajmujących, iż w ciągu jakich lat pięciu prawie nie znajdziesz czasu na jedzenie. O cóżbym dała za to, gdybym jeszcze np. nie przeczytała powieści Berriana!

— Albo Nesmyth'a, mamó — dodała Edytha.

— Tak albo poezyj Oates'a, albo „Past and Present”, lub „In the Beginning” albo, o mogłabym wymienić z tuzin książek, z których każda warta jest roku życia—oświadczyła pani Leete w uniesieniu.

— Sądzę więc, że musiała w tem stuleciu powstać jakaś wspaniała literatura.

— Tak—odpowiedział doktor Leete—była to era bezprzykładnej świetności umysłowej. Ludzkość prawdopodobnie nigdy przedtem nie przebywała epoki rozwoju o celach tak rozległych a zarazem tak szybkiego, jak w owym czasie przechodzeniu od starego do nowego porządku we wcześniejszej dobie tego stulecia. Gdy ludzie uprzytomnili sobie ów ogrom pomysłności, jakiego dostąpili, gdy pomyśleli, że zmiany, przez jakie przeszli, zasadały się nietylko na poprawie pewnych szczegółów położenia, ale podniosły cały rodzaj ludzki do wyżyn bytu nowego, mającego nieograniczone widoki postępu, wówczas wszystkie zdolności ich ducha znalazły bodziec, o jakim pojęcie, słabe zresztą, może nam dać rozkwit średniowiecznej epoki odrodzenia. Nastąpiła wówczas era wynalazków mechanicznych, odkryć naukowych, sztuki, twórczości muzycznej i literackiej, z jaką żadne ze stuleci dawniejszych nie daje się porównać.

— Ale, ale, zawołałem, mówiąc o piśmiennictwie, chciałbym też wiedzieć, w jaki sposób wydaje się dzisiaj książki, czy robi to również naród?

— Niewątpliwie.

— Ale jakże się z tem urządzacie? Czy rząd publikuje wszystko, cokolwiek mu się przedstawi i to kosztem publicznym, czy też dzierży on nad tem pewną cenzurę i drukuje to tylko, co uzna za dobre.

— Ani jedno, ani drugie. Wydział drukarniany nie ma żadnej władzy cenzorskiej. Obowiązany on jest drukować wszystko, co mu się przedstawi, ale czyni to jedynie z tym warunkiem, że autor poniesie pierwsze koszta publikacyi ze swego kredytu: musi on płacić za posłuchanie u publiczności; jeżeli zaś ma do powiedzenia coś takiego, czego słuchać warto, podda się warunkom owym chętnie. Rzecz naturalna, że gdyby dochody były nierówne, jak za czasów dawnych, to porządek taki pozwalałby tylko ludziom bogatym być autorami; ponieważ jednak dochody wszystkich obywateli są dzisiaj równe, więc bywa on tylko miarą większej lub mniejszej siły pobudek autora. Koszt wydania przeciętnej książki można pokryć z kredytu rocznego, przy pomocy niejkiej oszczędności i pewnych ofiar. Po wydrukowaniu, książkę wystawia naród na sprzedaż.

— Przypuszczam, że autor otrzymuje chyba zyski ze sprzedaży, tak jak i u nas.

— Z pewnością nie tak jak u was, niemniej jednak otrzymuje. Cena każdej książki oblicza się na podstawie kosztów jej ogłoszenia, oraz uwzględ-

niając honorarium autorskie. Suma owego honorarium zaliczoną bywa na dobro autora, jakoż wolnym on jest od wszelkich innych usług względem narodu przez cały czas, w ciągu którego jego praca, przyczyniając się do utrzymania obywateli, zaspakajając może jego własne potrzeby. W ten sposób, jeżeli książka jego cieszy się jakim takim powodzeniem, otrzymuje on kilkomiesięczny, roczny, dwu lub trzyletni urlop, kiedy zaś w tym okresie stworzy inne jakieś dzieło poczytne, urlop ten ulega przedłużeniu o tyle, o ile usprawiedliwiać to może wysokość honorarium. Autor bardziej popularny jest w stanie utrzymywać się z pióra przez cały okres swej służby, a stopień jego uzdolnień literackich, określonych głosem narodu, staje się ten sposób miarą słuszności, z jaką pozwala mu się poświęcać czas piśmiennictwu. Pod tym względem nasz system niewiele się różni od waszego; istnieją tu jednak dwie różnice wybitne. Naprzód ogólnie wysoki poziom wykształcenia nadaje dzisiaj moc przekonująco wyrokowi narodu o istotnej zasłudze utworu piśmienniczego, co za dni waszych było rzeczą niedościgłą. Powtóre nie ma dziś ani śladu jakiegokolwiek bądź forytowania, któreby przeszkadzało należytemu uznaniu zasług. Każdy autor ma jaknajzupełniej jednaką łatwość oddania swego dzieła na sąd publiczności. O ile można wnosić ze skarg pisarzy waszych czasów, owa bezwzględna równość warunków współzawodnictwa stanowiła przedmiot bardzo żywych pożądań.

— W rozpoznawaniu zasługi na innych polach twórczości, w rzeczach muzyki, sztuki, wynal-

łazków, pomysłów, przestrzegacie zapewne zasady podobnej.

— Tak, chociaż z uwzględnieniem różnic w szczegółach. W sztuce np. tak samo jak i w piśmiennictwie, naród jest jedynym sędzią. Głosuje on za przyjęciem posągów lub malowideł do gmachów publicznych, a przychylny jego wyrok pociąga za sobą zwolnienie artysty od innych zadań i prawo oddania się jego powołaniu. Na wszystkich tych drogach twórczości przestrzegamy zasady jednakiej, zasady dostarczania wolnego pola wszystkim aspirantom, oraz uwalniania od wszelkich więzów każdego wyjątkowego talentu i pozostawienia mu wolnego biegu, gdy tylko zostanie uznanym. Zwolnienia od innych usług w takich wypadkach nie uważa się za upominek albo nagrodę ale za środek otrzymania usług większych i wyższych. Rzecz naturalna, że istnieją rozmaite instytucje literackie, artystyczne i naukowe, należenie do których nadaje sławę i wielce jest cenionem. Najwyższym ze wszystkich zaszczytów w narodzie, wyższym od prezydentury, wymagającej tylko zdrowego rozumu i oddania się obowiązkom, jest czerwona wstęga, dawana przez głosowanie powszechne, wielkim pisarzom, artystom, inżynierom, lekarzom, oraz wynalazcom swego okresu. Nie więcej jak setka ludzi nosi taką wstęgę, w danym czasie, jakkolwiek każdy światły młodzieniec w kraju, spędza wiele nocy bezsennych, marząc o niej. Ja sam nawet przez to przechodziłem.

— Jak gdybyśmy właśnie, mama albo ja, miały przez to więcej myśleć o tatce—zawołała Edytha—choć naturalnie bardzo to piękne jest posiadać ją.

— Ty, moje dziecko, nie masz innego wyboru, jak tylko brać ojca takim, jakimes go znalazła i radzić już z nim sobie, jak można najlepiej, ale co do matki twojej, to nigdy mnie nie byłaby wzięła, gdybym nie zapewnił jej, że obowiązuję się zdobyć wstęgę.

Pani Leete uśmiechnęła się tylko z tego wybryku męża.

— Jakże się ma rzecz z gazetami i czasopismami, rzekłem. Nie przeczę, że wasz system wydawania książek jest znacznie lepszy od naszego, tak ze względu na swoją dążność do popierania istotnych powołań literackich, jako też, co jest równie ważnem, ze względu na zniechęcanie pismaków; ale nie widzę w jaki sposób można go zastosować do czasopism i gazet. Bardzo to dobrze kazać komuś płacić za ogłoszenie książki, gdyż wydatek taki bywa tylko przygodnym; ale nikt nie mógłby ponieść kosztów codziennego wydawania gazety w ciągu roku. Wymagało to głębokich kieszeni naszych kapitalistów prywatnych, a często wyczerpywało je nawet przed zwrotem kosztów. Jeżeli zgola posiadacie gazety, to jak wyobrażam sobie, musi je wydawać rząd kosztem ogółu, pod kierunkiem rządowych redaktorów, będących wyrazem jego opinii. Otóż, jeżeli system wasz jest tak doskonały, że nigdy nie potrzeba krytykować nic w prowadzeniu spraw publicznych, porządek taki może odpowiadać celowi. W przeciwnym razie sądziłbym, że brak niezależnego, nieurzędowego środka wyrażania opinii publicznej musiałby mieć następstwa jak najgorsze. Przyznaj pan, panie Leete, że wolna prasa, ze wszystkim, co się w niej zawiera, była jak gdyby odkupie-

niem starego porządku rzeczy, kiedy kapitał znajdował się w rękach prywatnych, oraz, że powinniście wyżej cenić jej stratę w zamian za zyski wasze pod innymi względami.

— Przykro, że nawet tej pociechy nie mogę panu zostawić—odrzekł doktor Leete, śmiejąc się.— Najprzód, panie West, prasa nie jest bynajmniej jedynym, albo, jak to pan zdaje się sądzić, najlepszym środkiem poważnego krytykowania spraw publicznych. Co do nas, to sądy waszych gazet pod tym względem wydają się nam pospolicie niedojrzałe i płocze, jak również głęboko zaprawne uprzedzeniem i goryczą. O ile można je brać za wyraz powszechnej opinii, dają one bardzo niekorzystne wyobrażenie o rozumie publiczności, gdy znowu, o ile mogły one wpływać na tworzenie się owej opinii, nie było czego winszować narodowi. Dzisiaj, gdy obywatel pragnie zrobić na publiczności poważne wrażenie w zakresie do spraw publicznych, występuje on z książką lub broszurą, wydawaną tak samo, jak i inne dzieła. Ale dzieje się to nie dla tego, iżby nam brakowało gazet i czasopism lub też, aby nie cieszyły się one wolnością jak najzupełniejszą. Prasa zorganizowana jest u nas tak, iż stała się lepszą wyrazicielką opinii publicznej, niżli to było za dni waszych, kiedy kapitał prywatny kontrolował ją i prowadził przedewszystkiem jako interes zyskowy a dopiero już później, jako organ opinii narodu.

— Ale, rzekłem, jeżeli rząd drukuje gazety kosztem ogółu, to w jaki sposób ogół może kontrolować jego politykę? Któż, jak nie rząd, wyznacza redaktorów.

— Rząd bynajmniej nie ponosi kosztów wydawania gazet, nie mianuje ich redaktorów, ani też w stopniu najlżejszym nie wpływa na ich politykę— odpowiedział doktor Leete.— Ludzie, otrzymujący gazetę, ponoszą koszt jej wydawania, wybierają redaktora i usuwają go, gdy ich nie zadawalnia. Nie powiesz pan chyba, jak sądzę, że taka prasa nie jest wolnym organem opinii publicznej.

— Zapewne, że nie, odrzekłem, ale w jakim sposobie daje się to wykonać?

— Nic nad to prostszego. Przypuśćmy, iż ktoś z moich sąsiadów, albo ja sam, sądzimy, że powinniśmy mieć gazetę, wyrażającą nasze przekonania a poświęconą szczególnie naszej miejscowości, zajęciu albo powołaniu; udajemy się więc do ludzi, aż zbierzemy taką ilość podpisów, że prenumerata roczna pokryje koszt gazety (większa albo mniejsza, stosownie do jej urządzenia i rozmiarów). Wysokość sumy podpisów, wykreślanych z kredytów obywateli, daje narodowi rękojmię, iż nie straci na wydawaniu gazety, gdyż, jak pan rozumie, interes jego czysto wydawniczy nie popycha go do zaniedbywania wymaganych obowiązków. Prenumeratorzy gazety wybierają wówczas redaktora, gdy zaś ten zgodzi się na wybór, zwolniony zostaje na czas odpowiedni od służby ogólnej. Prowadzi on gazetę tak samo, jak to robił redaktor za waszych czasów, z tą tylko różnicą, iż nie musi ulegać swej kasie, albo bronić interesów kapitału prywatnego ze szkodą publicznego dobra. Pod koniec pierwszego roku prenumeratorzy wybierają ponownie albo dawniejszego redaktora, albo też znajdują sobie innego. Zdolny redaktor zaj-

muje, naturalnie, swe stanowisko przez czas nieokreślony. W miarę rozszerzania się listy odbiorców, rosną zasoby gazety i doskonalą się ona, zapewniając sobie coraz lepszych współpracowników, zupełnie tak, jak to czyniły dzienniki wasze.

— W jaki sposób wynagradza się współpracowników, skoro nie można płacić im pieniędzy.

— Redaktor ustanawia z nimi cenę ich płodów. Sumę odpowiednią przelewa się na dobro ich osobiste z kredytu gazety, i współpracownik otrzymuje zwolnienie od służby przez czas, odpowiadający wysokości sumy przelanej, podobnie, jak to było z innymi autorami. Taki sam system stosuje się do innych czasopism. Ludzie, pragnący wydawać nowe jakieś czasopismo, zdobywają środki na utrzymanie jego jednoroczne, wybierają redaktora, który wynagradza współpracowników tak samo, jak i w innych wypadkach, zaś odpowiednie biuro dostarcza, naturalnie, sił i materyjłów, niezbędnych do wydawania pisma. Kiedy usługi redaktora przestają już być pożądane a nie może za pomocą innej pracy literackiej zdobyć on prawa rozporządzania swym czasem, wówczas powraca na uprzednie swe stanowisko w armii przemysłowej. Muszę dodać, że jakkolwiek zazwyczaj redaktor obieranym bywa pod koniec roku i pospolicie pozostaje na swem stanowisku przez lata całe, to jednak na wypadek nagłej zmiany nastroju pisma, jakaby mógł on spowodować, prenumeratorzy zastrzegają sobie prawo usunięcia go w każdym czasie.

Kiedy panie już odchodziły owego wieczora, Edytha przyniosła mi książkę i rzekła:

— Jeżeli pan nie będziesz mógł zasnąć tej nocy, panie West, to może zechcesz przejrzeć tę oto powiastkę Berriana; uważamy ją za jego arcydzieło; da ona panu przynajmniej wyobrażenie, czem są dzisiejsze powieści.

Siedziałem owej nocy w pokoju moim, czytając „Penthesilia”, aż wreszcie poczęło robić się szaro na wschodzie i nie odłożyłem jej, ażem skończył. A jednak niech żaden z wielbicieli wielkiego pisarza XX wieku nie gorszy się, gdy powiem, że przy pierwszym czytaniu uderzyło mnie najbardziej nietylto to, co było w książce, ile to, co się znajdowało po za nią. Powieściopisarze moich czasów uważaliby za rzecz łatwą robienie cegieł ze słomy w porównaniu z pracą zbudowania romansu, z którego należałoby usunąć wszystkie efekty, wypływające z kontrastów bogactwa i nędzy, wykształcenia i nieuctwa, grubości i usubtelnienia obyczajów, wyższości i niższości, po usunięciu wszelkich motywów, wypływających z pychy i ambicyi towarzyskiej, z żądz wielkich bogactw albo obawy ubóstwa, oraz wszelkiego rodzaju poziomych trosk o siebie lub o innych; wobec pracy zbudowania romansu, w którym, co prawda, byłaby obecna miłość, ale miłość rozpętana ze sztucznych kajdan, wytwarzanych przez różnice położenia lub majątku i niesłuchająca żadnych praw innych, jak tylko praw serca. Przeczytanie Penthesilii miało dla mnie większą wartość w sprawie wytworzenia sobie jakiegoś ogólnego pojęcia o społeczeństwie wieku XX, niż jakikolwiek zasób objaśnień i tłumaczeń. Doktor Leete, co prawda, przyczynił się wielce do zapoznania mnie z fak-

tami, ale wskazówki jego były dla mego umysłu szeregiem wrażeń odosobnionych, których nie mogłem jeszcze dobrze zespolić. Berrian zgromadził mi je wszystkie w jednym obrazie.



ROZDZIAŁ XVI.

Następnego poranku wstałem nieco przed śniadaniem. Gdym schodził na dół do sieni, wybiegła Edytha z pokoju, w którym się odbyła opisana powyżej scena naszego porannego widzenia się.

— Al—zawołała z wyrazem zachwycającej figlarności—myślałeś pan, że się wymkniesz niepostrzeżony znowu na taką włóczęgę ranną, która tak pięknie na pana wpływa. Ale, widzisz pan, że tym razem jestem już na nogach, zawczasie może jak dla pana: jesteś pan, co się zowie, złapanym.

— Oczernia pani skuteczność własnej swej troskliwości, odrzekłem, jeśli przypuszczasz, że wybieczka taka miałaby teraz następstwa równie niedobre.

— Bardzo mnie cieszą te słowa. Byłam tu w pokoju, przygotowując trochę roślinności do zastawy śniadaniowej, gdym posłyszała, że pan schodzi na dół; zdawało mi się, że wykryła coś zdradzieckiego w stąpieniu pana po schodach.

— Jest pani dla mnie niesprawiedliwą. Anim myślał wychodzić z domu.

Pomimo, iż starała się zrobić na mnie wrażenie, że przyłapanie mnie było rzeczą czysto przypadkową, powziąłem wówczas niejasne podejrzenie, o słuszności którego przekonałem się później, że miła ta istota, wywiązując się z dobrowolnie przyjętych na siebie obowiązków czuwania nademną, wstawiała w ciągu kilku poranków ostatnich niezwykle wcześnie, aby się zabezpieczyć przeciwko możliwości moich samotnych wycieczek, w razie gdybym był znowu tak usposobiony, jak uprzednio. Ponieważ pozwoliła mi dopomagać sobie w urządzeniu bukietu śniadaniowego, poszedłem za nią do pokoju, z którego była wybiegła.

— Czyś pan pewny, żeś się już zupełnie uwolnił od okropnych wzruszeń, jakie trapiły pana owego poranku.

— Nie powiem, iżbym czasem nie doznawał uczuć stanowczo dziwnych, abym nie miał takich chwil, kiedy tożsamość mojej osoby wydaje mi się wątpliwą. Wymagać, iżbym nie miał czasem takich uczuć, byłoby to zbyt wiele żądać od mego dzisiejszego doświadczenia, ale co do tego, żebym miał całkowicie utracić równowagę, jak mi to groziło owego rana, to sądzę, że niebezpieczeństwo takie przemineło.

— Nigdy nie zapomnę, jakeś pan wtedy wyglądał.

— Gdybyś mi pani ocaliła tylko życie, byłbym może znalazł słowa do wyrażenia mej wdzięczności, ale ocaliłaś mi rozum i nie ma wyrazu na oznacze-

nie uczucia, któreby nie zmniejszało mego względem pani długu.

Mówilem wzruszony i oczy jej zwilżyły się nagle.

— Zbyt pochlebne dla mnie wierzyć temu wszystkiemu, ale rozkoszą jest dla mnie słuchać pana tak mówiącego. Drobnostką jest to, com uczyniła. Sama byłam w rozpacz z powodu pana. Ojciec sądzi, że nie powinno nas dziwić nic takiego, czego przyczynę możemy wyjaśnić naukowo, jak to np., o ile sędzę, stosować się może do pańskiego długiego snu; pomimo to jednak, gdy siebie tylko wyobrażę na miejscu pana, w głowie mi się mąci. Wiem, że nie mógłabym przenieść tego zupełnie.

— Zależałoby to od tego, czy jaki anioł przyszedłby na pomoc pani ze swoim współczuciem w chwili krytycznej, tak jak się to mnie przytrafiło.

Jeżeli twarz moja wyrażała wogóle uczucia, jakie miałem prawo żywić dla tej miłej i rozkosznej dziewczyny, co odegrała względem mnie tak anielską rolę, to wyraz jej twarzy był wtedy zachwycający. Czy to postawa moja, czy słowa, czy też jedno i drugie zniewoliły ją znowu do spuszczenia oczu z cudownym rumieńcem.

— Co do tego, to jeżeli doświadczenie pani nie było tak wstrząsające, jak moje, w każdym razie musiało być coś niezwykłego, gdy się widziało powstanie z martwych człowieka, należącego do innego wieku i pozornie umarłego już od lat stu.

— Z początku wydawało się to istotnie dziwnem nad wszelki wyraz, ale kiedyśmy zaczęli później stawiać siebie na pańskim miejscu i wyobrażać so-

bie, o ile dziwniejszem musiało wydawać się panu jego położenie, zapomnieliśmy prawie o naszych własnych uczuciach; tak było przynajmniej ze mną. Wtedy rzecz ta wydawała się już nie zdumiewającą, ale zajmującą i wzruszającą raczej.

— Ale czy nie było dla pani rzeczą bardzo dziwną siedzieć np. ze mną u stołu, kiedyś wiedziała, kim jestem.

— Powinien pan pamiętać, że nie musisz nam wydawać się tak dziwnym, jak my panu. My należymy do przyszłości, o której nie mogłeś pan wytworzyć sobie żadnego pojęcia, do pokolenia, o którym nie wiedziałeś nic, dopókiś nas nie zobaczył. Tymczasem pan należy do pokolenia, którego częścią byli nasi praojcowie; myśmy wiedzieli o nich wszystko; imiona wielu z pomiędzy nich powtarzamy dziś jeszcze prawie codziennie. Myśmy uczyli się o waszych sposobach życia i myślenia; z tego co pan mówi lub robi, nic nas nie zadziwia, tymczasem my nie mówimy i nie robimy nic takiego, coby się nie wydawało dziwnem panu. Tak więc, widzi pan, panie West, jeżeli pan czuje, że się z czasem do nas przyzwyczai, to nie powinieneś się pan zdumiewać, że od początku myśmy prawie nie znawali w panu nic dziwnego.

— Nie pomyślałem o tem w taki sposób, istotnie ma pani wielką słusność. Łatwiej jest spojrzeć wstecz o lat tysiąc, aniżeli w przyszłość o lat pięćdziesiąt. Stulecie nie jest znowu perspektywą tak odległą, mogłem znać pani pradziadków, mozem znać nawet. Czy mieszkali w Bostonie?

— Tak sądzę.

— Więc pani nie jest tego pewną?

— Owszem, teraz myślę, że istotnie mieszkali.

— Miałem bardzo wielkie koło znajomych w mieście, nie jest więc nieprawdopodobnem, że mogłem znać kogo z nich albo sam znanym być komu. Może nawet znałem ich bardzo dobrze. Czy zajmowałyby to panią, gdybym wypadkiem mógł pani opowiedzieć wszystko np. o pani pradziadku?

— Bardzo.

— Czy pani zna swój rodowód o tyle, aby mi powiedzieć: kto byli przodkowie pani w Bostonie za moich czasów.

— O tak!

— Może więc zechce pani powiedzieć mi z czasem o ich nazwiskach.

Zajętą była bardzo uporządkowaniem jakiejś niespokojnej gałązki i na razie nie odpowiedziała mi nic.

Kroki na schodach oznajmiły nam, że inni członkowie rodziny schodzą również na dół.

— Może z czasem—rzekła Edytha.

Po śniadaniu, doktor Leete zabrał mnie z sobą dla obejrzenia centralnego składu towarów, oraz przypatrzenia się, jak wygląda w działaniu cała machina ich podziału, którą opisywała mi Edytha. Kiedyśmy wyszli z domu, zwróciłem się do niego ze słowami.

— Oto od kilku dni mieszkam u pana na stopie jaknajbardziej niezwyklej, a raczej bez żadnej stopy. Nie mówiłem dawniej o tej stronie mego położenia, gdyż było wiele innych, jeszcze bardziej niezwyklej. Ale teraz, kiedy już czuję trochę gruntu

pod nogami, kiedy rozumiem, że jakkolwiek się tu dostałem, bądź co bądź jestem tutaj i powinienem możliwie przystosować się do położenia, teraz, powiadam, muszę pomówić o tem z panem.

— Co do tego, żeś pan moim gościem, to proszę bardzo nie kłopotać się o to, gdyż mam zamiar długo jeszcze pana zatrzymać. Przy całej swej skromności, możesz pan łatwo pojąć, że taki gość, jak pan, jest nabytkiem, z którym nie rozstajemy się dobrowolnie.

— Dziękuję doktorze, niedorzecznością byłoby zapewne, gdybym okazywał jakąś nadszłość z powodu czasowej gościnności tego, komu zawdzięczam, że dotąd jeszcze nie czekam końca świata w grobie. Jeżeli jednak mam być stałym obywatelem tego stulecia, to muszę tu mieć jakieś stanowisko. Otóż za dni moich, osoba mniej więcej obyta w świecie, bez względu na to, jak się doń dostała, mogłaby żyć niepostrzeżenie w niezorganizowanej kupie ludzi i mogła znaleźć dla siebie miejsce wszędzie, jeśli tylko była dość silną. Ale dzisiaj każdy jest częścią jakiegoś systemu, ma oznaczone miejsce i czynność. Ja jestem po za systemem i nie wiem, jak się tam dostanę; zdaje mi się, iż nie ma to innego sposobu, jak tylko: albo urodzić się w nim, albo wejść w charakterze wychodźcy z jakiegoś systemu innego.

Doktor Leete zaśmiał się serdecznie.

— Zgadza się, że nasz system grzeszy brakiem przewidywania takich wypadków, jak pański, ale, widzi pan, nikt nie spodziewał się przyrostu ludności innego, niż sposobami zwykłemi, nie powinien pan jednak obawiać się, iż nie będziemy mo-

gli znaleźć dla pana miejsca i zajęcia w czasie właściwym. Dotąd obcowałeś pan tylko z członkami mojej rodziny, ale nie sądz pan, żem trzymał go w tajemnicy. Przeciwnie, przygoda pańska, nawet przed wskrzeszeniem pana, a daleko więcej potem, obudziła najgłębsze zajęcie wśród ludności. Ze względu na stan pańskich nerwów, uznano za rzecz najlepszą, iżbym ja na początek zajął się panem wyłącznie i abys pan za mojem i mojej rodziny pośrednictwem nabrał ogólnego wyobrażenia o świecie, do którego przyszedłeś, zanim zaczniesz szczegółowo zapoznawać się z jego mieszkańcami. Co do wyznaczenia panu czynności w naszym społeczeństwie, to nie namyślano się pod tym względem ani chwili. Niewielu z pomiędzy nas może wyświadczyć narodowi tak wielką usługę, jak to będziesz mógł uczynić pan, po opuszczeniu mego domu, o czem jednak przez długi jeszcze czas nie powinieneś pan myśleć.

— Cóżbym ja mógł robić. Może wyobrażacie sobie, że posiadam fach jakiś, sztukę albo szczególną biegłość. Upewniam pana, że nic takiego nie umiem. Nie zarobiłem w życiu mojem jednego dolara, nie pracowałem na chleb ani jednej godziny. Jestem silny i mogę być robotnikiem pospolitym, ale niczem więcej.

— Gdyby to była najbardziej pożyteczna usługa, jaką pan byłbyś w stanie oddać narodowi, wówczas przekonałbyś się, że i to powołanie byłoby tak dobrze poważanem jak i inne; ale możesz pan robić coś lepszego. Mógłbyś pan łatwo stać się mistrzem wszystkich naszych historyków w sprawach, dotyczących stanu społeczeństw ostatniej ćwierci wieku XIX;

to jest historycznego okresu najbardziej pochłaniającego naszą ciekawość, i kiedy w czasie właściwym oswoisz się pan należycie z urządzeniami naszymi, a zechcesz nauczyć nas czegoś o swoich, to znajdziesz gotowe dla siebie miejsce lektora historyi w jednym z naszych kolegiów.

— Bardzo dobrze, doprawdy bardzo dobrze, odrzekłem, doznając wielkiej ulgi z powodu tak praktycznego pomysłu w sprawie, która mnie zaczynała już niepokoić. Jeżeli wasi współobywatele istotnie zajmują się tak bardzo wiekiem dziewiętnastym, to znajdę gotowe dla siebie zajęcie. Nie sądzę, iżbym posiadał coś innego, czem mógłbym na chleb zarabiać, ale w tym wypadku, bez zarozumiałości mogę utrzymywać, że posiadam pewne kwalifikacje szczególne do zajęcia takiego stanowiska, jakie pan opisuje.



ROZDZIAŁ XVII.

Sprawy towarnej wydały mi się tak zajmującymi, jak mi je opisała Edytha i wprowadziły mnie nawet w zachwyty niezwykły, jako przykład przedziwnego uwielokrotnienia owoców pracy ludzkiej, do jakiego prowadzić może doskonała organizacja. Zakład ten podobnym jest olbrzymiemu młynowi, do którego kosza zsypywane są ustawicznie, z pociągów i okrętów towary, po to tylko, aby u drugiego końca wynurzyły się w postaci pakunków funtowych i uncyjowych, łokciowych i calowych, garncowych i kwartowych, stosownie do niezliczonych potrzeb osobistych półmilionowej ludności. Doktor Leete, przy pomocy danych, dostarczonych przezemnie, a dotyczących sposobu sprzedawania towarów za dni moich, przedstawił mi pewne zdumiewające dowody oszczędności, jaką pociągał za sobą system nowy.

Powracając do domu, rozmawialiśmy dalej.

— Po tem, com widział dzisiaj, coś mi pan mówił i czegom się nauczyłem, dzięki opiece panny Edy-

thy w składzie prób i wzorów, nabrałem już dość jasnego pojęcia o waszym systemie podziału, oraz o tem, w jaki sposób pozwala on wam obchodzić się bez środka obiegowego, ale bardzobym chciał dowiedzieć się nieco więcej o waszym systemie wytwarzania. Mówiłes mi pan w ogóle, w jaki sposób zaciąganą i zorganizowaną bywa wasza armija przemysłowa, ale kto kieruje jej działalnością? Jakaż władza najwyższa określa, co winno być zrobionem w każdym dziale, tak, iżby wszystkiego było dosyć, i aby zarazem nie marnowano pracy. Zdaje mi się, iż musi to być dziwnie zawiła i trudna czynność, wymagająca zdolności wielce niezwykłych.

— Czyż naprawdę zdaje się tak panu—powiedział doktor Leete—zapewniam pana, iż nie ma tu nic podobnego, ale że, przeciwnie, jest to rzecz tak prosta i zależna od zasad tak oczywistych i tak łatwo dających się stosować, iż od urzędników waszyngtońskich, którym powierzono tę czynność, nie wymaga się nic więcej nad to, iżby byli ludźmi otwartej głowy, spełniają zaś ją ku zupełnemu zadowoleniu narodu. Machina, którą kierują, jest istotnie ogromna, ale tak logiczna w zasadach swych, tak bezpośrednia i prosta w działaniu, że wszystko odbywa się tu samo i chyba tylko waryjat mógłby jej czynność zakłócić; zgodzi się pan, jak sądzę, z tem, po kilku słowach objaśnienia. Ponieważ posiada pan już dość dobre wyobrażenie o systemie rozdzielczym, więc zacznijmy od tego końca. Nawet za dni pana statystycy byli już zdolni powiedzieć wam, jaką liczbę łokci bawełny, aksamitu, tkanin wełnianych, jaką ilość beczek mąki, kartofli, masła, ile par trzewi-

ków, kapeluszy i parasoli zużywał rok rocznie naród. Dzięki temu, iż wytwarzanie znajdowało się w rękach prywatnych, oraz, że nie było sposobu otrzymania statystycznych cyfr podziału istotnego, cyfry owe nie były dokładne, ale już się do ścisłości zbliżały. Otóż, obecnie notowaną jest każda szpilka, jaką się wydaje z narodowego składu towarów, a tem samem cyfry spożycia z każdego tygodnia, miesiąca lub roku, jakie posiada wydział rozdzielczy ku końcowi danego okresu, są dokładne. Na podstawie tych cyfr po uwzględnieniu dążności zniżkowych i wyżkowych, oraz pewnych przyczyn szczególnych, mogących oddziaływać na popyt, dokonywa się obliczeń z góry na jakiś rok. Kiedy obliczenia te, z pozostawieniem wolnego miejsca na wszelki przypadek, zostaną przyjęte przez administrację ogólną, odpowiedzialność wydziału rozdzielczego ustaje aż do czasu wydania mu towarów. Mówię tu o obliczeniach, dokonywanych na cały rok, w rzeczywistości jednak, ogarniają one tak wielki okres tylko wtedy, gdy idzie o wielkie składy towarów, na których popyt można rachować z pewnością. W znacznej większości drobniejszych gałęzi przemysłu, których wytwory podlegają wpływom zmiany upodobań ogółu i w których często żądaną jest nowość, produkcja nie o wiele wyprzedza spożycie, a wydział rozdzielczy dostarcza ich obliczeń częstszych, opartych na popycie ostatniego tygodnia.

Dzisiaj cały zakres przemysłu wytwórczego i konstrukcyjnego rozpada się na dziesięć wielkich wydziałów, z których każdy przedstawia grupę przemysłów pokrewnych, zaś każdy przemysł posiada

znowu biuro podrzędne, mające dokładne wiadomości o gałęzi i o sile wytwórczej, przez nie kontrolowanej, o wytworze chwili obecnej i o środkach powiększenia go. Obliczenia wydziału rozdzielczego po przyjęciu ich przez administrację, odsyłane bywają, jako obowiązujące, do dziesięciu wydziałów, które rozdają je podwładnym sobie biurom, przedstawiającym gałęzie poszczególne, te zaś wyznaczają ludzi do roboty. Każde biuro odpowiada za powierzone sobie zadanie, odpowiedzialność zaś tę potęguje nadzór wydziału oraz administracji ogólnej; wydział rozdzielczy nie przyjmuje wytworu, którego sam nie obejrzy; kiedy jakiś wytwór, będący już nawet w rękach spożywczy, okaże się nieprzydatnym, system nasz pozwala wysledzić źródło jego wadliwości, aż do pierwotnego wytwórcy. Wytwarzanie towarów, po zaspokojeniu bieżących potrzeb ogólnego spożycia, nie wymaga od nas, naturalnie, całej narodowej siły pracowniczey. To też, po wyznaczeniu odpowiedniego zastępu pracowników dla każdej gałęzi przemysłu, pozostałą część pracy wydajemy na wytwarzanie kapitału stałego, jak budowle, maszyny, roboty inżynierskie i t. d.

— Przychodzi mi na myśl wzgląd jeden, który, jak sądzę, może bywać przyczyną niezadowolenia. Skoro przedsiębiorstwa prywatne nie mają pola, to jakż jest pewność, iż uwzględnionem będzie żądanie nieznaczných mniejszości, żądanie nabycia jakichś wyrobów, na które nie ma szerokiego popytu? Dekret urzędowy w każdej chwili może pozbawić mniejszość środków zaspokojenia jakichś upodobań szczególnych tylko dla tego, że większość ich nie podziela.

— Byłoby to istotnie tyraniją i możesz być pan zupełnie pewnym, że się tak nie dzieje wśród nas, dla których wolność jest jednako drogą, jak równość albo braterstwo. Kiedy poznasz pan lepiej nasz system, zobaczysz, że urzędnicy nasi są faktycznie, nie zaś tylko z imienia narzędziami i służbami narodu. Administracyja nie jest władną powstrzymać wytwarzania jakiegokolwiek towaru, na jaki istnieje jeszcze popyt. Przypuśćmy, iż popyt na jakies wyroby o tyle słabnie, iż wytwarzanie ich staje się bardziej kosztowne; cena ich, naturalnie, musi być odpowiednio podniesioną, lecz dopóki spożywcy chcą płacić, wytwarzanie trwa dalej. Albo jeszcze wyobraźmy, iż żąda się jakiegoś wyrobu, jakiego dawniej nie wytwarzano. Jeżeli administracyja wątpi o rzeczywistości popytu, wówczas zbiorowa petycyja ludności, dająca rękojmię pewnego spożycia, nakłania ją do podjęcia produkcyi. Rząd albo większość, któreby musiały mówić narodowi, albo mniejszości, co on ma jeść, pić, lub w co się ubierać, jak to, o ile sędzę, rządy amerykańskie robiły za dni pana, uważanoby dzisiaj za ciekawy anachronizm. Może wyście mieli powody znoszenia owych pogwałceń niezależności osobistej; mybyśmy ich nie zniesli. Rad jestem, żeś pan zagaikł tę sprawę, gdyż dało mi to możność wykazania panu, o ile bardziej bezpośrednią i skuteczną jest indywidualna kontrola obywateli nad wytwarzaniem dzisiaj, aniżeli za dni waszych, kiedy przeważało to, co wyście nazywali inicjatywą prywatną, jakkolwiek należałoby ją nazywać kapitalistyczną inicjatywą, gdyż przeciętni obywatele prywatni dość mały brali w niej udział.

— Mówisz pan o podnoszeniu ceny artykułów kosztownych. W jaki sposób możecie regulować ją w kraju, gdzie nie ma współzawodnictwa pomiędzy kupującymi albo sprzedawcami.

— Zupełnie tak samo, jak się to działo u was— odrzekł doktor Leete, kiedy zaś spostrzegł, że patrzę nań z niedowierzaniem, dodał.— Sądziś pan, że wymaga to wyjaśnień? w każdym razie niezbyt długich. Koszt pracy wytwarzającej uznawano za dni waszych za prawowitą podstawę ceny danego wyrobu, tak samo jest też u nas. Za waszych czasów różnica płacy zarobnej określała różnicę kosztów pracy; dzisiaj względna liczba godzin, stanowiących dzień roboczy w rozmaitych zawodach, orzeka o tem, gdyż utrzymanie pracownika jednakie jest we wszystkich wypadkach. Koszt pracy w zawodzie tak trudnym, iż dla ściągnięcia ochotników musiano oznaczyć długość dnia roboczego na godzin cztery, jest dwa razy większy, niż w takim zajęciu, gdzie ludzie pracują po osiem godzin. Wynik ostateczny co do kosztów pracy jest, jak pan widzisz, zupełnie taki sam, jak gdyby człowiek, pracujący cztery godziny, przy waszym systemie pobierał płacę dwa razy większą niż inni. Obliczenie to, stosowane do pracy w rozmaitych gałęziach rękodzielnictwa, nadaje jej cenę również w odniesieniu do artykułów innych. Obok kosztów wytwarzania i przewożenia, na cenę niektórych towarów wpływa też czynnik rzadkości. Odnośnie do wielkich zakładów, wytwarzających rzeczy niezbędne do życia, których obfitość zapewnić można zawsze, czynnik ten jest wykluczony. Istnieje zawsze pod ręką pewna nadwyżka, przy pomocy któ-

rej można wyrównywać fluktuacje podaży i popytu nawet w wypadku zbiorów najgorszych. Ceny produktów zmniejszają się powoli z roku na rok, zaś prawie nigdy się nie podnoszą. Istnieją jednak pewne kategorie wytworów, z których jedne stale, drugie zaś czasowo nie odpowiadają popytowi. Tak się ma np. rzecz ze świeżymi rybami i nabiałem, należącymi do kategorii drugiej, oraz wyrobami, które wymagają wielkiej biegłości i rzadkich materyjałów, a należą do pierwszej kategorii. Jedno, co można tu zrobić, to równoważyć jako tako niedogodność, wynikającą z rzadkości towaru. Czyni się to, podnosząc cenę czasowo, jeżeli brak jest przemijający, albo też utrzymując ją na pewnej wysokości, jeśli jest stały. Wysokie ceny za dni waszych znaczyły tyle, co wyłączne pozostawienie droższych rzeczy dla ludzi bogatych; ale dzisiaj, kiedy środki wszystkich są jednakie, sprowadza to jedynie ten skutek, iż artykuły podobne kupują tylko ci, dla których one najbardziej są pożądanymi. Dałem więc teraz panu ogólne pojęcie zarówno o naszym systemie wytwarzania, jak i podziału. Czy znajdujesz pan, że jest on tak złożony, jakies przypuszczał?

Zgodziłem się, że nic nie mogło być bardziej prostego.

— Jestem pewny — ciągnął doktor Leete — iż z całą słusznością powiedzieć można, że kierownik jednego z waszych niezliczonych przedsiębiorstw prywatnych, który musiał bez wytechnienia mieć się na baczności przed fluktuacją rynku, machinacyjami współzawodników, bankructwem wierzycieli, miał zadanie daleko bardziej mozolne, niż grupa ludzi

w Waszyngtonie, kierująca wszystkimi gałęzmi działalności przemysłowej całego narodu. Wszystko to, drogi mój bracie, wskazuje tylko, o ile łatwiejszem jest postępowanie drogą prawą, aniżeli błędną. Łatwiej jest generałowi, siedzącemu w balonie i ogarniającemu wzrokiem całe pole, prowadzić do zwycięstwa armiję milionową, niżli sierżantowi dowodzić plutonem żołnierzy wśród gęstwiny leśnej.

— Generałem tej armii, zawierającej w sobie kwiat najlepszych ludzi narodu, musi być jakiś człowiek najprzedniejszy w kraju, większy zapewne, niż prezydent Stanów Zjednoczonych?

— Jest nim właśnie prezydent Stanów Zjednoczonych, albo raczej najważniejszym obowiązkiem prezydenta jest naczelne dowództwo nad armiją przemysłową.

— W jaki sposób obiera się go, zapytałem.

— Objaśniłem to panu dawniej, gdy opisywałem, jak wielką jest siła bodźca emulacyjnego pośród członków wszelkiego stopnia w armii przemysłowej, kiedy mówiłem, że droga awansu dla zasłużonych przebiega naprzód trzy stopnie przedoficerskie, następnie zaś zdąża od porucznikowstwa do rangi kapitana, czyli dozorca, a dalej do superintendentury, t. j. do rangi pułkownika. Dalej, oprócz pewnej godności pośredniej, w niektórych większych gałęziach przemysłu, spostrzegamy jeszcze pewien urząd nowy, a mianowicie generała zawodu, pod którego kontrolą bezpośrednią wykonywane są wszystkie działania zawodowe. Dostojnik ten stoi na czele biura narodowego, jako przedstawiciel swojej gałęzi przemysłu i odpowiedzialnym jest za sprawność jej

pracowników wobec administracyi. Generał zawodu zajmuje stanowisko świetne, mogące zadowolnić ambicyję większości ludzi, ale po nad tą godnością, którą, używając analogii z waszej epoki, można byłoby przyrównać do stopnia generała dywizyi, czyli generał-majora, jest jeszcze godność naczelników owych dziesięciu wielkich wydziałów, czyli grup zawodów pokrewnych. Zwierzchników tych dziesięciu wielkich działów armii przemysłowej można porównać z waszemi generałami korpusu, czyli generałami lejtnantami, gdyż każdy z nich ma jakich dwunastu do dwudziestu podkomendnych sobie generałów zawodu. Po nad tymi wysokimi urzędnikami, stanowiącymi jak gdyby radę wojenną, znajduje się właśnie wódz naczelny, którym jest prezydent Stanów Zjednoczonych.

Naczelny generał armii przemysłowej musiał przechodzić przez wszystkie stopnie niższe, poczynając od pracownika pospolitego. Przypatrzmy się w jaki sposób on awansuje. Jakem już panu powiedział, każdy z nas przechodzi przez stopnie zastępu pracowniczego do porucznikowstwa na podstawie odznaczeń, notowanych w jego świadectwie pracowniczem. Przez stopień porucznika dosięga on superintendentury, t. j. pułkownikowstwa, już na podstawie nominacyi z góry, robiącej ścisły wybór pomiędzy najlepszymi kandydatami. Generał zawodu nadaje stopnie niższe od swojego, sam on jednak nie bywa mianowany, lecz obierany przez głosowanie.

— Przez głosowanie, zawołałem, czyż nie jest to zabójczem dla karności zawodu, gdy kandydaci

usiłują intrygować na swoją korzyść, pomiędzy pracownikami.

— Byłoby tak niewątpliwie — odparł doktor Leete — gdyby pracownicy mieli tu głosować, lub wogóle, jeżeliby stanowić mieli o wyborze; lecz nie jest to ich rzeczą. Tutaj właśnie spostrzegamy pewną szczególną cechę naszego systemu. Generał zawodu obieranym bywa z pomiędzy superintendentów przez głosowanie honorowych członków tegoż zawodu, t. j. takich, co przesłużyli już swój czas i zwolnieni zostali od służby. Jak panu wiadomo, w wieku lat 45 wychodzimy już z armii przemysłowej, zaś resztę życia pozostawia się już naszemu własnemu użytkowi albo wytechnieniu. Rzecz naturalna jednak, że stosunki i związki z czynnego okresu naszego życia zachowują na nas wpływ niemały. Towarzystwo, do jakiego wchodzimy wówczas, pozostaje już naszym do końca życia. Nie przestajemy nigdy być honorowymi członkami naszych zawodów uprzednich, a pomysłność ich, oraz reputacja w pokoleniu następnem nie przestają w nas budzić najżywszego zajęcia i pełnego zazdrości przywiązania. W klubach, utrzymywanych przez honorowych członków zawodu, gdzie obcujemy ze sobą towarzysko, nie masz prawie rozmowy tak pospolitej, jak właśnie debaty o sprawach zawodowych; młodzi zaś aspiranci do godności naczelnych, słuchając krytyki swoich starych towarzyszy, mogą się do obowiązków swych przygotować bardzo dobrze. Uznając ten fakt, naród powierzył honorowym członkom każdego zawodu wybór jego generała; poważylbym się też twierdzić, że żadna z dawniejszych form społecznych nie

zdobyła się jeszcze nigdy na ciało wyborcze, tak idealnie przystosowane do swych obowiązków pod względem zupełnej bezstronności, pod względem znajomości szczególnych uzdolnień i świadectw kandydatów, troskliwości o jaknajlepszy wybór, oraz ze względu na zupełny brak interesowności.

Każdy z dziesięciu generałów lejtnantów, czyli naczelników wydziału, obierany bywa z kolei z pośród generałów rozmaitych zawodów, zgromadzonych z całego wydziału, przez głosowanie honorowych członków wszystkich tegoż wydziału zawodów Rzecz prosta, iż każdy zawód głosowałby najchętniej za swoim generałem, ale żaden z nich nie ma tylu głosów, iżby mógł obrać kogós, nie popierany przez większość zawodów innych. Zapewniam pana, że wybory te są niezmiernie ożywione.

— Prezydenta, jak sędzę, wybiera się z pośród dziesięciu zwierzchników owych wielkich wydziałów?

— Tak, ale zwierzchnicy wydziałów nie podlegają wyborowi, dopóki nie spędzą pewnej liczby lat już po za swoim obowiązkiem. Rzadko się zdarza, iżby człowiek przeszedł przez wszystkie stopnie aż do zwierzchnika departamentu na długo przed ukończeniem lat 40-tu, zaś ku końcowi pięcioletniego okresu służby na tym stanowisku miewa już lat 45. Jeżeli jest starszy, służy jeszcze po za ten okres, gdy zaś go nie osiągnął, opuszcza niemniej armiję przemysłową: nie wypadałoby mu już powracać do szeregów. Przerwa, w ciągu której pozostaje kandydatem na prezydenta, poświęcona jest na to, aby należycie zrozumiał, iż powraca do ogólnej masy narodu, oraz, aby zespolił siebie z nią raczej, nie zaś

z armiją przemysłową. Nadto, przypuszcza się, iż użyje tego czasu na zbadanie ogólnego położenia całej armii, nie zaś poszczególnej grupy zawodów, której był głową. Z pomiędzy więc byłych zwierzchników wydziałów, którzy podlegają w danym czasie wyborowi, obiera się prezydenta przez głosowanie wszystkich ludzi, nie związanych z armiją przemysłową.

— Jakto, więc armija nie może głosować na prezydenta?

— Pewno że nie: byłoby to groźnem dla jej karności, którą utrzymywać musi właśnie prezydent, jako przedstawiciel całego narodu wogóle. Prezydent w chwili wybrania go miewa zazwyczaj około lat 50 i służy lat 5, stanowiąc zaszczytny wyjątek od powszechnego pravidła opuszczania służby w 45-ym roku życia. Ku końcowi tego okresu służby zbiera się kongres narodowy, aby z uznaniem lub naganą wysłuchać sprawozdania prezydenta. W razie uznania, kongres zazwyczaj wybiera go na przedstawiciela narodu jeszcze na lat 5 w radzie międzynarodowej. Muszę również dodać, iż kongres odbiera też sprawozdanie ustępujących naczelników wydziałów, którzy, w razie otrzymania nagany, nie mogą być później wybieranymi na prezydenta. Rzadko się jednak zdarza, iżby naród miał powody do jakichkolwiek innych uczuć, oprócz wdzięczności względem swych wysokich urzędników. Co do uzdolnień, to samo dostąpienie godności po przez probierze tak liczne i ścisłe, najlepszym już jest ich dowodem, co zaś do uczciwości, to system nasz społeczny nie pozostawia absolutnie żadnej innej pobudki

działania, nad chęć zdobycia szacunku współobywateli. Przedajność jest niemożliwa w społeczeństwie, gdzie nie masz ani ubóstwa, któreby trzeba było przekupywać, ani bogactw, któremi się przekupuje, co zaś do demagogii, albo intryg służbowych, to warunki awansowania uniemożliwiają je całkowicie.

— Jednego tylko nie rozumiem dobrze, czy członkowie profesyj wolnych mogą być obierani na prezydenta, skoro zaś tak, to w jaki sposób szereguje się ich obok przedstawicieli właściwych zajęć przemysłowych?

— To też nie szereguje się ich wcale. Przedstawiciele powołań technicznych: jak inżynierowie i architekci należą do zawodów konstrukcyjnych; ale członkowie wolnych powołań: lekarze, nauczyciele, jak również artyści i literaci, otrzymujący zwolnienie od służby przemysłowej, do przemysłowej armii nie należą. Na tej też zasadzie mogą oni wprawdzie głosować, ale sami obieranymi nie są na godność prezydenta. Ponieważ jednym z najgłówniejszych obowiązków prezydenta jest utrzymanie kontroli i karności w armii przemysłowej, przeto ważnem jest, iżby prezydent przeszedł przez wszystkie jej stopnie, jeśli ma sprawę jej rozumieć.

— Jest to słuszne, rzekłem, lecz jeśli nauczyciele i lekarze nie znają się dość na przemyśle aby być prezydentami, to sędzę, że i prezydent nie ma dość pojęcia o medycynie lub wychowaniu, aby mógł kontrolować te działy.

— To też nie czyni tego—brzmiała odpowiedź— a raczej kontroluje tylko w sposób ogólny, czyli że tak tutaj, jak i w odniesieniu do klas innych, odpo-

wiedzialny on jest za wykonywanie prawa; prezydent nie ma nic do czynienia w wydziale wychowawczym albo lekarskim, podlegającym kontroli własnych swoich zarządców, gdzie on jest ex officio prezesem i posiada głos decydujący. Zarządców owych, odpowiedzialnych, rzecz jasna, przed kongresem, wybierają honorowi członkowie zawodów: wychowawczego i lekarskiego, wysłużeni nauczyciele i lekarze.

— Czy wie pan, rzekłem, że metoda wybierania urzędników przez głosowanie wysłużonych przedstawicieli zawodów jest niczem innym, jak tylko zastosowaniem na skalę ogólną, narodową owego planu rządu przez alumnów, jakim w nieznacznej mierze myśmy się posługiwali niekiedy, gdy szło o kierownictwo naszych wyższych zakładów naukowych.

— Robiliście tak? — zawołał doktor Leete z ozywieniem. — Jest to rzecz całkiem nowa dla mnie, a jak sądzę, dla większości z pomiędzy nas będzie nowa i zajmująca. Spierano się bardzo wiele o to, jaki mógł być początek tej idei i wyobrażaliśmy sobie, że choć raz znalazło się coś nowego pod słońcem. No! no! w waszych wyższych zakładach naukowych! Doprawdy, to bardzo ciekawe. Musisz mi pan powiedzieć o tem coś więcej.

— Istotnie, bardzo mało jest do powiedzenia nad to, com już powiedział. jeśliśmy mieli myśl wazną w zarodku, to był to też tylko zarodek.



ROZDZIAŁ XVIII.

Tego wieczora, po usunięciu się pań, rozmawiałem jeszcze chwilkę z doktorem Leete o systemie usuwania ludzi od dalszej służby narodowej po latach 45; nad przedmiotem tym kazało mi zastanowić się opowiadanie doktora o udziale obywateli wysłużonych w rządzie.

— W czterdziestym piątym roku życia, rzekłem, człowiek ma jeszcze przed sobą z 10 lat dobrej pracy ręcznej, a ze 20 dobrej umysłowej pracy. Ludzie więc o usposobieniu energicznym muszą spoglądać na to uważanie ich za przestarzałych i przenoszenie w stan spoczynku, jak na wielką przykrość raczej, nie zaś jak na łaskę.

— Drogi panie West — zawołał doktor Leete, wpatrując się we mnie — nie możesz pan mieć pojęcia o tem, jak niezdolnie przykremsi są dziś dla nas wasze idee XIX wieku, jak osobliwym jest ich skutek. Dowiedz się więc, dziecko innej rasy a jednak tej samej, że praca, jaką mamy ponosić dla zapew-

nienia naszemu narodowi wygodnego bytu materialnego, nie jest uważana przez nas, ani za najważniejsze, ani za najbardziej zajmujące, ani też za najgodniejsze zużytkowanie sił naszych. Patrzymy na nią, jako na nieuchronny obowiązek, z którego potrzeba się wywiązać, zanim całkowicie poświęcimy się wyższej uprawie naszych zdolności, umysłowemu i duchowemu ich zużytkowaniu, oraz celom, które jedynie oznaczają życie. Robi się wprawdzie wszystko, co można, aby ulżyć pracy i mozołom przez sprawiedliwy podział trudów, oraz przez wszelkiego rodzaju przynęty i bodźce; to też praca ta, porównawczo tylko biorąc, bywa mozolną, częstokroć zaś staje się ożywczą. Ale, najgłówniejszym celem naszego istnienia nie jest owa praca nasza, lecz wyższa i szersza działalność, której pozwala nam oddawać się z całą swobodą, opuszczenie szeregów pracownicznych.

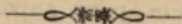
Rzecz jasna, że nie wszyscy, a nawet nie większość nas żywi owo zajęcie dla spraw naukowych, artystycznych, literackich lub wychowawczych, jakie czynią z naszego wolnego czasu rzecz jedynie cenną. Wielu z nas spogląda na drugą połowę swego żywota, jako na okres uciech innego rodzaju, poświęcając go podróżom, zabawom towarzyskim w gronie starych przyjaciół, pielęgnując wszelkie osobiste wstępy i upodobania, oraz ścigając wszelkie możliwe postacie wytchnienia, słowem, uważają to za czas swobodnego i niezmaconego niczem napawania się dobrodziejstwami świata, do wytworzenia których się przyczynili. Ale, jakkolwiek jest różnica naszych upodobań osobistych, to odnośnie do zużytko-

wywania owego wolnego czasu zgadzamy się wszyscy o tyle, iż chwili zwolnienia od służby oczekujemy jako kresu, po którym zaczynamy dopiero korzystać z całej pełni naszych praw przyrodzonych, jako doby, kiedy po raz pierwszy naprawdę dojdziemy już do pełnoletności i zwolnieni będziemy od rygoru i kontroli a obdarowani wieczystą pensją do końca naszego życia. Tak samo, jak młodzież za dni waszych chciwie oczekiwała 21 roku, tak ludzie dzisiejsi wyglądają lat 45. W 21 stajemy się dojrzałymi ludźmi, ale w 45 młodość nasza powraca. Wiek średni, oraz to, co wybyście nazwali starością, uważamy dzisiaj za epokę godniejszą prawie zazdrości, niż wiek młodzieńczy. Dzięki dzisiejszym lepszym warunkom istnienia, a nadewszystko dzięki uwolnieniu każdego od troski, starość nasza następuje o wiele później i znacznie jest łaskawszą niż za dni dawnych. Osoby, budowy ciała przeciętnej, żyją zazwyczaj do 85 lub 90 lat; zaś w roku 45-m jesteśmy, jak sędzę, fizycznie i umysłowo młodszy, niż wyście bywali w 35-m roku. Dziwnie się robi, myśląc, że w roku 45-m, kiedy my właśnie wchodzimy w okres życia najpełniejszy uciech, wyście poczynali myśleć już o starości i spoglądać w przeszłość. Dla was przedpołudnie było jaśniejszą życia połową, dla nas zaś popołudnie.

Dalej, przypominam sobie, że rozmowa nasza zawadziła o tegoczesne zabawy i uciechy publiczne, oraz porównywanie ich z zabawami wieku XIX.

— Pod pewnym względem—powiedział doktor Leete—zachodzi tu znaczna różnica. My nie posiadamy nic takiego, coby odpowiadało waszym sport-

smenom zawodowym, stanowiącym tak ciekawą cechę dni waszych; ani też nagrody, o jakie walczą nasi atleci, nie są pieniężne, jak to było u was. W zapasach naszych idzie zawsze tylko o sławę. Szlachetne współubieganie się zawodów wszystkich, oraz przywiązanie każdego współpracownika do jego zawodu jest stałym bodźcem we wszelkiego rodzaju grach i wyścigach na lądzie i morzu, które w młodzieży nie większe chyba budzą zajęcie, niż w honorowych zawodowcach wysłużonych. Zawodowe wyścigi jachtów w Marblehead odbywać się będą w przyszłym tygodniu i sam pan osądzisz, o ile większy zapał budzą one w rodzie ludzkim dzisiaj, niż za dni waszych. Wołanie rzymskiego motłochu *panem et circenses* uznaje się dziś za całkiem słuszne. Jeżeli chleb jest najpierwszą potrzebą życia, to zabawa idzie zaraz po nim; naród też stara się o jedno i drugie. Amerykanie wieku XIX byli tak nieszczęśliwi, iż nie rozporządzali odpowiednim zasobem ku zaspokojeniu którejkolwiekbaż z tych potrzeb. Gdyby ludzie owej epoki mogli nawet korzystać z dłuższego wyczasu, to, sądzę, nie wiedzieliby częstokroć, jak spędzić chwile swe przyjemnie; co do nas, to nie bywamy nigdy w tem położeniu.



ROZDZIAŁ XIX.

W ciągu jednej z przechadzek rannych zwiedziłem Charlestown. Wpółśród zmian zbyt licznych, aby się kusić o ich wykazanie, a świadczących, iż nad dzielnicą tą przepłynęło stulecie, szczególną uwagę zwróciłem na zupełne zniknięcie dawnego więzienia stanu.

— Zdarzyło się to jeszcze przedemną, ale pamiętam, że o tem słyszał—powiedział doktor Leete, którego zagadnąłem o fakcie owym przy śniadaniu—nie mamy dzisiaj więźniów. Wszelkiemi wypadkami atawizmu zajmują się dziś szpitale.

— Atawizmu? wykrzyknąłem zdziwiony.

— A no, tak—odpowiedział doktor Leete—myśl karania tych nieszczęśliwych zaniechaną została przynajmniej lat temu pięćdziesiąt, a może nawet więcej.

— Nie rozumiem pana zupełnie. Atawizm za moich czasów był to wyraz stosowany do takich wypadków, kiedy w kimś w sposób widoczny objawiały się cechy jakiegoś odległego przodka. Czyż mam

rozumieć, że na zbrodnię spoglądacie dzisiaj, jak na powrót jakiejś cechy przodków?

— Przepraszam pana— odrzekł doktor Leete z uśmiechem nawpół humorystycznym, nawpół przeprasającym—ale ponieważ pan tak wyraźnie postawiłeś pytanie, zmuszony jestem powiedzieć, że istotnie tak się zapatrujemy.

Po tem, czegom się już dowiedział o moralnych przeciwieństwach pomiędzy wiekiem XIX a XX, nedorzecznoscią byłoby niewątpliwie, gdybym począł okazywać jakąś czułośćkowość w tym przedmiocie; to też, gdyby doktor Leete nie mówił w sposób tak uprzedzający, a żona jego i Edytha nie zdradzały przytem pewnego zakłopotania, nie byłbym się prawdopodobnie zarumienił, jak to się stało obecnie.

— Nie groziło mi tak bardzo niebezpieczeństwo, abym się miał chełpić z mego pokolenia, rzekłem, ale istotnie...

— To jest pańskie pokolenie, panie West— wtrąciła Edytha—pokolenie, w którym pan żyjesz, które pan znasz; wszak tylko dla tego, że w niem żyjemy, nazywamy je naszym.

— Dzięki pani. Będę się starał tak o tem myśleć.

Kiedym to mówił, oczy moje spotkały się z jej wzrokiem, a wyraz jej twarzy uleczył mnie zupełnie z mojej nedorzecznej drażliwości.

— Bądź co bądź, rzekłem z uśmiechem, urodziłem się kalwinem i niepowinienbym był się dziwić, słysząc, że o zbrodniach mówi się, jako o cechach przodków.

— Faktycznie—rzekł doktor Leete—używamy wyrazu tego, bynajmniej nie myśląc o pokoleniu pańskim, jeżeli, za przeproszeniem Edythy, możemy je nazwać pańskim pokoleniem, przynajmniej o ile wyraz ten zdaje się wskazywać, iż, niezależnie od naszego otoczenia, uważamy siebie za lepszych, aniżeli wyście uważali niegdyś. Za dni waszych dziewności zbrodni na dwadzieścia, że użyjemy ostatniego wyrazu w znaczeniu szerokim, włączając tu wszelkie wykroczenia, wynikały z nierówności majątkowej jednostek; nędza kusiła biedaka, żądza większych zysków lub chęć utrzymania dawniejszych kusiła ludzi dostatnich. Pośrednio lub bezpośrednio, pragnienie pieniędzy, które wówczas równoważnemi były ze wszelkiem dobrem, stanowiło pobudkę wszystkich tych zbrodni, było głównym korzeniem trującego zielska, przeciwko któremu cała machina praw, więzień i policyi zaledwie mogły obronić cywilizację waszą od zupełnej zagłady. Dziś, kiedy czynimy naród jedynym powiernikiem ludzkich bogactw, kiedy, zapewniając wszystkim utrzymanie dostatnie, z jednej strony usuwamy nędzę, z drugiej zaś przeszkadzamy nagromadzaniu się mienia, to tem samem przecinamy ów korzeń, a trujące drzewo, które rzucało cień na waszą społeczność zwiędło i uschło, jak krzew Jonasza za dni owych. Co zaś do małej stosunkowo kategorii gwałtownych zbrodni przeciwko osobom, nie związanej z żadną myślą o zyskach, to nawet za waszych czasów ograniczały się one prawie całkowicie do ludzi ciemnych i zbydlęconych; dzisiaj zaś, kiedy wykształcenie i dobre obyczaje nie są już monopolem niewielu, ale rzeczą powszechną, o okru-

cieństwach takich prawie nie słyszymy. Widzisz pan teraz, w jakim rozumieniu używa się wyrazu atawizm dla oznaczenia zbrodni. Dzieje się tak dlatego, iż prawie wszystkie znane wam jej postacie nie mają dziś pobudek; kiedy więc ukazują się, można je wytłumaczyć tylko, jako występowanie cech przodków. Mieliście zwyczaj nazywać kleptomanami ludzi, którzy kradli bez żadnej wydocznej pobudki racjonalnej; kiedy zaś wypadek taki nie podlegał wątpliwości, uważano by za niedorzeczność karanie ich jako złodziei. Otóż wasza postawa wobec istotnych kleptomanów jest właśnie taka sama, jak nasza wobec ofiar atawizmu. Jest to postawa współczucia i stanowczego, ale łagodnego powściągu.

— Sądy wasze muszą też mieć wiele wolnego czasu, zauważyłem. Wobec braku własności prywatnej, o którejby trzeba było mówić, braku wszelkich sporów pomiędzy obywatelami, wynikających z interesu, braku podziałów majątkowych albo ściągania długów, muszą one nie mieć żadnych zgół spraw cywilnych; zaś wobec braku wykroczeń przeciwko własności, oraz bardzo małej liczby przestępstw wogóle, możecie prawie, jak mniemam, obchodzić się zupełnie bez sędziów i adwokatów.

— Bez adwokatów obchodzimy się z pewnością—odrzekł doktor.— Nie uważalibyśmy za rzecz rozsądną, aby w wypadkach, gdzie narodowi idzie jedynie o wykrycie prawdy, mogły brać w dochodzeniu sądowem udział osoby, mające jawną pobudkę do zabarwiania jej.

— Ale któż broni oskarżonego?

— Jeśli jest zbrodniarzem, nie potrzebuje obrony, gdyż najczęściej sam przyznaje się do winy. Obroną oskarżonego nie jest u nas cześć formalnością, jak to było u was, jest ona zazwyczaj końcem sprawy.

— Nie chcesz pan przez to powiedzieć, że człowiek, który się do winy nie przyznaje, bywa tem samem zwolniony od zarzutu?

— Nie, tego nie mówię. Nie oskarża się go lekkomyślnie, kiedy zaś wypiera się winy, podlega jeszcze badaniom, niedługo jednak, gdyż najczęściej sam do niej się przyznaje. Kiedy poczyni zeznania fałszywe, a przestępstwo zostanie mu udowodnionem, karę podwajamy. Jednakże fałsz tak dalece jest wśród nas pogardzanym, że niewielu przestępców odważyłoby się na kłamstwo dla ocalenia siebie.

— Jest to najbardziej zdumiewające ze wszystkiego, coś mnie pan powiedział, zawołałem; jeżeli kłamstwo wyszło z mody, to zaiste macie już „nowe niebiosa i ziemię nową, gdzie przebywa sprawiedliwość”, jak przepowiadał prorok.

— Takim też jest mniemanie wielu osób—odrzekł doktor.— Utrzymują one, że dosięgliśmy właśnie sławnego millennium, teoryja zaś ta, z ich stanowiska, nie jest pozbawioną oznak słuszności. Ale co do pańskiego zadziwienia, co do tego, że świat pozbył się kłamstwa, to właściwie nie masz pan ku temu podstawy. Fałsz nawet za dni waszych nie był rzeczą pospolitą pomiędzy panami i paniami równymi sobie towarzysko. Kłamstwo z obawy było ucieczką tchórzowstwa, zaś kłamstwo dla wprowadzenia w błąd stanowiło środek oszustów. Nierów-

ność pomiędzy ludźmi, oraz żądza nabywania stale obiecywały nagrodę za kłamstwo. A jednak, nawet wówczas, człowiek, który ani się obawiał innego, ani go nie pragnął oszukać, pogardzał kłamstwem. Ponieważ wszyscy dziś jesteśmy społecznie równi, nikt zaś nie ma powodu ani obawiać się czegoś od innych, ani też nie może zyskać czegoś od nich przez wprowadzenie w błąd, więc pogarda dla kłamstwa jest tak dalece powszechną, że, jakem panu powiedział, nawet ludzie pod innymi względami występni bardzo rzadko uciekają się do fałszu. Kiedy jednak ktoś obstaje przy swej niewinności, wówczas sędzia wyznacza dwa kollegia dla wyświecenia obu przeciwnych stron sprawy. O ile ci ludzie niepodobni są do waszych najemnych adwokatów i prokuratorów, zdecydowanych za jakąkolwiek cenę obronić albo usprawiedliwić, możesz pan wnosić z tego faktu, że dopóki obie grupy nie zgodzą się, iż dany wyrok jest sprawiedliwy, sprawę poddaje się roztrząsaniu ponownemu, gdy tymczasem wszelki ton niepewności w głosie któregośkolwiek z sędziów uważano by za rażący skandal.

— O ile rozumiem, to sędziowie są tutaj zarówno obrońcami i oskarżycielami, jak i roztrząsającymi sprawę.

• — Niewątpliwie, sędziowie kolejno pełnią już to jedne, już drugie obowiązki, zaś oczekuje się po nich, że zarówno w jednym, jak i w drugim wypadku zachowają się sprawiedliwie. System ten działa w rzeczywistości tak, jak działałby sąd złożony z trzech członków, z których każdy patrzyłby na sprawę z innego stanowiska. Gdy się zgodzą na

jeden wyrok, wierzymy, iż są tak bliscy prawdy bezwzględnej, jak tylko człowiek być może.

— Więc zarzuciliście system sądów przysięgłych?

— Był on krokiem naprzód w okresie płatnych adwokatów i sądów, niekiedy sprzedajnych, często zaś zależnych wskutek swego uposażenia, ale dzisiaj nie są już one potrzebne. Niepodobna sobie wyobrazić jakiegokolwiek pobudki innej, niż sprawiedliwość, któraby wpłynęła na naszych sędziów.

— Jakże się wybiera tych urzędników.

— Stanowią oni zaszczytny wyjątek wobec przepisu, zwalnającego wszystkich od służby w wieku lat 45. Prezydent mianuje co roku niezbędną liczbę sędziów z kategorii ludzi, dosięgających tego wieku. Liczba ta naturalnie jest niezmiernie małą, zaszczyt zaś tak wielki, iż uważa się go, jako zapłatę za dodatkowy termin służby, jaka ztąd wynika, i jakkolwiek od nominacji tej można się uchylić, zdarza się to rzadko. Termin jest pięcioletni, bez prawa nominacji ponownej. Członkowie sądu najwyższego, który stoi na straży konstytucyi, wybierani są z pomiędzy niższych sędziów, których termin służby kończy się właśnie w owym roku; wybierają oni, spełniając przez to ostatni swój obowiązek urzędowy, jednego z pomiędzy swych towarzyszy, uważanego przez nich za najzdolniejszego, który też pozostaje nadal przy obowiązkach.

— Ponieważ nie ma żadnych zawodów prawniczych, rzekłem, które mogłyby być szkołą dla sędziów, więc muszą oni ohyba przechodzić wprost ze szkoły prawa na krzesła sędziowskie.

— Nie mamy żadnych szkół prawa—odpowiedział doktor, uśmiechając się.— Prawo, jako nauka osobna, jest dzisiaj rzeczą przestarzałą. Był to system kazuistyki, którego tłumaczenia bezwzględnie domagała się zawiła sztuczność starego społecznego porządku, ale w obecnym stanie rzeczy zaledwie tylko parę jakichś najwidoczniejszych i najprostszych zasad prawnych może znaleźć zastosowanie. Wszystko, cokolwiek dotyczy wzajemnych stosunków pomiędzy ludźmi, jest dzisiaj bez porównania prostszem, niż za dni waszych. Nie posługujemy się dzisiaj żadnym rodzajem przemądrych znawców, którzy przydowali, gardłowali w waszych sądach. Nie powinienś pan jednak sądzić, iż żywimy jakies nieposzanowanie ku owym dawnym znawcom, dla tego tylko, że ich nie używamy. Przeciwnie, mamy szacunek nieudany, dochodzący niemal do uwielbienia dla ludzi, którzy jedynie rozumieli i zdolni byli wyjaśniać nieskończoną zawiłość praw własności, oraz stosunków zależności handlowej i osobistej waszego systemu. Istotnie, cóż mogłoby potężniej przekonać nas o gmatwaninie i sztuczności owego systemu, jak nie ten fakt, że w każdym pokoleniu potrzeba było oddzielać kwiat inteligencyi, odosabiać go od innych zajęć, aby tylko zapewnić sobie gromadę znawców, mogących dać o nim zaledwie jakie takie pojęcie tym, których losy od niego zależały. Rozprawy waszych wielkich prawników, dzieła Blackstona i Chitty, Story i Parsona znajdują się w naszych muzeach obok tomów Duns-Scotusa i jego towarzyszy scholastycznych, jako zabytki subtelności umysłu, poświęcanej przedmiotom, jednakże już dzi-

siaj dalekim od interesów ludzi nowożytnych. Sędziowie nasi są to poprostu szeroko wykształceni, rozsądni i dyskretni ludzie w wieku dojrzałym. Nie powinienem też zapominać jeszcze o jednej ważnej czynności sędziów młodszych—dodał doktor Leete.— Stanowi ją roztrząsanie wszystkich takich wypadków, kiedy prywatny członek armii przemysłowej uskarża się na niegrzeczność któregoś z jej oficerów. Wszystkie takie sprawy wysłuchiwane są i rozstrzygane bez apelacji przez jednego tylko sędziego; trzech sędziów żąda się jedynie w razach ważniejszych.

— W systemie waszym potrzeba chyba koniecznie takiego trybunału, gdyż człowiek narażony na niegrzeczność nie może tu opuścić swego miejsca tak, jak u nas.

— Jaknajzupełniej może—odpowiedział doktor Leete.— Nietylko każdy jest u nas pewny wysłuchania go i odszkodowania w razie ucisku istotnego, ale gdy stosunki jego z przełożonym albo zwierzchnikiem są niemiłe, może on z łatwością wyrobić sobie przeniesienie. W waszym systemie, co prawda, człowiek mógł porzucać pracę, jeśli mu się nie podobał jego pracodawca, ale razem z nią tracił środki utrzymania. Nasz pracownik natomiast, uważający położenie swoje za nieprzyjemne, nie jest zmuszony dla uwolnienia się od niego narażać na szwank swoich środków utrzymania. Sprawność przemysłu wymaga jaknajściślejszej karności w armii pracowników, ale na straży praw każdego pracownika do słusznego i względnego obchodzenia się z nim stoi cała potęga narodu. Oficer rozkazuje, wykonawca zaś prywatny

słucha, ale żaden oficer nie jest postawionym tak wysoko, iżby się poważał być wyniosłym względem pracownika klasy najniższej. Co do prostactwa albo szorstkości jakiegokolwiek urzędnika w stosunkach z publicznością, to żadne z pomniejszych wykroczeń nie ponosi kary równie szybko. Sędziowie nasi strzegą nie tylko sprawiedliwości, ale i grzeczności we wszelkich stosunkach. Żadnej usługi nie przyjmuje się jako odszkodowania za gburowate i obrażające obejście.

Tak się jakoś zdarzyło, iż w ciągu wszystkich moich rozmów z doktorem Leete, słyszałem wiele o narodzie, ale nie słyszałem o rządzie państwowym.

— Czyżby organizacja narodu, jako jednostki przemysłowej, uwalniała od potrzeby państwa? zapytałem.

— Nieuchronnie; rząd państwa przeszkadzałby kontrolowaniu i karności armii przemysłowej, które, naturalnie, muszą być zcentralizowane i jednostajne. Nawet gdyby rządy państwowe nie były niedogodne dla innych powodów, to stałyby się one zbyt ciężkimi, dzięki przedziwnemu uproszczeniu sprawy rządzenia od czasów waszych. Jedyłą prawie czynnością administracyi jest dzisiaj kierowanie przemysłem. Większa część celów, dla jakich istniały dawniej rządy, nie istnieje już dzisiaj. Nie mamy ani wojska, ani floty wojennej, ani wojskowej organizacyi, nie mamy departamentów dóbr państwa, albo skarbu, nie mamy żadnej służby akcyzowej albo dochodów, żadnych podatków albo ich poborców. Jedyłą ze znanych wam a pozostałych dotąd czynności rządu jest czynność sądownicza i policyjna. Wy-

tłomaczyłem panu o ile prostym jest nasz system, sądownictwa w porównaniu z waszą ogromną i złożoną machiną. Rzecz jasna, że ten sam brak przestępstw i zbrodniczych usiłowań, który tak łatwemi czyni obowiązki sędziego, sprowadza też do minimum liczbę i obowiązki policyjantów.

— Ale wobec braku instytucyj państwowych, wobec tego, że kongres zbiera się tylko raz na lat pięć, jakże radzicie sobie z waszem prawodawstwem.

— Nie mamy żadnego prawodawstwa—odpowiedział doktor Leete—albo prawie żadnego. Rzadko się zdarza, aby kongres, nawet kiedy się zbierze, roztrząsał jakieś nowe prawa, a i wówczas ma on tylko władzę polecić je kongresowi następnemu, aby niczego nie robiono zbyt pośpiesznie. Zastanowiwszy się chwilę, panie West, spostrzeżesz pan, że nie mamy nic do czynienia z prawami. Podstawowe zasady, na jakich wspiera się nasze społeczeństwo, usuwają raz na zawsze spory i nieporozumienia, które za dni waszych domagały się prawodawstwa.

Z pewnością na sto praw waszych dziewięćdziesiąt dziewięć dotyczyły określenia i obrony własności prywatnej, oraz stosunków pomiędzy kupującymi a sprzedawcami. Dzisiaj nie ma ani prywatnej własności, oprócz rzeczy osobiście nabytych przez każdego, ani też kupowania i sprzedawania, a tem samem konieczność całego prawie waszego prawodawstwa, dawniej niezbędna, dziś już przeminęła. Dawniej społeczeństwo było piramidą, opartą na wierzchołku. Wszystkie ciężenia przyrody ludzkiej dążyły ustawicznie do obalenia jej i utrzymać ją było można prosto, a raczej prosto-krzywo, jeśli mi pan przeba-

czysz ten mały koncept, jedynie przy pomocy zawiłego systemu ustawicznie odnawianych podpór, filarów i sznurów, w postaci waszych praw. Kongres centralny, oraz czterdzieści prawodawstw stanowych, wydające rokrocznie jakieś 20,000 praw, nie mogły uczynić nowych podpór dość mocnymi, iżby zajmowały miejsce dawnych, które bądź pękały ustawicznie, bądź też traciły swą siłę, dzięki jakiemuś nowemu prądowi. Dzisiaj społeczeństwo wspiera się na swej podstawie i potrzeba mu równie mało sztucznych podpór, jak i wiecznotrwałej górze.

— Ale, oprócz jedynej władzy centralnej, macie przynajmniej jakieś zarządy miejskie?

— Niewątpliwie, a ważnymi też i rozległymi są ich obowiązki—pilnowania wygody i rozrywek publiczności, oraz naprawy i upiększania miast i wiosek.

— Lecz jakże mogą one zrobić cośkolwiek, nie mając żadnej kontroli nad pracą swych ludzi, ani środków najmowania ich?

— Każdemu miastu lub osadzie przysługuje prawo zatrzymania na rzecz własnych robót publicznych pewnej ilości pracy, jaką obywatele ich oddają narodowi. Ilość ta, przyznawana w postaci odpowiedniego kredytu, zużytkowywaną być może stosownie do upodobania.



ROZDZIAŁ XX.

Po obiedzie Edytha zapytała mnie przypadkiem, czym jeszcze nie odwiedził mojej podziemnej komnaty, w której mię znaleziono.

— Nie, jeszcze, odpowiedziałem. Jeżeli mam być szczerym, unikałem tego aż dotąd, gdyż odwiedziny te mogłyby odżywić we mnie dawne wspomnienia, zbyt może jeszcze silne, jak na stan obecnej równowagi mego umysłu.

— Ach prawda, rozumie się, żeś zrobił pan dobrze, powstrzymując się od tego. Powinnabym była o tem pomyśleć.

— Nie, rad jestem, że pani mówi o tem. Jeżeli było jakie niebezpieczeństwo to tylko w ciągu jednego lub paru dni pierwszych. Dzięki głównie i zawsze pani, czuję się już tak pewnym na tym nowym świecie, że gdyby tylko pani chciała pójść tam ze mną, aby wypłoszyć stracha, istotnie odwiedziłbym mój pokój dziś jeszcze.

Edytha zawahała się zrazu, ale, widząc, że tego pragnął, zgodziła się wreszcie towarzyszyć mi. Nasyp ziemi, wykopanej przy otworze, widać było pomiędzy drzewami już z okien domu, to też po paru chwilach znaleźliśmy się na miejscu. Wszystko pozostawało tutaj tak, jak było wtedy, gdy przerwano robotę, odkrywszy właściciela pokoju; tylko drzwi były otwarte i jedna z płyt sklepienia wyjęta. Zstępując po spadzistych bokach jamy, doszliśmy do drzwi i stanęliśmy w nawpół oświetlonym pokoju.

Wszystko tu było tak, jakem pozostawił ostatniego wieczora, 113 lat temu, przed samem zamknięciem oczu do owego długiego snu. Przez jakiś czas stałem w milczeniu, rozglądając się dokoła. Widziałem, że towarzyszka moja ukradkiem patrzyła na mnie, z wyrazem dyskretnej i współczującej ciekawości. Wyciągnąłem do niej rękę, a ona swoje rączki umieściła w mojej, przyczem uścisk miękkich jej palców odpowiedział uspokajająco na moje wyzwanie. W końcu szepnęła:

— Możebyśmy już lepiej ztąd poszli! Nie powinieś pan zanadto doświadczać siebie. O, jak panu musi być dziwnie.

— Przeciwnie, odrzekłem, nie wydaje mi się to dziwnem i to jest najdziwniejsze ze wszystkiego.

— Nie dziwne? — powtórzyła jak echo.

— Nawet nie dziwne, odrzekłem. Nie doznaję poprostu uczuć, jakie pani widocznie mi przypisuje, a jakich ja sam oczekiwałem przy tych odwiedzinach. Uprzytomniam sobie wszystko, co podsuwa mi to otoczenie, ale nie doświadczam wzruszenia, którego się spodziewałem. Nie powinnaś pani dzi-

wie się temu, tak samo jak i ja. Od owego okropnego poranku, kiedyś mi przyszła z pomocą, starałem się unikać myśli o mojem życiu dawniejszem, tak samo, jak unikałem przychodzenia tutaj z obawy wzruszeń wstrząsających. Jestem zupełnie podobny do człowieka, który pozwolił chorej nodze swojej leżeć nieruchomo, żywiąc wrażenie, że jest ona jaknajzupełniej zdrową, a który, spróbowałszy poruszyć nią, znajduje, iż jest sparaliżowana.

— Czy chcesz pan powiedzieć, żeś stracił pamięć.

— Bynajmniej, przypominam wszystko cokolwiek wiąże się z mojem życiem dawniejszem, ale nie doznaję przytem żadnego głębszego wzruszenia. Przypominam wszystko tak jasno, jak gdyby to się działo wczoraj, ale uczucia moje z powodu owych wspomnień, są tak słabe, jak gdyby nietylko faktycznie ale i w świadomości mojej oddzielał mnie od nich okres stuletni. Być może, iż dałoby się to również wytłomaczyć. Zmiana otoczenia oddala od nas obrazy przeszłości tak samo, jak i strumień czasu. Kiedym po raz pierwszy obudził się z letargu, życie moje uprzednie przedstawiało mi się jak dzień wczorajszy, lecz teraz, kiedym już zaczął zapoznawać się z mojem otoczeniem nowem i uprzytamniać sobie cudowne zmiany, które przeobraziły świat, nie jest już dla mnie rzeczą trudną, lecz przeciwnie bardzo łatwą, przedstawić sobie, żem przespał całe stulecie. Czy może pani wyobrazić sobie coś takiego, jak przeżycie stu lat w ciągu dni czterech? Mnie istotnie wydaje się, że właśnie tak było ze mną, i że to właśnie przejście nadało tak odległy i nierealny

pozór mojemu życiu dawniejszemu. Czy może pani wyobrazić sobie coś podobnego?

— Mogę to zrozumieć— odrzekła Edytha z namysłem— a sądzę, że wszyscy powinniśmy być wdzięczni za to, gdyż, jestem pewna, oszczędziło to panu wiele cierpień.

— Niech pani wyobrazi sobie, rzekłem, usiłując wytłomaczyć zarówno jej jak i sobie samemu dziwny mój stan umysłowy, że człowiek dowiaduje się o stracie jakiejś już po wielu, wielu latach, może po upływie połowy życia od czasu, gdy ją poniósł. Wyobrażam sobie, iż uczucia jego byłyby podobne do moich. Kiedy myślę o przyjaciółach z tamtego dawniejszego świata i o smutku, jaki musieli mieć z mego powodu, wówczas owłada mną tęskna zaduma raczej, nie zaś ból ostry, zupełnie jak gdyby jakieś dawno, dawno minione zmartwienie.

— Nie powiedziałeś pan nam nic jeszcze o swoich przyjaciółach. Czy wielu musiało oplakiwać zgon pana?

— Chwała Bogu, miałem bardzo mało krewnych i to dalszych, ale był ktoś niekrewny, lecz droższy nad wszelkie więzy krwi, kobieta. Nosiła ona imię pani i miała być wkrótce moją żoną. O Boże!

— O Boże!— westchnęła Edytha obok mnie.— Pomysleć tylko, jaki ból serdeczny musiała cierpieć.

Głębokie uczucie tego miłego dziewczęcia miało w sobie coś takiego, co poruszyło jakąś strunę w mojem odrętwiałem sercu. Oczy me zupełnie przedtem suche napełniły się łzami, które aż dotąd

nie chciały się zjawić. Kiedym odzyskał równowagę, ujrzałem, że i Edytha płakała również.

— Niech pani Bóg błogosławi za dobre serce, czy chciałabyś pani zobaczyć jej obraz.

Mały medaljonik, z portretem Edythy Bartlett, zawieszony na złotym łańcuszku, spoczywał na piersi mojej przez cały czas długiego snu; dobywszy go, otworzyłem i podałem mej towarzyszce. Wzięła go skwapliwie, a popatrzywszy przez długi czas na łagodnie oblicze zmarłej, dotknęła się go wargami.

— Wiem, że była dość dobrą i miłą, aby zasłużyć na pańskie łzy—wyrzekła—ale przypomnij pan, że ból jej serca dawno już przeminął i że prawie od wieku jest już ona w niebie.

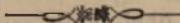
Tak było istotnie. Jakimkolwiek był kiedyś jej smutek, prawie od stu lat przestała już płakać, to też po owym nagłym wybuchu namiętności łzy moje obeschły. Kochałem ją bardzo głęboko w mojem życiu dawniejszem, ale było to już przed stu laty. Może ktoś w wyznaniu mojem dopatrzy się braku uczucia, ale sędzę, że chyba nikt nie przechodził przez doświadczenie, o tyle do mojego podobne, iżby zdolnym był mię sądzić. Kiedyśmy mieli opuścić pokój, oczy moje spoczęły na wielkiej żelaznej szafie, stojącej w jednym z rogów. Zwracając na nią uwagę mej towarzyszki, rzekłem.

— Tutaj była nietylko moja sypialnia, ale i skarbiec. Szafa tamta zawiera kilka tysięcy dolarów w złocie i pewną ilość rzeczy wartościowych. Gdybym wiedział, idąc spać owej nocy, jak długo będzie trwała moja drzemka, to i wówczas sądziłbym jeszcze, że złoto będzie dobrym środkiem za-

spokojenia mych potrzeb we wszelkim, nawet najdalszym kraju i wieku. Uważałbym za najdzikszą fantazyję przypuszczenie, iż kiedykolwiek straci ono swą siłę kupczą. A jednak, obudziłem się i to wśród ludzi, gdzie wór złota nie dałby mi nawet bochenka chleba.

Jak można było przewidywać, nie udało mi się wywołać w Edycie wrażenia, iż w fakcie owym było coś godnego uwagi, zapytała się tylko:

— Dlaczegożby miało być inaczej?



ROZDZIAŁ XXI.

Za namową doktora Leete, poranek następny mieliśmy poświęcić obejrzeniu szkół i kolegów miasta, przyczem on sam miał udzielić mi niejakich objaśnień co do wychowawczego systemu w wieku XX.

— Spozrzeżesz pan—rozpoczął rzecz swoją po śniadaniu—wiele bardzo ważnych różnic pomiędzy naszą a waszą metodą kształcenia, ale najgłówniejszą z nich jest ta, że dzisiaj każdy z nas ma taką sposobność pobierania nauk wyższych, z jakiej za wazszych czasów korzystała tylko nieskończenie drobna część ludności. Uzyskanie przez nas jednakich warunków dobrobytu fizycznego uważalibyśmy za rzecz niegodną wspomnienia, gdybyśmy nie zdobyli owej równości wychowawczej.

— Koszta tej zdobyczy muszą być bardzo wielkie, rzekłem.

— Gdyby pochłonęła ona połowę narodowego dochodu, nikt nie żałowałby tego—odpowiedział doktor Leete—a nawet ponoszonoby taki wydatek, któ-

ry pozostawiałby nam zaledwie na skromne utrzymanie. Ale w rzeczywistości, koszt wychowania 10,000 młodzieńców nie przewyższa dziesięciokrotnie a nawet pięciokrotnie wydatków na wychowanie jednego tysiąca. Do spraw wychowania, tak samo jak i do innych, stosuje się również zasada, dzięki której prowadzenie jakichkolwiek robót na szerszą skalę jest stosunkowo tańsze, niż prowadzenie ich na małą.

— Wychowanie w kolegium kosztowało za moich czasów straszliwie drogo.

— Jeżeli tylko nie wprowadzili mnie w błąd nasi dziejopisarze, to raczej marnotrawstwo i rozmaite wybryki w kolegiach, nie zaś wychowanie, pociągały za sobą znaczne koszty. Wydatek właściwy w waszych kolegiach był, jak się okazuje, bardzo nieznaczny, a mógłby być jeszcze mniejszy, gdyby dozór nad nimi większą odznaczał się ścisłością. Wychowanie wyższe jest dzisiaj równie tanie, jak i niższe, gdyż nauczyciele wszelkich stopni, tak samo jak i wszyscy inni pracownicy, mają utrzymanie jednakie. Do panującego przed stu laty w stanie Massachusetts, systemu wychowania przymusowego dodaliśmy poprostu kilka stopni wyższych, obowiązujących młodzieńca aż do roku 21 i dających mu to, co wycie nazywali edukacją dżentelmeńską; natomiast nie pozostawiamy go już własnemu przemysłowi w jakimś 14 lub 15 roku jego życia, bez żadnych zasobów umysłowych po za pisanie, czytaniem i tabelką mnożenia.

— Usuwając na bok koszty tych dodatkowych lat kształcenia, odrzekłem, mybyśmy nie byli nigdy

sądzi, iż możemy narażać się na stratę czasu, poświęcanego zajęciom przemysłowym. Dzieci klas uboższych w r. 16 lub wcześniej rozpoczynały zazwyczaj swój zawód, a w 20 roku bywały już z nim obeznane.

— Nawet pod względem korzyści materialnych nie możemy oddać pierwszeństwa waszemu planowi przed naszym. Większa sprawność, jaką nadaje wykształcenie wszelkiego rodzaju pracom, z wyjątkiem tylko najgrubszych, wynagradza nas prędko za czas, poświęcony na zdobycie go.

— Co do nas, to mogliśmy się również obawiać, że wyższe wykształcenie, przysposabiając ludzi do powołań wolnych, jednocześnie zniechęci ich do wszelkiego rodzaju ręcznej pracy.

— O ile czytałem, takim istotnie bywał skutek wyższego kształcenia się za dni waszych; nie też w tem dziwnego, gdyż praca ręczna znaczyła wówczas tyle, co zespolenie się z grubą, nieokrzesaną i ciemną klasą ludności. Dziś klasy takiej nie mamy. Podobne uczucia były nieuchronnymi nadto dla tego jeszcze, iż rozumiano wówczas, że wszyscy ludzie, otrzymujący wykształcenie wyższe, przeznaczeni byli bądź do zawodów wolnych, bądź też do używania bogactw i wczasu, zaś takie same wykształcenie w człowieku, który ani bogatym nie był, ani też żadnej wolnej profesyi nie uprawiał, było dowodem zawiedzionych dążeń, świadectwem niepowodzenia, piętnem niższości raczej, nie zaś wyższości. Dzisiaj, oczywiście, kiedy wykształcenie najwyższe uważa się poprostu za środek przysposabiający ludzi do życia, bez wszelkiego uwzględniania rodzaju wykonywanej

przez nich pracy, nie rodzi już ono podobnych poglądów.

— Bądź co bądź, rzekłem, żaden zasób wykształcenia nie może uleczyć tępości przyrodzonej albo wynagrodzić przyrodzonych braków umysłu. Jeżeli przeciętna skala przyrodzonych zdolności umysłowych nie podniosła się dzisiaj w ludziach o wiele po nad poziom moich czasów, to wykształcenie wyższe musi być rzeczą prawie nie do zdobycia dla bardzo znacznej części narodu. Co do nas, to utrzymywaliśmy zawsze, iż dla każdego umysłu niezbędną jest pewna podatność na wpływy wykształcenia, jeżeli ma on zasługiwać na uprawę wychowania tak samo, jak niezbędnym jest pewien stopień przyrodzonej żyzności gruntu, jeśli ma ona wynagrodzić za trudy, około niego podjęte.

— Jakże się cieszę, żeś pan użył takiego przykładu, gdyż jest to właśnie jeden z tych, jakie ja byłbym wybrał chętnie, aby uzmysłowić nowy pogląd na wykształcenie. Powiadasz pan, że grunta o tyle jałowe, iż plon ich nie wynagrodzi pracy, uprawie nie podlegają. Niemniej wszakże, bardzo wiele gruntów, nie opłacających w plonie swym kosztu poniesionej pracy, uprawiano tak za dni waszych jak i dzisiaj. Mam tu na myśli ogrody, parki, łąki i w ogólności kawałki ziemi tak położone, iż gdyby pozwolono im zarastać zielskiem i krzakami, byłyby one solą w oku i źródłem niewygody dla wszystkich. Uprawia się je przeto, a jakkolwiek plony są skąpe, można powiedzieć, iż, biorąc sprawę szerzej, nie ma gruntów, któreby lepiej wywdzięczały się za uprawę. Tak samo też dzieje się z mężczyznami i kobietami,

z którymi obcujemy w stosunkach towarzyskich, których głosy brzmią nam ciągle w uszach i których zachowanie się tysiącznemi sposobu wpływa na naszą pomysłność—które, słowem, są tak dalece warunkiem naszego życia, jak powietrze przy oddychaniu, albo którykolwiek bądź z pierwiastków fizycznych, od jakich zależy nasze istnienie. Istotnie, gdybyśmy nie kształcili wszystkich, to chyba ludziom najbardziej nieokrzesanym i tępym z natury, nie zaś najzdolniejszym, umożliwialibyśmy właśnie zdobycie wykształcenia. Człowiek z natury inteligentny i zdolny łatwiej może w sprawie rozwoju swego obyć się bez pomocy, niż ci, których przyroda uposażyła gorzej.

— Używając tu zwrotu, którym posługiwano się często za dni waszych, powiedziałbym, iż my byśmy uważali, że niewarto jest żyć, gdybyśmy musieli istnieć w otoczeniu tłumów ciemnych, prostackich, nieokrzesanych i całkiem nieogłodzonych mężczyzn i kobiet, jacy właśnie stanowili równoważnik garstki osób wykształcenszych za czasów pana. Czyż człowiek będzie zadowolony, jeśli uperfumowawszy się sam, zmiesza się z tłumem cuchnących? Czyż zadowolenie jego nie będzie bardzo mierne, gdy znajdzie się w komnacie bodaj pałacowej, której okna ze wszystkich stron będą wychodzić na gnojarnię? A jednak takim właśnie było położenie ludzi, którzy za dni pana uważanymi byli za najszczęśliwszych pod względem wykształcenia i kultury. Wiem, że biedni i ciemni zazdrościli wówczas bogatym i wykształconym; ale dla nas, ci ostatni, żyjący w otoczeniu niechlujstwa i zbydlęcenia, nie o wiele godniejszymi są zazdrości od tamtych. Człowiek wy-

kształcony z epoki pańskiej podobny był do kogós takiego, coby ugrzązłszy po szyję w cuchnącem bagnie, pocieszał siebie flaszką wonnego płynu. Pojmujesz pan może teraz, w jaki sposób my zapatrujemy się na sprawę wychowania wyższego. Trudno o rzecz dla człowieka ważniejszą, jak otoczenie inteligentnych i dobranych pod względem towarzyskim osób. Ze wszystkiego przeto, co uczyniłby naród, nie tak nie wpłynie na jego własną pomysłność, jak kształcenie jego sąsiadów. Gdy tego nie czyni, wówczas doniosłość jego własnego wykształcenia zmniejsza się dlań o połowę i często rozmaite upodobania, jakie uprawiał, stają się dlań najpewniejszym źródłem przykrości.

Podnosić możliwie najwyżej wykształcenie osób niektórych, pozostawiając masy całkiem niewykształconemi, jakeście wy czynili, znaczy to tworzyć pomiędzy nimi przepaść prawie tak wielką, jak pomiędzy odrębnymi gatunkami, nie mającymi możności porozumiewania się. Cóż mogłoby być bardziej nieludzkiem nad owe wyniki częściowego udostępnienia oświaty wyższej. Upowszechnienie i zrównanie warunków zdobycia jej pozostawia wprawdzie pomiędzy ludźmi tak wybitne różnice co do uzdolnień przyrodzonych, jak i te, które istnieją w stanie natury; ale poziom istot najniższych podnosi się przez to znakomicie. Bydłość zostaje usunięta, wszyscy mają w sobie wówczas jakiś oddźwięk człowieczeństwa, jakies rozumienie spraw duchowych, oraz podziw dla wyższej jeszcze kultury, jakiej sami osiągnąć nie mogli. Wszyscy stają się wówczas zdolnymi do odczuwania i wywierania—w stopniu

rozmaitym—rozkoszy i wpływów podnioslejszego życia towarzyskiego. Czyż wykształcone towarzystwo wieku XIX nie istniało nakształt mikroskopijnych oaz, rozproszonych tu i owdzie wśród nieprzerwanej dzikiej pustyni. Garstka osobników zdolnych do sympatyj intelektualnych, albo do obcowania podnioslejszego, była w stosunku do masy współczesników swoich tak niewielką, iż, ogarniając wzrokiem całą ludzkość, nie warto prawie o niej wspominać. Jedno pokolenie świata dzisiejszego przedstawia większy zasób umysłowego życia, niżli pięć długich wieków w dalszej lub bliższej przeszłości.

Jest jeszcze wzgląd inny, o którym powinienem wspomnieć, wyliczając zasady możliwie najlepszego wykształcenia; jest to mianowicie wzgląd na to, aby pokolenia przyszłe miały wykształconych rodziców. Mówiąc krótko, trzy są główne podstawy naszego systemu wychowawczego: popierwsze, prawo każdego człowieka do wykształcenia najzupełniejszego, jakie mu dać może naród dla niego samego, dla jego własnej pomyślności; powtóre, prawo jego współobywateli, prawo wykształcenia go, jako niezbędnego dla nich towarzysza; potrzenie, prawo istot nieurodzonych jeszcze do zapewnienia sobie inteligentnych i oświeconych rodziców.

Nie będę opisywał szczegółowo tego, com widział wówczas w szkołach; ponieważ w życiu mojem dawniejszem niezbyt obchodziły mnie sprawy wychowawcze, przeto niewiele zestawień ciekawych mógłbym uczynić. Obok faktu powszechności zarówno wyższego jak i niższego wykształcenia, uderzyła mnie najbardziej wybitna rola, jaką nadano wychowaniu

fizycznemu, oraz ten fakt, że zarówno postępy w grach atletycznych i zabawach, jak i w naukach, wpływały na ocenę uczniów.

— W sprawie wychowania — objaśnił doktor Leete—jednak podlegają kontroli zdolności naszego ciała, jak i ducha. Zarówno najwyższy rozwój fizyczny, jak i duchowy rozwój każdego z nas jest przedmiotem jego *curriculum vitae* od 6-go do 21-go roku życia.

Silne wrażenie wywarł na mnie widok przepyszego zdrowia młodzieży szkolnej. Już dawniejsze moje spostrzeżenia, co do osobistych przymiotów nie tylko rodziny mego gospodarza, ale i osób napotykanych w czasie moich wędrówek, naprowadziły mnie na myśl, że od czasów moich musiała chyba nastąpić jakaś ogólna poprawa fizycznego stanu rasy; teraz zaś, kiedym porównywał tych dzielnych młodzieńców, oraz świeże, silne dziewczęta z młodzieżą, widywaną niegdyś w szkołach wieku XIX, nie mogłem się powściągnąć od podzielenia się myślą moją z doktorem. Słuchał on z wielką ciekawością tego, com mówił.

— Świadectwo pana pod tym względem jest nieocenione. My sami wierzymy, iż nastąpiła taka poprawa, ale, naturalnie, jest to tylko nasz pogląd teoretyczny. Dzięki wyjątkowemu położeniu swemu, pan jeden na całym świecie dzisiejszym możesz odzywać się tutaj, jako powaga. Zdanie pańskie, gdy je pan wygłosił publicznie, wywoła z pewnością wrażenie głębokie. Zresztą, dziwnem byłoby chyba, gdyby nie nastąpiła owa poprawa rasy. Za dni waszych bogactwo wyniszczało jedną klasę ludności

lenistwem ducha i ciała, gdy tymczasem nędza podkopywała żywotność mas nadmiarem pracy, złem pożywieniem i zabójczymi mieszkaniem. Praca, jakiej wymagano od dzieci, oraz ciężary, wkładane na kobietę, osłabiały wszelką latorośl życia. Dzisiaj, zamiast owych okoliczności zabójczych, wszyscy korzystają z najbardziej sprzyjających warunków życia fizycznego; młodzież odżywiana jest troskliwie i pilnie pielęgnowana; praca, jakiej wymagamy od wszystkich, ograniczoną jest do wieku największej siły cielesnej i nigdy nie bywa nadmierną; troska o siebie samego i o rodzinę, niepokój o środki utrzymania, brzemie nieustannej walki o byt — wszystkie te wpływy, które niegdyś tak bardzo szkodliły umysłom i ciałom mężczyzn i kobiet, nie są już dzisiaj znane. Niewątpliwie, następstwem takiej zmiany musiała być poprawa gatunku. Pod niektórymi względami szczególnie jesteśmy nawet tego pewni. Tak np. obłąkania, które w wieku XIX stanowiły tak pospolite następstwo waszego niezdrowego rodzaju życia, znikły dziś prawie całkowicie, wraz z odmianą swoją — samobójstwem.



ROZDZIAŁ XXII.

Umówiliśmy się z paniami, że się spotkamy w jadłodajni—na obiedzie. Po spożyciu go opuściły nas one, udając się z jakąś wizytą, my zaś, siedząc jeszcze u stołu, rozmawialiśmy o cygarach naszych, o winie i o mnóstwie przedmiotów innych.

— Doktorze, mówiłem w dalszym ciągu naszej pogawędki, ze stanowiska moralności wasz system jest taki, że byłbym chyba bezmyślnym, gdybym nie podziwiał go, zestawiając z jakimkolwiek innym ustrojem na świecie, zwłaszcza zaś z systematem mego nieszczęśliwego wieku. Gdybym zasnął dziś snem mesmerycznym i gdyby w ciągu tego snu, równie długiego jak uprzedni, świat, zamiast posuwać się naprzód, cofnął się wstecz, gdybym, obudziwszy się wśród wieku dziewiętnastego, opowiedział mym przyjaciółom o tem, co widziałem, zgodziliby się oni na pewno, że świat wasz był rajem porządku, sprawiedliwości i szczęśliwości. Ale współcześni nasi byli ludźmi bardzo praktycznymi; to też, wynurzywszy

swój podziw dla piękności moralnej i dla materyjalnej świetności waszego systemu, niechybnie zapytaliby zaraz, jak zdobywaliście środki uczynienia każdego tak szczęśliwym. Niewątpliwie bowiem utrzymanie całego narodu na takiej stopie wygody, a nawet zbytku, jakie widzę dokoła, musi wymagać posiadania większych bogactw, niż te, jakie wytwarzał naród za dni moich. Otóż, jakkolwiek mógłbym im wytłómaczyć prawie wszystkie inne główniejsze rysy waszego systemu, nie byłbym w możności odpowiedzi im na to pytanie; w takim zaś razie oni, jako ludzie ściśle rachunkowi, powiedzieliby, że mi się to wszystko śniło i nigdy nie uwierzyliby, że było inaczej. Za dni moich, o ile wiem, gdyby nawet cały roczny wytwór pracy narodowej podzielono równo pomiędzy wszystkich, na głowę, nie wypadłoby więcej nad jakich dolarów trzysta, t. j. nie o wiele więcej nad to, co potrzeba dla zaspokojenia najniezbędniejszych potrzeb życia, oraz niektórych może wymagań wygody. W jaki sposób wy macie dziś tak dalece więcej?

— Pytanie bardzo dorzeczne, panie West — odparł doktor Leete—to też nie miałbym za złe pańskim przyjaciółom, gdyby, w razie niezaspokojenia przez pana owej ciekawości, całe opowiadanie jego uznali za mrzonkę. Jest to pytanie, na które nie mogę odpowiedzieć wyczerpująco na jednym posiedzeniu, a nadto, co do cyfr statystycznych dokładnych, mających popierać moje twierdzenia ogólne, to musiałbym odesłać pana do książek, znajdujących się w mojej bibliotece; ale okrucieństwem byłoby, bezwątpienia, oddawać pana na pastwę pańskich

dawnych znajomych, nie udzieliwszy mu choć paru wskazówek.

Zacznijmy tu od pozycji skromniejszych, pozwalających nam na robienie większych oszczędności, niżeli były wasze. My nie mamy żadnych długów narodowych, stanowych, długów hrabstwa albo też municypalnych, nie płacimy za nie procentów. Nie miewamy żadnych wydatków wojennych—na lądzie albo morzu, ani w ludziach ani w materjałach; nie mamy wojska, floty albo milicyi. Nie mamy żadnej służby dochodów, całej zgrai asesorów podatkowych lub poborców. Co do naszych władz sądowniczych, policyi, szeryfów i innych, to taki ich zastęp, jakiego niegdyś potrzebował sam tylko stan masachusettski, dzisiaj aż nadto wystarcza na potrzeby całego narodu. Nie mamy klasy przestępców, czyhających na mienie społeczne, jak to było u was. Liczba osób, mniej albo więcej nieudolnych do pracy—kulawych, chorych lub niedołącznych, które były takim brzemieniem dla zdrowych w pańskim czasie, dzisiaj, kiedy wszyscy żyją w warunkach, odpowiadających wymaganiom zdrowia i wygody, zmniejszyła się do ilości prawie niedostrzegalnej i z każdym pokoleniem dąży do coraz zupełniejszego zaniku.

Innem źródłem naszych oszczędności jest wyjście z użycia pieniędzy, oraz usunięcie tysięcznych zatrudnień, związanych z operacyjami finansowemi wszelkiego rodzaju, dzięki którym dawniej odciągało się całą armię pracowników od zajęć pożyteczniejszych. Zważ pan również, że i marnotrawstwo wielkich bogaczy na ich bezładny zbytek osobisty ustało także, jakkolwiek, co prawda, to źródło oszczęd-

ności łącno może być przecenionem. Dalej, zważ pan, że niema obecnie próżniaków—ani bogatych, ani biednych, że niema trutniów.

Jedną z bardzo ważnych przyczyn dawniejszego ubóstwa było wielkie marnowanie pracy i materiałów—wynikające z domowego prania, gotowania, oraz wykonywania osobno mnóstwa innych robót, do których teraz zastosowaliśmy plan kooperacyjny.

Większą jeszcze od tych wszystkich oszczędność, tak jest, większą od wszystkich razem, osiągnęliśmy przez organizację naszego systemu rozdzielczego, dzięki któremu praca, wykonywana niegdyś przez kupców, handlarzy, składników—z całą armiją ich przedstawicieli, hurtowników, sprzedawców detalicznych, agentów, komiwojażerów i pośredników tysiąca rodzajów—przyczem marnowało się niezmiernie dużo energii na niepotrzebne przewozy i nieskończone manipulacje—obecnie wykonywaną jest przez dziesiątą część owych rąk i bez jednego niepotrzebnego obrotu koła. Wie już pan, jakim jest mniej więcej nasz system rozdzielczy. Statystycy nasi obliczają, że ósma część naszych pracowników wystarcza do załatwienia wszystkich spraw podziału, które za dni waszych, potrzebowały ósmej części całej ludności—tyle przeto odciążano od pracy produkcyjnej.

— Zaczynam już pojmować, rzekłem, z kądem czerpicie wasze większe bogactwa.

— Przepraszam, ale chyba pan jeszcze tego nie widzisz. Oszczędności, o jakich wspomniałem dotąd, w całości, uwzględniając pracę zaoszczędzoną

przez nie bezpośrednio lub pośrednio—przez zaoszczędzenie materiału, mogłyby mniej więcej powiększyć wasz dochód dawniejszy o połowę. Pozycyje te jednak nie zasługują prawie na wzmiankę w porównaniu z innymi przykładami olbrzymiego marnotrawstwa, dzisiaj już nie istniejącego, a które wypływało nieuchronnie z pozostawienia narodowego przemysłu w rękach prywatnych. Jakkolwiek znaczne oszczędności mogliby wprowadzać współcześni pana w społeczeństwie, jakkolwiek cudownymi byłyby postępy mechaniki, nigdy nie byłiby się wzniesli oni ponad poziom miernego ubóstwa, gdyby się trzymali swego systemu.

Trudno wynaleźć bardziej marnotrawny sposób zużytkowywania energii ludzkiej; jakoż ku obronie umysłowości człowieka dodać należy, iż system ów nigdy nie był wynajdywanym, że stanowił on tylko objaw szczątkowy wieków barbarzyństwa, kiedy organizacja społeczna uniemożliwiała wszelkie współdziałanie.

— Łatwo się zgodzę, że nasz system przemysłowy był bardzo zły pod względem moralnym, ale, bez uwzględniania stopy moralnej, jako machina wytwarzająca bogactwa, wydawał się on nam przedziwnym.

— Jakem już powiedział, przedmiot ten jest zbyt obszerny, abyśmy go teraz roztrząsać mogli w całości; jeżeli jednak pragniesz pan poznać główne zarzuty, jakie my, nowożytni, robimy waszemu systemowi przemysłowemu, zestawiając go z naszym, to dotknę tu niektórych z pomiędzy nich.

Straty, wynikające z pozostawiania kierownictwa przemysłu nieodpowiedzialnym jednostkom bez jakiegokolwiek bądź porozumiewania się ich lub spójności działań, dadzą się sprowadzić do czterech głównych punktów: naprzód straty z przedsiębiorstw poronionych; powtóre ze współubiegania się i nastroju wrogiego przemysłowców; potřecie straty z peryjodycznych zastoju i przesilen, oraz wynikającej ztąd przerwy w robotach; poczwarte straty z martwych kapitałów i pracy—w każdym czasie. Każda z tych czterech wielkich przeszkód, gdyby nawet wszystkie inne nie działały, wystarczyłaby do wytworzenia ogromnej różnicy w stanie majątkowym narodu.

Na początek weźmy tu straty z przedsięwzięć chybionych. Za dni pana, kiedy wytwarzanie i podział towarów nie podlegały żadnej organizacyi lub zgodności, nie było sposobu dowiedzieć się dokładnie ani o tem, jaki mógł być popyt na daną klasę towarów, ani o tem, jaką była ich podaż. Tym sposobem wszelkie przedsięwzięcia prywatnego kapitalisty bywały doświadczeniem wątpliwem. Przedsiębiorca, nie ogarniając wzrokiem całego pola przemysłu i spożycia, jak to czyni teraz nasz rząd, nie mógł nigdy być pewnym ani tego, czego naród potrzebował, ani też tego, jakie środki obmyślają inni kapitaliści dla zaspokojenia owych potrzeb. Oto, dlaczego nie dziwi nas, gdy się dowiadujemy, że zwykle szansa nieudania się jakiegoś przedsiębiorstwa bywała kilkakrotnie większa, niż szansa jego powodzenia, oraz, że osobom, którym wreszcie powiodło się jako tako, zdarzało się bankrutować raz po raz. Gdyby szewc,

na każdą parę trzewików, jaką mu się udało sprzedać zyskownie, musiał marnować materyjał czterech lub pięciu par niesprzedanych, nie licząc straconego na nie czasu, to właśnie miałby takie same szanse z bogacenia się, jak wasi współcześni z ich systemem przedsiębiorstw prywatnych, oraz z ich cztero lub pięciokrotnem bankructwem na jedno powodzenie.

Dalej, źródłem ogromnych strat było spółzawodnictwo. Dziedzina przemysłu była polem walki, rozległem jak świat, gdzie pracownicy, napastując się wzajem, trwonili energiję, która, gdyby ją zużytkowano tak jak dzisiaj, w usiłowaniu zgodnem, byłaby wzbogaciła wszystkich. W wojnie tej nie było nawet mowy o oszczędzaniu kogoś lub o darowaniu życia. Rozmyślne wchodzenie na owo pole i burzenie przedsiębiorstw, istniejących uprzednio, w celu usadowienia się na ich ruinach z przedsiębiorstwem własnem, stanowiło czyn bohaterski, budzący zawsze podziw ogółu. Niemasz w tem wcale przesady, gdy się porównywa ten rodzaj walki z wojną istotną—o ile porównanie to dotyczy męczarni duchowych i fizycznych cierpień, jakie towarzyszyły walce, oraz nędzy, która przytłaczała tak zwyciężonych, jak i tych, co od nich byli zależnymi. Odnosnie do waszych czasów, nic tak na pierwszy rzut oka nie zdumiewa człowieka nowożytnego, jak ten fakt, że ludzie, oddani jednemu jakiemuś przemysłowi, zamiast zbratać się ze sobą, jako towarzysze lub współpracownicy, dążący do jednego celu, spoglądali na siebie raczej, jak na współzawodników i wrogów, których należało zdławić i obalić. Bezwątpienia za-

krawa to na wierutne szaleństwo, na scenę w domu waryjatów; ale przy bliższem rozejrzeniu się, wygląda zgoła inaczej. Współcześnicy wasi, z ich wzajemnem mordowaniem się, wiedzieli bardzo dobrze, co robili. Wytwórcy wieku XIX nie pracowali tak jak nasi dzisiaj razem, ku utrzymaniu społeczności, ale każdy z nich kosztem społeczności pracował na utrzymanie własne. Jeżeli, pracując w ten sposób, którykolwiek z nich powiększał jednocześnie bogactwo już nagromadzone, to był to tylko przypadek. Równie łatwem i równie pospolitem bywało też powiększanie dóbr osobistych przez praktyki szkodzące dobrobytowi ogólnemu. Najgorszymi nieprzyjaciołmi każdego bywali z konieczności pracownicy jego zawodu, gdyż przy waszym systemie ciągnięcia zysków prywatnych pobudka wytwarzania, t. j. pewien brak wytwarzanego produktu, był przedmiotem pożądań każdego z poszczególnych wytwórców. W interesie jego było to, iżby nie produkowano więcej, aniżeli on sam mógł wyprodukować. Stałem jego usiłowaniem było zapewnić sobie, w miarę okoliczności, takie spożycie przez zabijanie i zniechęcanie tych, którzy oddawali się temu samemu przemysłowi. Kiedy już zabił wszystkich, kogo tylko mógł, wówczas polityka jego polegała na kojarzeniu się z tymi, których nie mógł zabić, oraz na zamiar nie walki wewnętrznej na walkę przeciwko całemu ogółowi, a to przez owładnięcie rynkiem, jakęście wy, o ile wiem, nazywali tę operację, oraz przez podniesienie cen do wysokości, jaką tylko mogli tolerować kupujący. Marzeniem wytwórcy wieku XIX było zdobycie bezwzględnej władzy nad

podają jakiegoś wytworu niezbędnego, tak, iżby mógł utrzymywać zawsze publiczność w obawie niedostatku i naznaczać ceny głodowe na swój wyrób. To właśnie, panie West, nazywało się w XIX wieku systemem produkcji. Sam pan osądź, czy w znacznej mierze, a pod wieloma względami, nie było to raczej podobnem do jakiegoś systemu tamowania produkcji. Kiedyś, gdy będziemy mieli dość czasu, poproszę pana, abyś usiadł ze mną i dopomógł mi do zrozumienia tego, czego pojąć nigdy nie mogłem, jakkolwiek przedmiotowi temu poświęciłem sporo uwagi: w jaki sposób tak mądry ludzie, jakimi byli pańscy współcześnicy, mogli tak często powierzać sprawę zaspakajania potrzeb społeczności osobom, w których interesie było głodzenie jej. Zapewniam pana, iż dziwimy się nie temu, że świat nie bogacił się przy takim systemie, ale temu, iż nie zginął on marnie z niedostatku. Zdziwienie to rośnie, gdy rozważamy inne jeszcze olbrzymie straty, jakie cechowały ów system.

Oprócz marnowania pracy i kapitału przez złe kierownictwo przemysłu, oraz wskutek ciągłego wycieńczania się w waszej przemysłowej walce, system wasz podlegał co pewien czas konwulsyjom, pokonywającym zarówno mądrych jak i głupich, zarówno szczęśliwego opryszka jak i jego ofiarę. Mam tu na myśli przesilenia przemysłowe, zdarzające się w odstępach lat pięciu lub dziesięciu, druzgoczące przemysł narodu, obalające wszystkie przedsiębiorstwa słabsze i dające się we znaki nawet najsilniejszym, przesilenia, po jakich następowały długie, niekiedy wieloletnie okresy t. zw. zastoju, w ciągu których

kapitaliści zbierali na nowo rozproszone swe siły, zaś klasy pracujące konały z głodu i burzyły się. Potem następowała znowu krótka doba pomysłności, a po niej z kolei nowe przesilenie, oraz idące za niem lata wyczerpania się. W miarę rozwoju handlu, który sprowadzał zależność międzynarodową, przesilenia te stawały się wszechświatowymi, gdy tymczasem stan upadku przeciągał się zwykle z tem większym uporem, im szerszą bywała przestrzeń, objęta przez owe konwulsyje, a tem samem, im większy bywał brak centrów wiążących. W miarę tego jak mnożyły się i komplikowały gałęzie przemysłu na świecie, jak się powiększał rozmiar wprowadzanego w grę kapitału, owe przewroty stawały się coraz częstszymi, aż nakoniec w ostatniej cząstce wieku XIX przypadało dwa lata czasów złych na jeden rok dobry, systemowi zaś przemysłu, który nigdy przedtem nie był tak rozległym, ani tak imponującym, zdawało się grozić niebezpieczeństwo zapadnięcia się pod własnym jego ciężarem. Po niezliczonych roztrzęsaniach ekonomiści owocześni doszli, jak się zdaje, do rozpaczliwego wniosku, że zapobieżenie owym kryzysom, lub kontrola ich, były równie niemożliwe, jak o władnięcie powodzią albo huraganem. Pozostawało więc tylko poddawać się im, jako złu koniecznemu, zaś po przeminieciu ich rozpoczynać na nowo stawianie zgruchotanej budowy, tak samo, jak mieszkańcy kraju nawiedzanego przez trzęsienie ziemi odbudowują swe miasta na tem samem miejscu.

Spółcześnicy pana mieli niewątpliwie słuszną w ocenianiu przyczyn owych zaburzeń, właściwych

ich przemysłowemu systematowi. Przyczyny te tkwiły u samych jego podstaw i musiały stawać się coraz szkodliwszymi, w miarę rozrastania się i komplikowania spraw przemysłowych. Jedną z takich przyczyn był brak kontroli wspólnej nad różnymi gałęziami przemysłu, a ztąd niemożność porządku, czyli zkoordinowanego ich rozwoju. Nieuchronnem owego braku następstwem było to, że ustawicznie zawadzały one sobie, oraz, że nie mogły przystosować się do popytu.

Popyt nie miał żadnego takiego probierza, jaki my mamy dzisiaj, dzięki naszemu podziałowi zorganizowanemu; to też przy pierwszej wieści o tem, iż podaż przekroczyła gdziekolwiek wymagania popytu, zjawiał się zaraz spadek cen, bankructwo wytwórców, powstrzymanie produkcji, zmniejszenie płacy zarobnej albo odprawianie pracowników. Proces ten odbywał się ciągle w rozmaitych dziedzinach przemysłu, nawet za tak zwanych czasów dobrych; przesilenie zaś zdarzało się tylko wtedy, gdy dotkniętymi bywały większe gałęzie przemysłu. Rynki przepelniały się towarami, których, po nad potrzebę swoją nikt brać nie chciał za cenę najniższą. Ponieważ płaca i zyski odnośnych wytwórców zmniejszały się lub ustawały całkowicie, przeto ich siła kupcza, jako spożywców innych towarów, których nie było w nadmiarze, znikająca również, w następstwie zaś tego takie nawet wyroby, którym nadprodukcya przyrodzona nie groziła, nagromadzały się sztucznie, aż w końcu ceny ich również spadały, wytwórcy zaś pozbawieni bywali pracy i dochodu. Przesilenie trwało wówczas w całej swej

mocy i nic nie mogło powstrzymać go aż do chwili, gdy roztrwonionym został cały zasób danego narodu.

Jedną z właściwych waszemu systemowi przyczyn, wywołujących często przesilenia, a zawsze pogarszających je straszliwie, była cała wasza machina pieniężno-kredytowa. Pieniądze stanowiły rzecz niezbędną, kiedy produkcja znajdowała się w wielu rękach prywatnych, oraz kiedy kupowanie i sprzedawanie było nieuniknionym środkiem zaspakajania potrzeb. Pomimo to jednak takie stawianie jakiejś fikcyi urojonej na miejsce rzeczywistej żywności, odzieży albo innych przedmiotów, podlegało zarzutom oczywistym. Pogmatwanie pojęć, któremu sprzyjał taki stan rzeczy, pomieszanie w myśli towarów z ich pieniężną reprezentacją otwierało drogę systematowi kredytowemu, oraz jego potwornym złudzeniom. Ludzie, przyzwyczajeni już przyjmować pieniądze zamiast towarów, zaczęli rychło przyjmować obietnice zamiast pieniędzy i przestali zgoła doszukiwać się rzeczy reprezentowanej po za reprezentacją. Pieniądze były jakby znakiem towarów rzeczywistych, lecz kredyt był tylko znakiem znaku. Dla złota i srebra, t. j. dla pieniędzy właściwych istniała pewna granica przyrodzona, ale dla kredytu granicy żadnej nie było. W następstwie tego, rozmiary kredytu, t. j. obietnic pieniężnych, przestały jako tako odpowiadać zasobom pieniędzy, zaś jeszcze mniej zasobom istniejących naprawdę towarów. Przy takim systemie, częste i peryjodyczne przesilenia stały się nieuchronnem następstwem prawa, tak bezwzględnego, jak to, dzięki któremu bu-

dowa wszelka po przesunięciu środka jej ciężkości upada na ziemię. Należało to do waszych urojeń, że tylko rząd, oraz banki przezeń upoważnione, wypuszczały pieniądze; ależ każdy, kto tylko otwierał kredyt na jednego dolara, również wypuszczał pieniądze, które tak dobrze, jak i inne, rozdymały cyrkulację, aż do czasu najbliższego przesilenia. Znaczne rozszerzenie się systemu kredytowego, stanowiło cechę charakterystyczną ostatniej części XIX stulecia i w znacznej mierze tłumaczy nam owo nieustające prawie przesilenie w interesach, jakie cechowało ów okres. Jakkolwiek był zgubnym kredyt nie mogliście się bez niego obejść, gdyż nie mając ani narodowej, ani żadnej innej publicznej organizacji kapitałów krajowych, znajdowaliście w nim jedyny środek koncentrowania i kierowania ich ku celom przedsiębiorstw przemysłowych. W ten sposób kredyt stawał się najpotężniejszym środkiem powiększania głównego niebezpieczeństwa przemysłowego systemu przedsiębiorstw prywatnych, a to pozwalając przemysłom poszczególnym pochłaniać nieodpowiednie zasoby rozporządzalnego kapitału krajowego i przygotowywać w ten sposób klęskę. Przedsiębiorstwa były zawsze mocno zadłużone, dzięki kredytowi, tak jedne względem drugich, jako też względem banków i kapitalistów, a nagłe zamykanie tegoż kredytu przy najpierwszych oznakach przesilenia było zazwyczaj przyczyną przyśpieszania ich.

Nieszczęściem też pańskich współczesników było to, iż musieli całą machinę swych interesów spajać takim cementem, który w razie przypadku mógł w jednej chwili zamienić się na środek wybucho-

wy. Byli oni w położeniu człowieka, któryby budował dom, posługując się dynamitem zamiast wapna, z niczem bowiem innym nie można porównać kredytu.

Aby zobaczyć o ile nie były koniecznością owe konwulsyje przedsiębiorstw, o jakich mówiłem, oraz, jak dalece wynikały one z faktu powierzania przemysłu kierownictwu prywatnemu i niezorganizowanemu, rozważ pan teraz sposób działania systemu naszego. Nadprodukcja w pewnych zakresach, która była istnym złym duchem pańskich czasów, obecnie jest niemożliwą, gdyż dzięki zespoleniu podziału i wytwarzania, tak przystosowano podaż do popytu, jak maszynę do regulatora, miarkującego jej szybkość. Co większa, wyobraźmy sobie, iż wskutek błędu w rachunkach, ukaże się nadmierna produkcja któregoś z towarów. Wynikłe ztąd osłabnięcie albo ustanie produkcji w danym zakresie nikogo nie pozostawi bez zajęcia. Zawieszeni w czynnościach pracownicy, natychmiast znajdują robotę w wielu oddziałach innych, olbrzymie pracownie stracą jedynie czas na zamianę zajęcia; z drugiej strony zaś, co do nagromadzania się towarów, to przedsiębiorstwo narodu jest dość wielkie, aby mogło znosić pewien nadmiar wytworu, aż do chwili, kiedy popyt zapłynie znowu nad podażą. W takim przypuszczalnym wypadku nadprodukcji, żadna maszyneryja złożona nie wykoleja się u nas, tak jak to u was było, ze swojej drogi i nie powiększa przez to tysiąckrotnie zamieszania pierwiastkowego. Rzecz jasna, że, nie mając nawet pieniędzy, tembardziej nie posiadamy też kredytu. Wszelkie nasze oceny dotyczą przed-

miotów rzeczywistych—mąki, żelaza, drzewa, wełny i pracy, których pieniądze i kredyt były przedstawicielami bardzo bałamutnymi. W naszych obliczeniach kosztu nie może być żadnych nieporozumień. Od wytworu rocznego odejmuje się pewien zasób niezbędny do utrzymania ludzi, oraz pracę potrzebną do zaspokojenia przewidywanego spożycia przyszłorocznego. Pozostała część materijału i pracy może już bezpiecznie użyta być na ulepszenia. Jeżeli żniwa są skąpe, to przewyżka na rok następny będzie mniejsza, niż zwykle i na tem koniec. Z wyjątkiem pewnych przypadkowych skutków takich przyczyn naturalnych, sprawy nasze nie podlegają żadnym fluktuacyjom innym; materjalna pomyślność narodu przepływa nieprzerwanie od jednego pokolenia do drugiego, jakby jakaś rzeka coraz szersza i coraz głębsza.

Same te wasze przesilenia, panie West—ciągnął dalej doktor—tak samo, jak każda z owych wielkich wzmiankowanych przezemnie strat, mogłyby zmusić was do ciągłego klepania biedy, ale mam tu wspomnieć jeszcze o innej wielkiej przyczynie waszego ubóstwa, a była nią beczynność wielkiej części waszego kapitału i pracy. U nas rzeczą jest administracyi, aby najmniejsza odrobina rozporządzałnej pracy i kapitału ustawicznie była zajęta. Za dni waszych nie było żadnej ogólnej kontroli, tak kapitału jak i pracy, to też często jedno i drugie nie mogło znaleźć odpowiedniego zajęcia. Kapitał, mawialiście zwykle, jest z przyrody swej bojaźliwy, jażkoż byłby on bezwątpienia niebacznym, gdyby nie zdradzał obawy w epoce, kiedy istniało wielkie praw-

dopodobięństwo, że wszelkie dane przedsięwzięcie może zakończyć się niepowodzeniem. Nigdy nie bywało tak, iżby w razie zapewnienia mu gwarancyi, kapitał, poświęcany przemysłowi produkcyjnemu, nie był się znacznie powiększył. Część jego zużytkowywana w ten sposób, podlegała ciągłym fluktuacyjom niezwykłym, odpowiednio do słabszego lub silniejszego odczuwania, niepewności albo trwałości w ogólnej sytuacji przemysłowej — tak, że wydajność narodowego przemysłu, znakomicie zmieniała się w różnych latach. Ale z tej samej przyczyny, dla jakiej ilość kapitału zużytkowanego w czasach szczególnie niepewnych, bywała o wiele mniejszą, niż w czasach pewniejszych nieco, z tej samej przyczyny bardzo znaczna część jego nigdy nie podlegała zużytkowaniu, gdyż ryzyko nawet w czasach najlepszych było bardzo wielkie.

Należy również zaznaczyć, że wielkie zasoby kapitału, szukającego zawsze zajęcia, gdy tylko przedstawiało się jakie takie bezpieczeństwo, straszliwie zaogniały współzawodnictwo pomiędzy kapitalistami, kiedy się otwierała jakaś możność zużytkowania go. Bezczytność kapitału, będąca wynikiem jego bojaźliwości, pociągała naturalnie za sobą bezczynność pracy, w stopniu odpowiednim. Co większa, wszelka zmiana w układzie interesów, wszelkie najłżejsze przeobrażenie warunków handlu i przemysłu, nie mówiąc już o niezliczonych bankructwach i niepowodzeniach, zdarzających się rok rocznie nawet w czasach najlepszych, ustawicznie pozbawiały zajęcia mnóstwo ludzi na czas kilku tygodni, miesięcy albo lat nawet. Wielka liczba owych poszukiwaczy

pracy, ustawicznie przebiegała kraj, stanowiąc z czasem zastęp naprzód zawodowych włóczęgów, a później przestępców. Pracy! pracy! taki był okrzyk całej armii owych, niezajętych w każdej prawie porze roku, zaś w okresach zastoju, armija ta stawała się zastępem tak wielkim i zrozpaczonym, iż groziła trwałości rządu. Czyż mógłby być bardziej zrozumiałą i przekonywającą dowód niedorzeczności systemu przedsiębiorstw prywatnych, mającego służyć ku wzbogaceniu narodu, niż ten fakt, iż w wieku tak powszechnego ubóstwa i wszelkiego braku, kapitałisci musieli się mordować wzajemnie, chcąc znaleźć bezpieczne umieszczenie kapitału, pracownicy zaś burzyli się i szerzyli zniszczenie, nie mogąc znaleźć roboty.

Teraz, panie West, muszę przypomnieć panu, że punkty, o jakich tu mówiłem, wskazują tylko negacyjnie korzyści narodowej organizacyi przemysłu, a to odsłaniając pewne braki fatalne i potworne niedorzeczności systemu przedsiębiorstw prywatnych. Same już te wskazówki, musisz się pan zgodzić, mogłyby wytłómaczyć panu, dlaczego naród jest dzisiaj tak dalece bogatszym, niż za dni waszych. Ale o znaczniejszej części naszej przewagi nad wami, o stronie jej pozytywnej dotychczas prawie nie mówiłem. Przypuśćmy, że system prywatnych przedsiębiorstw przemysłowych nie przedstawiałby żadnego z owych wielkich, wzmiankowanych przezemnie braków; że nie byłoby tam żadnych strat z powodu złego skierowania wysiłków, płynącego z nieporozumień co do podaży, że nie byłoby owej nieudolności ogólnego ogarnięcia wzrokiem całego pola przemysłowego.

Przypuśćmy również, że współzawodnictwo nie spowodowało wówczas, ani neutralizacji, ani też niepotrzebego podwajania usiłowań. Przypuśćmy, że nie było strat z powodu popłochów, przesileń, bankructw i długich przerw w przemyśle, oraz owej bezczynności pracy i kapitału. Przypuśćmy, iż wszystkim tym wadom, tak właściwym systematowi prowadzenia przemysłu przy pomocy kapitałów prywatnych, zapobieżono w jakiś sposób cudowny, zatrzymując jednak sam system; otóż nawet wówczas wyższość nowożytnego systemu przemysłowego o kontroli narodowej byłaby olbrzymią.

Miewaliście już za dni waszych dość znaczne fabryki wyrobów tkackich, jakkowiek nie dające się porównać z naszymi. Bezwątpienia zwiedzałeś pan niekiedy owe ogromne współczesne panu zakłady, pokrywające sobą całe akry gruntu, zatrudniające wiele setek rąk i jednoczące pod tym samym dachem, pod jedną kontrolą setki odrębnych spraw technicznych—bele bawełny, oraz paki lśniących perkalów. Podziwiałeś pan wielką oszczędność pracy i siły mechanicznej, wynikającą z należytego ustosunkowania pracy każdej ręki, każdego kółka do części pozostałych. Niewątpliwie myślałeś pan sobie, o ile mniej dokonałaby w tym samym budynku ta sama siła pracowników, gdyby byli oni rozproszeni i gdyby każdy pracował niezależnie. Czy uważałbyś za przesadę twierdzenie, że nawet najznacniejszy wytwór ich roboty, gdyby pracowali oddzielnie i w stosunkach bodajby najbardziej przyjacielskich, powiększył się nie tylko o pewien procent ale kilkakrotnie, kiedy wysiłki ich zorganizowane zostały pod jedną kontrolą? Otóż właśnie,

panie West, organizacja pod kontrolą narodową, tak iżby wszystkie sprawy przemysłu spletały się wzajem, powiększyła całkowity jego wytwór po nad najwyższą skalę wytwórczości systemu dawniejszego, a jeśli nawet policzymy cztery główne przyczyny strat, o jakich mówiłem, powiększenie to odbyło się w takim samym stosunku, w jakim spotęgowaną bywała przez kooperację wytwórczość pracowników pojedynczych w owych wielkich fabrykach tkackich. Sprawność roboczej siły narodu pod tysiącogłowem przywództwem kapitału prywatnego, gdyby nawet przywódcy nie byli sobie wrogami, można, w zestawieniu ze sprawnością jej pod przywództwem jednogłowem, przyrównać do wojskowej sprawności motłochu albo hordy barbarzyńców z tysiącem drobnych wodzów, w zestawieniu ze sprawnością wyćwiczonego wojska pod rozkazami jednego wodza, z taką np. machiną walczącą, jaką była armija niemiecka w czasach Moltkiego.

— Po tem, coś mi pan powiedział, rzekłem, nietyle się już dziwię temu, że naród jest dzisiaj bogatszy, lecz że wszyscy nie jesteście krezusami.

— Dobrze—odpowiedział doktor Leete—nie dalecy jesteśmy od tego. Stopa naszego życia jest tak zbyt kowną, jak tylko możemy tego pragnąć. Współzawodnictwo w ostentacyi, które za dni waszych prowadziło do wybryków, nie powiększających bynajmniej wygody życia, nie ma już naturalnie miejsca w społeczeństwie ludzi, posiadających środki całkiem jednakie, to też ambycyja nasza zwraca się do naszego otoczenia, służącego uciechom życiowym. Istotnie, każdy u nas osobiście mógłby mieć dochody o wiele większe, gdybyśmy w taki sposób chcieli

zużytkować nadwyżkę naszego wytworu, ale wolimy wydawać to na roboty publiczne, oraz uciechy, w których wszyscy biorą udział, na publiczne sale i gmachy, galeryje sztuk, mosty, pomniki, środki przewozu, wygody naszych miast, na wielkie popisy muzyczne i teatralne, oraz na szerokie umożliwienie uciech zbiorowych. Jeszcześ pan nie widział, jak my żyjemy, panie West. W domu mamy wygodę, ale świetność naszego życia leży po jego stronie społecznej, tej, którą dzielimy z naszymi współobywatelami. Gdy je pan poznasz więcej, spostrzeżesz, gdzie się podziewają nasze pieniądze, jakieście wy mawiali. Zgodzisz się, jak sądzę, że dobrze czynimy, wydając je w ten sposób.

Przypuszczam—zauważył doktor Leete, gdyśmy już powracali do domu z jadłodajni, iż żadna uwaga nie byłaby tak razila ludzi waszego złotoczcącego stulecia, jak napomknienie, iż nie wiedzieli oni, w jaki sposób robić pieniądze. Niemniej wszakże podobny wyrok słusznie wydała na nich historyja. Ich system niezorganizowanych i wrogich sobie gałęzi przemysłu był równie niedorzecznym ekonomicznie, jak wstrętnym moralnie; samolubstwo było jedyną ich wiedzą, a w produkcyi przemysłowej samolubstwo jest samobójstwem. Współzawodnictwo, będące instynktem samolubstwa, jest znowu inną zagadką trwonienia energii, gdy tymczasem skojarzenie stanowi tajemnicę wytwarzania skutecznego; ale dopóki idea napchania kieszeni osobnika, nie ustąpi miejsca idei powiększania zasobów wspólnych, dopóty zjednoczenie przemysłowe nie może się urzeczywistnić i dopiero wówczas rozpoczyna się na-

prawdę nabywanie bogactw. Gdyby nawet zasada równego udziału wszystkich ludzi nie była jedyną, ludzką i racjonalną podstawą społecznego ustroju, mybyśmy ją byli narzucili, jako prawidło wygodne pod względem ekonomicznym, gdyż dopóki się nie stłumiło rozkładowego wpływu pogoni samolubnej, dopóty niemożliwem byłoby żadne istotne zjednoczenie działań przemysłowych.

ROZDZIAŁ XXIII



Wracając do naszego tematu z listy w końcu mu-
 rowym, chcąc niechcąc uświadomienie z przetr-
 mać, jakie warunki były moją twierdzą. Niezyska-
 wam z przetrwaniem, zachowaniem i moją twier-
 dzą.
 — Chciałbym także być jedno z przetrwania, ale
 obawiam się, że będzie niedostępnym.
 — Jestem pewny, że takim nie będzie — odpo-
 wiedz mi, proszę.
 — Zależy mi o wiodącym jakiejś postacie
 wczaj, niejednemu tutaj, który nieprawy, że z roz-
 mów, nie przekonasz, że nie, jakkolwiek wi-
 domo, że niego się nie zgodzi, jest tylko jedno
 tym, że ten mówiący w końcu.
 — Tożeluchowa — powiedziałam ona w pa-
 ruzie.
 — Tak, ale możemy się naprawić, jeśli z tym
 się pani zapewne zgodzi.

ROZDZIAŁ XXIII.

Wieczorem siedziałem z Edythą w pokoju muzycznym, słuchając niektórych utworów z programu dnia, jakie zwróciły były moją uwagę. Skorzystawszy z przerwy, zacząłem rozmawiać z moją towarzyszką.

— Chciałbym zrobić pani jedno zapytanie, ale obawiam się, że będzie niedyskretne.

— Jestem pewna, że takim nie będzie— odparła ona, dodając mi odwagi.

— Znajduję się w położeniu jakiegoś podsłuchiacza, ciągnąłem dalej, który, usłyszawszy coś z rozmowy, nie przeznaczonej dla niego, jakkolwiek widocznie do niego się ściągującej, "jest o tyle zuchwałym, iż prosi mówiącego o dokończeniu.

— Podsłuchiacza?— powtórzyła ona w pomieszaniu.

— Tak, ale mogącego się usprawiedliwić, z czem się pani zapewne zgodzi.

— To coś bardzo tajemniczego.

— Tak, odrzekłem, o tyle tajemniczego, iż często zdejmowała mnie wątpliwość, czym istotnie sły-
szal to, o co się pani mam zapytać, czy też mi
się to tylko śniło. Bez pani rozstrzygnąć tego nie
mogę. Sprawa jest taka: kiedym przychodził do
siebie z owego snu wiekowego, doznałem naprzd
wrażenia jakichś rozmawiających dokoła mnie gło-
sów; były to, jakem przekonał się później, głosy oj-
ca pani, matki i pani samej. Naprzd, przypominam
sobie, ojciec pani powiedział: zaraz otworzy oczy,
lepiej będzie, gdy zobaczy kogoś jednego z pomiędzy
nas. Wówczas pani, jeżeli mi się nie śniło, rzekłaś:
obietaj mi więc, że mu nie powiesz. Ojciec pani
zdawał się ociągać z obietnicą, pani nalegałaś, a kie-
dy matka wstawiła się za nią, ojciec wreszcie obie-
cał; to też, gdy otworzył oczy, zobaczyłem tylko
jego jednego.

Jaknajzupełniej poważnie mówiłem, że nie
był pewnym, czy mi się nie przysniła ta rozmowa,
którą niby miałem podsłuchać, tak dalece bowiem
niezrozumiałem było dla mnie, iżby ci ludzie, któ-
rych nie znałem, mogli coś wiedzieć o mnie współ-
czesniku ich pradziadów. Kiedym jednak spostrzegł,
jakie wrażenie zrobiły słowa moje na Edycie, prze-
konałem się, iż nie był to sen, ale nowa jakaś ta-
jemnica, bardziej zdumiewająca jeszcze, niż wszyst-
kie, z jakimi spotykałem się dotąd. Z chwilą bo-
wiem, kiedy kierunek mego pytania stał się widocz-
nym, poczęła ona zdradzać objawy najwyższego za-
kłopotania. Oczy jej, zawsze o wyrazie tak szczer-
nym i prostym, z jakimś panicznym strachem skryły

się przedemną, a cała twarz oblała się purpurowym rumieńcem.

— Proszę mi darować, rzekłem, gdym jako tako ochłonął ze zdumienia, zdaje mi się, że to nie był sen. Jest jakaś tajemnica, coś, co mnie dotyczy, a co pani ukrywa przedemną. Istotnie, czyliż nie jest trochę okrucieństwem, aby człowiekowi, znajdującemu się w mojem położeniu nie udzielić wszystkich, dotyczących go wiadomości.

— To nie dotyczy pana, to jest nie bezpośrednio. Nie idzie tu właściwie o niego, odrzekła głosem ledwie dostykalnym.

— Ale bądź co bądź, w jakiś sposób mnie dotyczy, nalegałem dalej. Musi to być coś, coby mnie było obeszło.

— Niewiem nawet tego—odpowiedziała ona—odważając się spojrzeć mi przelotnie w oczy, zapłoniona okropnie; jednocześnie jednak dokoła ust jej grał dziwny uśmiech, zdradzający, iż pomimo zakłopotania, sytuacja ta miała dla niej swoją stronę humorystyczną. Nie jestem nawet pewna, czy byłoby to pana zajęło?

— Ojciec pani byłby mi powiedział, nalegałem dalej z odcieniem wyrzutu. Pani mu na to nie pozwoliła. Ojciec sądził, że ja powinien być wiedzieć.

Nie odpowiedziała nic. Była tak zachwycającą w swem zamieszaniu, że teraz zarówno chęć przedłużenia tej sytuacji, jak i moja ciekawość pierwiastkowa, skłaniały mnie do nalegania na nią w dalszym ciągu.

— Więc nigdy się nie dowiem, nigdy mi pani nie powie?

— To zależy—odrzekła po długiej przerwie.

— Od czego, zapytałem jeszcze.

— O, zanadtoś pan ciekawy—odrzekła, a utkwwszy we mnie oczy z wyrazem jakimś niezbadanym, z zarumienionemi policzkami i z uśmiechem, co wszystko razem było czarujące, dodała—cóżbyś pan pomyślał, gdybym powiedziała, że zależy to od pana samego.

— Odemnie, w jakiż to sposób?

— Panie West, straciliśmy jakąś piękną muzykę—odpowiedziała mi tylko; zwróciwszy się do telefonu dotknęła się go palcem, a fale powietrzne poruszać się zaczęły rytmem adagi'a. Potem już starała się pilnie, aby muzyka nie pozostawiała nam czasu na rozmowę. Twarz odwróciła odemnie, utrzymując, że oddana jest aryjom, ale była to tylko wymówka, którą zdradzała wyraźnie purpura zalewająca jej policzki.

Kiedy wreszcie oznajmiła mi, że słyszał już wszystko, o co mi na razie chodziło i kiedyśmy wstali, aby wyjść z pokoju, zbliżyła się prosto do mnie i, nie podnosząc oczu, rzekła:

— Panie West, mówisz pan, że byłą dobrą dla pana. Nie zrobiłam nic nadzwyczajnego, lecz jeżeli pan tak utrzymujesz, to proszę mi obiecać, że nie będziesz pan nigdy usiłował skłonić mnie do powiedzenia sobie tego, o coś mnie pytał, i że nie będziesz próbował dowiedzieć się o tem zkądiną np. od ojca mego lub matki.

Na prośbę taką jedna tylko odpowiedź była możliwą.

— Przebacz mi pani, zem cię zmartwił. Rozumie się, że obiecuję. Nigdybym się nie był pytał, sądząc, że to może panią zasmucić. Ale czy mnie pani potępia za ciekawość?

— Nie potępiam pana wcale.

— Kiedyś, dodałem, gdy nie będę pani dokuczał, powie mi pani może z własnej woli. Czy mogę się tego spodziewać?

— Być może—szepnęła.

— Tylko być może?

— Spojrzawszy na mnie, czytała w mej twarzy, głęboko, głęboko wpatrując się we mnie.

— Tak—rzekła—sądzę, że będę mogła powiedzieć to panu kiedyś.

Na tem też zakończyła się nasza rozmowa, gdyż Edytha nie dała mi możności powiedzenia czegokolwiek bądź więcej.

Owej nocy, jak sądzę, nawet doktor Pillsbury nie mógłby pogрузić mnie we śnie, przynajmniej aż do rana. Tajemnice były teraz zwykłym moim pokarmem, ale żadna z nich nie wydawała mi się tak głęboką, a zarazem tak kuszącą jak ta, której nawet rozwiązania nie pozwoliła mi szukać Edytha. Była to tajemnica podwójna. Naprzód, w jaki sposób dałoby się pojąć, iż wiedziała ona coś o mnie, obcym przybyszu obcego wieku? Powtóre, gdyby nawet wiedziała, to jak wytłómaczyć wzruszenie, w jakie widocznie wprawiała ją ta ciekawość. Istnieją zagadki tak trudne, iż niepodobna nawet za pomocą domysłów zbliżyć się do ich rozwiązania; ta właśnie

wydawała mi się jedną z takich. Zazwyczaj byłem zbyt praktyczny, aby trwonić czas na takie dziwactwa; ale trudność nie odbierała obecnie uroku tej zagadce, ukazującej mi się w postaci młodej, pięknej dziewczyny. Wógóle przypuścić można bezwątpienia, że rumieńce dziewcząt opowiadają zawsze jedną opowieść młodzieńcom wszystkich wieków i plemion, ale nadawać takie tłómaczenie rumieńcom Edythy, uwzględniając położenie moje i krótkotrwałość naszej znajomości, a jeszcze bardziej ten fakt, że tajemnica jej sięgała czasów, kiedyśmy się wcale nie znali, byłoby to popełniać najwyższą niedorzeczność. A jednak była ona cudowną... to też ja nie byłbym chyba młodym mężczyzną, gdyby rozum i zdrowy rozsądek mogły były ze snów moich owej nocy zupełnie wygnać barwy różowe.



ROZDZIAŁ XXIV.

Nazajutrz rano zszedłem na dół dość wczesnie, w nadziei znalezienia Edythy samej, zawiodłem się jednak. Nie znalazłszy jej w domu, zacząłem szukać w ogrodzie, ale i tam jej nie było. Błądząc tak odwiedziłem mój pokój podziemny i usiadłem tam, aby odpocząć. Na biurku leżało kilka dzienników i gazet; sądząc, że doktor Leete zechce zobaczyć, jak wyglądał dziennik bostoński z roku 1887, wziąłem jedną z gazet ze sobą. Przy śniadaniu spotkałem się z Edythą. Zarumieniła się witając mnie, ale najzupełniej już nad sobą panowała. Gdyśmy usiedli, doktor Leete zabawiał się widokiem przyniesionej przezemnie gazety. Tak samo, jak we wszystkich dziennikach owoczesnych, znajdowało się w niej sporo wiadomości o zaburzeniach robotniczych, bezrobociach, zamknięciu fabryk, bojkotowaniu, o programach robotniczych partyj oraz o dzikich groźbach anarchistów.

— Ale, ale, rzekłem, gdy doktor czytał nam głośno niektóre z owych ustępów, jaką też rolę w ustanowieniu nowego porządku rzeczy odegrali stronnicy chorągwi czerwonej? Wiem tylko, że robili oni dużo hałasu.

— Naturalnie, oprócz przeszkadzania mu nie działali nic więcej—odrzekł doktor Leete—przeszkadzali zaś bardzo skutecznie, gdyż przemówienia ich napełniały ludzi tak wielkim niesmakiem, iż odstręczały wszystkich od słuchania najlepszych projektów społecznej reformy. Subsydjowanie tych panów stanowiło najdowcipniejszy manewr jej przeciwników.

— Subsydjowanie ich? zawołałem zdziwiony.

— Bez wątpienia—odrzekł doktor Leete.— Żadna z powag historycznych nie wątpi dzisiaj, iż byli oni płatni przez wielkich monopolistów, za to, aby, powiewając czerwoną chorągwią, mówili o paleniu, rabowaniu i wysadzaniu ludzi w powietrze, a to aby, odstraszyć bojaźliwych od wszelkich rzeczywistych reform. Co dziwi mnie najbardziej, to to, żeście wy mogli tak łatwo wpadać w tę zasadzkę.

— Na jakich podstawach mniemasz pan, że partya czerwonych zostawała na żołdzie, zapytałem.

— Poprostu na tej, iż musieli przecie widzieć, że ich zachowanie się zjednywało dla sprawy tysiące wrogów w zamian za jednego przyjaciela. Nie przypuszczać, iż płacono im za ich sprawki, byłoby pomaćwiać ich o głupotę niepojętą *). W Stanach Zjedno-

*) Zgadzam się zupełnie, iż trudno jest wytłómaczyć sobie postępowanie anarchistów inaczej, jak przypuszczając, iż

czonych wszelkich krajów, żadna przecież partya nie mogłaby oczekiwać zwycięstwa swojej idei bez zjednania dla niej większości narodu, jak to ostatecznie uczyniła partya narodowa.

— Partya narodowa, zawołałem, musiała ona chyba powstać już po mnie. Była to zapewne jedna z partyj robotniczych.

— O nie!—odpowiedział doktor Leete.—Partje robotnicze, jako takie, nigdy nie mogłyby dokonać nic trwałego na szeroką skalę. Dla celów całego narodu podstawa ich, będąca tylko organizacją klasową, była zbyt wąską. Dopiero, kiedy przekształcenie przemysłowego i społecznego systemu na wyższych podstawach etycznych, oraz dla celów skuteczniejszego wytwarzania uznanem zostało za rzecz niezbędną nie dla jednej klasy, ale dla wszystkich, dla bogatych i biednych, wykształconych i nieuków, starych i młodych, słabych i silnych, dla mężczyzn i kobiet, dopiero wówczas otworzyły się jakieś widoki urzeczywistnienia go. Wówczas to powstała partya narodowa, mająca na celu przyprowadzenie do skutku owych przeobrażeń zapomocą środków politycznych. Nazwę swoją wzięła ona stąd prawdopodobnie, iż celem jej było unarodowienie czynności wytwarzania i podziału. Co prawda, trudno byłoby o lepsze dla niej miano, gdyż zadanie jej polegało

byli na żołdzie kapitalistów, niemniej wszakże nie ulega wątpliwości, iż przypuszczenie takie jest całkowicie błędne. To też nikt go nie żywił za czasów moich, jakkolwiek przy spoglądaniu wstecz może się ono wydawać tak oczywistem.

na urzeczywistnieniu idei narodu tak wspaniałem i dokładnem, jak nie bywało ono nigdy, narodu, już nie jako stowarzyszenia ludzi dla pewnych i tylko politycznych czynności, wpływających jedynie zdaleka i powierzchownie na ich pomysłność, lecz jako rodziny, jako żywotnego związku, wspólnego życia, jako potężnego drzewa o konarach, nieba sięgających, których liśćmi są poszczególne jednostki narodu, karmiące się jego sokami i odżywiające go również. Będąc najbardziej patryjotyczną ze wszystkich możliwych partyj, usiłowała ona usprawiedliwić patryjotyzm i podnieść go od poziomu instynktu do wyżyn wyrozumowanego poświęcenia, a to czyniąc z kraju rodzinnego istotny kraj ojczysty, czyniąc go ojcem, któryby dawał życie ludziom, nie zaś był dla nich tylko bożyszczem, wymagającym od czasu do czasu ofiary z ich życia.



KSIEGARNIA—CZYTELNIA
i materiały piśmienne
H. MICHNIEWSKIEJ
dawniej DZIERŻANOWSKI
w SKIERNIEWICACH

ROZDZIAŁ XXV.

Rzecz naturalna, że osobistość Edythy Leete zrobiła na mnie silne wrażenie od czasu, kiedy w sposób tak dziwny stałem się domownikiem jej ojca; można się też było spodziewać, że po tem, co zaszło nocy uprzedniej, myśl moja bardziej niż kiedykolwiek ku niej zwracać się będzie. Naprzód uderzyła mnie pogodna szczerłość, oraz prostota jakaś rozumna w jej obcowaniu, przypominająca raczej szlachetnego i niewinnego chłopca, niż którąkolwiekbądź ze znajomych mi dziewcząt. Ciekawy byłem przekonać się, o ile ten przymiot ujmujący był właściwością jej samej, o ile zaś był on wynikiem zmian w towarzyskiem położeniu kobiety, jakie mogły zdarzyć się od moich czasów. Jakoż, upatrzawszy odpowiednią sposobność, gdyśmy się znaleźli sam na sam z doktorem, skierowałem rozmowę na ten przedmiot.

— Przypuszczam, rzekłem, że kobiety dzisiejsze, uwolnione od ciężaru zajęć domowych, nie mają

nie lepszego do roboty nad pielęgnowanie swoich powabów i wdzięków.

— O ile to dotyczy nas mężczyzn—odpowiedział doktor—powinnibyśmy byli uznawać, iż spłacałyby one w zupełności swój dług, że użyję tu jednego z waszych zwrotów, gdyby ograniczały się do tego tylko zajęcia, ale możesz pan być pewnym, iż posiadają zbyt wiele rozumu, aby zechciały być beneficjaryjuskami społeczeństwa w zamian za to, iż są jego ozdobą. Witają one istotnie z radością wyzwolenie swe od zajęć domowych, gdyż była to rzecz nietylko sama w sobie nużąca, ale nadto, w porównaniu z planem kooperacyjnym, przedstawiała straszne marnowanie energii; jednakże, wyzwolenie od tego rodzaju pracy przyjęły one tylko po to, aby w inny, bardziej skuteczny, a zarazem bardziej przyjemny, sposób mogły przyczyniać się do pomysłowości ogólnej. Kobiety nasze, tak samo jak mężczyźni, są członkami armii przemysłowej, którą opuszczają tylko wtedy, gdy odwołują je obowiązki macierzyństwa. Wynik tego jest taki, że większa część kobiet, w takim lub innym okresie swego życia, służy w szeregach przemysłowych przez jakieś lat pięć, dziesięć albo piętnaście, te zaś, które nie mają dzieci, służą przez cały okres odpowiedni.

— Więc kobieta nie porzuca służby przemysłowej przy wstąpieniu w związki małżeńskie, zapytałem:

— Tak samo, jak i mężczyzna—odrzekł doktor—dla czegożby miała to czynić? Mężatki nie ponoszą już dzisiaj, jak pan wiesz, odpowiedzialność

za gospodarstwo domowe, mąż zaś nie jest dzieckiem, któregooby trzeba pielęgnować.

— Za najsmutniejszą cechę naszej cywilizacji, uważano to, żeśmy wymagali tak wiele trudu od kobiet, zdaje mi się jednak, że wy wymagacie od nich jeszcze więcej.

Doktór Leete uśmiechnął się.

— Istotnie wymagamy tyle, co i od mężczyzn. Pomimo to jednak kobiety dzisiejsze są bardzo szczęśliwe, gdy tymczasem przedstawicielki wieku XIX, jeżeli świadectwo społecznych w błąd mnie nie wprowadza, były bardzo godne pożałowania. Przyczyną, dla której kobiety dzisiejsze są o wiele dzielniejsze — mi współpracownicami mężczyzny, a jednocześnie są tak szczęśliwe, jest to, że tak samo w odniesieniu do ich pracy, jak i do pracy mężczyzn, my przestrzegamy zasady dostarczania każdemu lub każdej takiego rodzaju zajęcia, do jakiego są najlepiej przystosowani. Ponieważ kobiety ustępują mężczyznom pod względem siły, a nadto nie nadają się również do niektórych zajęć przemysłowych, więc fakty te uwzględnia się przy wyborze rodzajów albo warunków ich pracy. Roboty cięższe pozostawia się wszędzie mężczyznom, lżejsze kobietom. W żadnym wypadku nie pozwala się kobiecie wykonywać robót, któreby pod względem rodzaju lub stopnia pracy nie odpowiednie były dla jej płci. Co większa, dzień roboczy kobiet jest znacznie krótszy, częstsze miewają one wakacje, a w razie potrzeby, jaknajskrzętniej pamięta się o tem, aby mogły wypocząć. Mężczyźni dzisiejsi tak dobrze rozumieją, iż piękność i wdzięk kobiety stanowią najglówniejszą okrasę ich życia,

oraz główny bodziec wysiłków, że jeśli zgoła pozwalają im pracować, to tylko dla tego, iż wszyscy rozumiemy, że pewne regularne ćwiczenie się w pracy, odpowiadającej naszym siłom, pożyteczne jest zarówno dla ciała jak i dla ducha, w okresie największej mocy cielesnej. Sądzimy, iż wspańałe zdrowie, odróżniające nasze kobiety od waszych, które, jak się zdaje, tak powszechnie podlegały chorobom, zawdzięczać należy w znacznej mierze temu, że wszystkie one mają dziś zdrowe i orzeźwiającej zajęcia.

— O ile rozumiem pana, rzekłem, pracownice należą również do armii przemysłowej, ale w jakim sposobie mogą one podlegać takiemu jak i mężczyźni systemowi awansów oraz dyscyplinie, skoro warunki pracy są tak odmienne.

— To też znajdują się one pod dyscypliną całkiem inną i stanowią raczej siłę sprzymierzoną, nie zaś składową część armii męskiej. Mają swego naczelnego wodza-kobietę i podlegają rządowi wyłącznie kobiecym. Wódz ten, jak również wyżsi oficerowie, wybierani są przez grupę kobiet, które już przeszły okres swej służby, a to w sposób podobny do obioru wodza armii męskiej i prezydenta. Naczelnym dostojnikiem armii kobiecej należy do gabinetu prezydentury i posiada prawo weta z odwołaniem się do kongresu w rzeczach, dotyczących pracy kobiet. Mówiąc o sądownictwie, powinien byłbym dodać, że wśród sędziów mamy tak dobrze mężczyzn jak i kobiety, te zaś mianowane są przez owego naczelnego wodza. Sprawy, w których obie strony są kobietami, rozstrzygają sędziowie-kobiety, kiedy zaś kobieta i mężczyzna występują w sprawie, wyrok wydany być musi zgodnie przez sędziów płci obojga.

— Przy waszym systemie, kobiety, jak się zdaje, tworzą pewien rodzaj państwa w państwie.

— Do pewnego stopnia—odrzekł doktor—ale państwo wewnętrzne jest takie, od którego, jak pan osądzisz, nie grozi wielkie niebezpieczeństwo narodowi. Brak takiego jak gdyby uznania odrębnej indywidualności płci, stanowił jedną z niezliczonych wad waszego społeczeństwa. Pociąg zmysłowy pomiędzy mężczyznami a kobietami zbyt często przeszkadzał w dostrzeżeniu owych głębokich różnic, jakie sprawiają, iż członkowie danej płci stają się w wielu razach obcymi dla przedstawicieli płci innej, zaś zdolnymi do sympatyzowania tylko z płcią swoją. Właśnie pozostawiając raczej wolną grę owym różnicom płciowym, nie zaś starając się o zatarcie ich, co jak się zdaje, było usiłowaniem niektórych waszych reformatorów, potęguje się zarówno pomyślność każdej płci z osobna jak i wzajemne ich dla siebie znaczenie. Za dni pana, kobiety nie miały żadnej przed sobą drogi, z wyjątkiem tylko nienaturalnej rywalizacji z mężczyzną. Myśmy otworzyli im świat ich własny, z właściwem im współzawodnictwem, ambycjami i zawodami i zapewniam pana, że są one w nim bardzo szczęśliwe. Zdaje nam się, że kobiety, więcej niż jakakolwiek inna klasa ludzi, były ofiarami waszej cywilizacji. Nawet dziś, z odległości znacznego czasu, czuje się coś przejmującego w owem ich życiu nudnem, zatęchłym, przykutem do małżeństwa, w ich ciasnych widnokręgach, ograniczanych tak często fizycznie czterema ścianami domu, moralnie zaś szczupłym kołem interesów osobistych. Nie mówię tu o kobietach klas uboższych, które zapracowywały się

zwykle na śmierć, ale również o zamożnych i o bogatych. Zarówno przed smutkiem wielkim jak i przed małemi kłopotami codziennego życia nie miały one żadnej ucieczki w pozadomowem przestworzu spraw ludzkich, nie miały żadnych interesów, oprócz familijnych. Istnienie takie doprowadziłoby mężczyznę do rozmiękczenia mózgu albo do warjacyi. Wszystko to zmieniło się dzisiaj. Nie słyhać już teraz, aby kobieta jakaś pragnęła być mężczyzną, lub też, aby rodzice woleli mieć syna niż córkę. Dziewczęta nasze w zawodach swoich mają także zaspokojenie ambicyi jak i chłopcy. Małżeństwo nie bywa już dla nich więzieniem, nie oddziela ich bynajmniej od szerszej areny spraw społecznych, od wiru świata szerszego. Tylko wtedy, gdy macierzyństwo wzbudzi w duszy kobiecej nowe uczucia, usuwa się ona od świata na czas jakiś, później w każdym czasie może powrócić do swych towarzyszek i nie ma potrzeby zresztą kiedykolwiek zrywać z niemi stosunków. Kobiety są dzisiaj rodzajem szczęśliwym, w porównaniu z jakimkolwiek bądź okresem ich losów w dziejach świata, a odpowiednio do tego zwiększyła się też ich moc uszczęśliwiania mężczyzn.

— Wyobrażam sobie, że zajęcie się zawodami w armii przemysłowej, oraz kandydatura do jej dostojenstw, mogłyby odstręczać kobiety od małżeństwa.

Doktor Leete uśmiechnął się.

— Nie bój się pan, panie West, Stwórca pilnie postarał się o to, aby, jakimkolwiek zmianom ulegną z biegiem czasu usposobienia mężczyzn i kobiet, ich wzajemny pociąg do siebie pozostawał jednakim.

Już sam ten fakt, że nawet w waszym wieku, kiedy walka o byt pozostawiała ludziom mało czasu na myśli inne, kiedy przyszłość bywała tak niepewną, iż branie na siebie obowiązków rodzicielskich musiało wydawać się czemś występem, ten fakt, że pomimo to wszystko żeniono się i wychodzono za mąż, mógłby być tutaj dosyć przekonywającym. Co do miłości dzisiejszej, to jeden z naszych pisarzy powiada, że próżnia, jaka się wytworzyła w umysłach naszych mężczyzn i kobiet z powodu pozbycia się wzajemnej troski o byt, została całkowicie zajęta przez tkliwą namiętność. Jest w tem jednakże, wierz mi pan, trochę przesady. Zresztą małżeństwo tak dalece nie jest przeszkodą w zawodach kobiecych, że nawet wyższe stanowiska kobiece w armii przemysłowej powierza się jedynie takim niewiastom, które były już żonami i matkami, gdyż te tylko w zupełności przedstawiają płęć swoją.

— Czy karty kredytowe wydaje się tak samo kobietom, jak i mężczyznom?

— Niewątpliwie.

— Kobietom, jak sądzę, otwiera się kredyt na mniejsze sumy, a to z powodu częstego przerywania ich pracy dla obowiązków familijnych.

— Mniejsze — zawołał doktor Leete. — O nie, utrzymanie wszystkich naszych obywateli jest jednakie. Niema pod tym względem wyjątku, ale gdyby miano robić tutaj jakieś wyróżnienia z powodów, o jakich pan mówisz, to raczej powiększonoby, nie zaś zmniejszono ich kredyt. Czy możesz pan wyobrazić sobie usługę, nadającą większe prawo do wdzięczności narodu, niż rodzenie

i karmienie jego dzieci? Według naszych poglądów nic w świecie nie przewyższa zasługi dobrych rodziców. Niemasz zadania tak niesamolubnego, tak nieuchronnie pozbawionego zapłaty, chociaż serce ma tutaj swoją nagrodę, jak pielęgnowanie dzieci, które będą stanowiły świat odrębny wtedy, gdy nas już nie będzie.

— Z tego, co pan mówi, zdaje się wynikać, iż żony pod względem utrzymania nie są zależne od swoich mężów.

— Naturalnie, że nie, jak również dzieci nie zależą pod tym względem od swoich rodziców, chociaż, rzecz jasna, doznają od nich dowodów przywiązania. Praca to dziecka, gdy urośnie ono, powiększać będzie wspólne zasoby, nie zaś praca rodziców jego, którzy już umrą, właściwa też jest, aby karmiono je z owych zasobów wspólnych. Musisz pan zrozumieć, że rachunki każdego człowieka, mężczyzny, kobiety i dziecka, załatwiane są u nas bezpośrednio pomiędzy nim a narodem, nigdy zaś przy udziale pośredników, z wyjątkiem tylko tego wypadku, kiedy rodzice występują do pewnego stopnia, jako opiekunowie dziecka. Widzisz pan, że jedynie dzięki tylko związkowi jednostek z narodem, dzięki temu, iż są one jego częstkami, zdobywają sobie prawo do utrzymania; prawo zaś to nie zależy bynajmniej od stosunków ich z jednostkami innymi, które wraz z nimi są tylko współobywatelami swojego narodu. Zależność jednej jednostki od drugiej w sprawie środków utrzymania zarówno razilaby zmysł moralny, jako też i wszelką racjonalną teorię socjologiczną. Coby się też stało z wolnością i go-

dnością osobistą przy takim ustroju? O ile wiem, nazywaliście się wolnymi w waszym wieku XIX. Jednakże, albo znaczenie tego wyrazu było zgoła inne aniżeli dzisiaj, albobyście też z pewnością nie stosowali go do takiego społeczeństwa, którego każdy prawie członek znajdował się w osobistej zależności od innych pod względem najniezbędniejszych środków utrzymania; biedni zależeli od bogatych, najemnik od pracodawcy, kobieta od mężczyzny, dziecko od rodziców. Zdawało się, że zamiast rozdzielać bezpośrednio wytwór pracy narodowej pomiędzy współobywatelami, co byłoby rzeczą najprostszą i najbardziej naturalną, wysłali wasz umysł na wynajdywanie systemu podziału z rąk do rąk, systemu, przedstawiającego najwięcej poniżenia godności osobistej dla wszystkich klas odbiorców.

Co do zależności kobiet od mężczyzn w sprawie utrzymania, jaka wówczas była rzeczą zwykłą, to naturalnie w wypadku małżeństwa z miłości wzajemne przywiązanie mogło częstokroć czynić zależność taką dość znośną, jakkolwiek sądzę, że dla kobiet podnioslejszych bywała ona zawsze upokarzającą. Czem więc musiała być w niezliczonych wypadkach, kiedy kobiety, pod osłoną lub bez osłony małżeństwa, zniewolone były sprzedawać się mężczyznom dla zdobycia utrzymania? Nawet współczesnicy wasi, jakkolwiek zahartowani na najbardziej oburzające objawy waszego społecznego ustroju, mieli, jak się zdaje pojęcie o tem, iż działo się tu inaczej, niż było powinno; jednakże tylko z litości uzalali się nad losem kobiet. Nie przychodziło im na myśl, że owo pochwylenie przez mężczyzn całego wytwó-

ru świata i pozostawianie kobiet na łasce zebraniny i upodlenia było nietylko okrucieństwem, ale i rabunkiem. Przebacz mi jednak, panie West, zem się zapędził tak bardzo, jak gdyby rabunek, zmartwienia i wstyd, jakie przeniesć musiały te biedne kobiety, nie należały już do dalekiej przeszłości i jak gdybyś pan odpowiedzialnym był za to, nad czem ubolewałaś bezwątpienia niemniej odemnie.

— Muszę ponieść właściwą część odpowiedzialności za ówczesny ustrój świata. Jedno tylko mogę powiedzieć ku złagodzeniu zarzutów, że dopóki naród nie dojrzał był jeszcze do obecnego systemu zorganizowanej produkcji i podziału, dopóty niemożliwą była żadna radykalna poprawa położenia kobiet. Źródłem ich niepowodzenia, jak pan powiadasz, była osobista ich zależność od mężczyzn w sprawie utrzymania; to też nie wyobrażam sobie innego, niż wasz, systemu organizacyi społecznej, który uczyniłby kobietę wolną wobec mężczyzny, a jednocześnie dałby wolność wszystkim mężczyznom w ich stosunkach wzajemnych. Przypuszczam nadto, że tak całkowita zmiana w położeniu kobiet nie mogła nie oddziałać wybitnie na towarzyskie stosunki obu płci. Będzie to dla mnie wielce ciekawy przedmiot badania.

— Zmiana, jaką pan zauważył—odrzekł doktor Leete—zasadzać się będzie głównie, jak sądzę, na zupełnej szczerości i niekrępowaniu się, jakie cechują dziś owe stosunki w przeciwstawieniu do sztuczności, która, jak się zdaje, cechowała obcowanie wasze. Obie płcie obcuja z sobą dzisiaj ze swobodą istot zupełnie sobie równych, starając się o względy

swe tylko dla miłości. Za waszych czasów ten fakt, że kobiety zależały od mężczyzn, w sprawie utrzymania, czynił z nich, zwłaszcza przy zawieraniu małżeństwa, osoby obdarowywane. Okoliczności te, o ile wnosić możemy ze świadectw owoczesnych, dość szorstko dawali sobie uczuwać ludzie z klas niższych, gdy tymczasem w towarzystwach bardziej oglądzonych, ku maskowaniu tej sprawy, posiadano system konwenansów, mających na celu przekonanie, że dzieje się wprost przeciwnie, a mianowicie, że mężczyzna jest tutaj obowiązany za dobrodziejstwa. Dla zachowania tego pozorów on to właśnie musiał występować w roli starającego się. Uważano przeto za rzecz wysoce rażącą, gdy kobieta zdradziła się z przywiązaniem swem do mężczyzny, zanim tenże objawił chęć żenienia się z nią. Posiadamy obecnie w bibliotekach naszych książki napisane przez współczesnych wam autorów, nie w innym celu, jak tylko dla roztrząśnięcia pytania, czy, w jakichkolwiek bądź warunkach, kobieta może, nie dyskredytując płci swojej, wyjawić miłość mężczyźnie, który ją o to nie prosił. Wszystko to wydaje się nam jaknajzupełniej niedorzecznem dzisiaj, jakkolwiek wiemy, że w warunkach waszych zagadnienie to mogło mieć swoją stronę poważną. Kiedy przyznanie się do miłości przed mężczyzną było dla kobiety właściwie tem samem, co zaproszenie go, iżby wziął na siebie ciężar jej utrzymania, wówczas, jak łatwo dostrzedz, dumy i delikatność mogły tamować popędy jej serca. Gdy pan wejdiesz do naszego towarzystwa, panie West, musisz się pan przygotować do tego, iż często będziesz badany pod tym względem przez naszą

młodzież, która naturalnie interesuje się wielce tą stroną dawnych obyczajów *).

— A więc dziewczęta wieku XX same oświadczają się z miłością?

— Gdy tego zapragną; nie idzie im o ukrycie swych uczuć tak samo, jak i ich kochankom. Kokieterija byłaby pogardzaną zarówno w kobiecie jak i w mężczyźnie. Udana obojętność, która za dni waszych oszukiwała zakochanego, dzisiaj mogłaby go zwieść w zupełności, gdyż nikt nie myśli o praktykowaniu jej.

— Jednym z wyników niezależności kobiet, o ile mogę sądzić, musi być to, iż niema dziś innych małżeństw jak z wzajemnej skłonności. Wyobrazić tu sobie świat, na którym się spotyka same tylko objawy bezinteresownej miłości! Ach doktorze, ani pan możesz pojąć, jak dziwnem zjawiskiem musi być świat taki dla człowieka wieku XIX.

— Mogę to jednak poniekąd wyobrazić sobie— odparł doktor;—ale fakt, przez pana wysławiany, ma większą jeszcze doniosłość, nizeli się panu zdaje. Oznacza on, że po raz pierwszy w dziejach ludzkości działać dziś może bez przeszkód zasada doboru płciowego, wraz ze swoją dążnością zachowywania

*) Przekonałem się później dowodnie, iż przestroga doktora Leete była całkiem uzasadnioną. Młodzi mężczyźni dzisiejsi, a szczególnie młode kobiety, znajdują nieskończenie wiele przyjemności w rozpytywaniu się o to, co podoba im się nazywać dziwactwami zalotów w wieku XIX.

i przelewania lepszych typów rasy, oraz skazywania na wymarcie typów niższych. Więzy ubóstwa, potrzeba dachu nad głową nie zniewalają już dzisiaj kobiet do wybierania za ojców ich dzieci takich mężczyzn, których ani kochać, ani szanować nie mogą. Bogactwo i dostojność nie odwraca już uwagi od przymiotów osobistych. Złoto już „nie pochyla czoła tłumów”. Przymioty danej osoby, umysł jej i usposobienie, piękność, dowcip, wymowa, tklivość, szlachetność, genjalność, odwaga niechybnie przekazywanymi być mogą potomstwu. Każde nowe pokolenie przesiewaniem jest jak gdyby przez sito, cokolwiek cieńsze od pokolenia uprzedniego. Budzące podziw cechy przyrody ludzkiej zostają przechowane, te zaś, które budzą odrazę, pozostają za nami. Istnieje naturalnie wielka liczba kobiet, u których miłość musi jednoczyć się koniecznie z podziwem i które marzą o świetnym zamążpojsciu, ale i one ulegają temu samemu prawu, gdyż świetnie wyjść za mąż, nie znaczy dziś dostać męża wielkiej fortuny lub tytułu, ale takiego, który wzniósł się ponad swych towarzyszy, dzięki trwałości lub świetności zasług swych względem człowieczeństwa. Tacy tworzą dziś jedyną arystokrację, z którą związek staje się wyróżnieniem.

Wczoraj czy onegdaj mówiłeś pan o cielesnej wyższości naszych ludzi nad twymi współczesnikami. Może najważniejszą ze wszystkich, wzmiankowanych wówczas przezemnie przyczyn takiej poprawy rasy, był wpływ niepaczonego niczem doboru płciowego na dwa lub trzy idące po sobie pokolenia. Sądzę, że kiedy pan dokładniej zbadasz współczesnych

nam ludzi, znajdziesz pan w nich nietylko fizyczną ale umysłową i moralną poprawę. Dziwnem byłoby gdyby się stało inaczej; nietylko bowiem jedno z wielkich praw przyrody działa dzisiaj swobodnie ku pomysłności narodu, ale nadto na poparcie tego działania wpływa głębokie uczucie moralne. Indywidualizm, który za dni waszych był najbardziej żywotną ideą w społeczeństwie, nietylko stawał na zawadzie wszelkiemu żywшему poczuciu braterstwa lub wspólności interesów wśród ludzi żyjących, ale również uniemożliwiał wszelką realizację odpowiedzialności osobników żywych względem pokoleń przyszłych. Obecnie owo uczucie odpowiedzialności, nie uznawane faktycznie w ciągu wieków ubiegłych, stało się jedną z wielkich idei etycznych naszej rasy, potęgającą żywym poczuciem obowiązku wrodzony popęd do szukania w małżeństwie najlepszych i najszlachetniejszych przedstawicieli płci innej. Wynik tego jest taki, że wszystkie zachęty i pobudki wszelkiego rodzaju, jakieśmy wynaleźli dla rozwoju przemysłu, talentów, genjuszu i wszelkiej jakiegokolwiek bądź dzielności, mają na naszą młodzież męzką bezporównania mniej wpływu, niż ten fakt, że kobiety nasze zasiadają po nad nami jako sędziowie całej rasy i oddają siebie w nagrodę zwycięzcom. Z pomiędzy wszystkich smagań i bodźców, przynęt i nagród nic nie działa tak jak myśl, że promienne oblicza odwrócić się od maruderów.

W celibacie żyją dziś prawie sami tylko tacy mężczyźni, którym nie udało się zjednać sobie odpowiedniego kredytu w walce życiowej. Kobieta musiałaby być bardzo odważną i do tego odważną

w złem znaczeniu, aby litość dla jednego z tych nie-
szczęśliwych, popchnęła ją do pogardzenia opinią jej
spółczesnych gdyż inaczej nic nie zmusza jej do
wybrania go sobie za męża. Muszę dodać, że naj-
większe wymagania i opór największy owej opi-
nii napotkałaby ona wśród płci swojej własnej; ko-
biety nasze wzniosły się całkowicie do poziomu swo-
jej odpowiedzialności strażniczek pokoleń przyszłych,
którym powierzono klucze przyszłości. Ich poczucie
obowiązku pod tym względem sięga wyżyn nama-
szczenia religijnego, jest to kult, w którym wycho-
wiają one swe córki od dziecka.

Przyszedłszy do sypialni mojej owego wieczora
siedziałem do późna, czytając dany mi przez doktora
Leete romans Berriana. Intryga powieściowa doty-
czyła właśnie sytuacji, o jakiej napomknęły ostatnie
słowa doktora, a mianowicie nowożytnego poglądu na
odpowiedzialność rodzicielską. Powieściopisarz wie-
ku XIX byłby niewątpliwie przedstawił sytuację
podobną w taki sposób, iżby obudzić w czytelniku
chorobliwą sympatyję dla sentymentalnego samolub-
stwa kochanków, oraz wywołać w nim niechęć dla
niepisanego prawa, które oni przekraczali. Nie bę-
dę tu opisywał—któż bowiem nie czytał „Ruth El-
ton”—jak odmiennemi drogami kroczy Berrian, oraz
jak potężnie uwydatnia on postawioną przez siebie
zasadę: „względem nieurodzonych władza nasza jest
władzą Boga, odpowiedzialność zaś nasza podobną
jest do jego odpowiedzialności względem nas. Jak
my uścimy się względem nich, tak niechaj on wzglę-
dem nas się uści”.



ROZDZIAŁ XXVI.

Sądzę, że jeżeli ktokolwiek i kiedykolwiek mógł się usprawiedliwić z tego, iż stracił rachubę dni tygodnia, to właśnie usprawiedliwienie takie mnie przysługiwało. Istotnie, gdyby mi powiedziano, że całkowicie zmienił się porządek orjentowania się w czasie, że dni rachowano obecnie piątkami, dziesiątkami lub piętnastkami, nie zaś siódemkami, nie byłbym się zdziwił bynajmniej po tem, com już słyszał i widział odnośnie do wieku XX. Po raz pierwszy zdarzyło mi się zapytywać o dzień tygodnia, nazajutrz po rozmowie przytoczonej w rozdziale ostatnim. Przy śniadaniu doktor Leete zagadnął mię, czy chciałbym posłuchać kazania.

— A więc to dziś niedziela zawołałem.

— Tak—odrzekł doktor.— Widzi pan, w piątek przeszłego tygodnia zrobiliśmy szczęśliwe odkrycie podziemnej komnaty, odkrycie, któremu zawdzięczamy pańskie obecne towarzystwo. W sobotę zrana, zaraz po północy, ocknąłeś się pan po raz pier-

wszy, a w niedzielę po południu obudziłeś się drugi raz, już odzyskawszy wszystkie swe władze.

— Więc miewacie jeszcze niedziele i kazania, rzekłem. Myśmy mieli proroków, którzy przepowiadali, iż na długo przed dobą obecną świat będzie się obchodził bez kościoła i bez kazań. Bardzo byłbym ciekawy dowiedzieć się, w jaki sposób instytucje kościelne dopasowały się do reszty waszych urządzeń społecznych. Przypuszczam, iż macie pewien rodzaj kościoła narodowego z urzędowym duchowieństwem.

Doktór Leete uśmiechnął się, zaś panią i pannę Leete słowa moje zdawały się bardzo bawić.

— Ależ, panie West—rzekła Edytha—za jakichże starych ludzi musisz nas pan uważać. Wszak wyście już byli załatwili się z narodowymi urządzeniami religijnymi w wieku XIX. Czyż wyobrażasz pan, żeśmy do nich powrócili?

— Ale w jakim sposobie można pogodzić wolny kościół i duchowieństwo nieurzędowe z narodowym władaniem wszelkimi budowlami, oraz ze służbą przemysłową, jakiej się od wszystkich wymaga.

— Praktyki religijne ludzi zmieniły się znacznie w ciągu stulecia, ale gdyby nawet pozostały one bez zmiany, to i wówczas nasz system społeczny znakomicieby się do nich nadawał. Naród daje jakiejś osobie lub pewnej liczbie osób budynki, z rekojmią pobierania za nie renty; osoby zaś te pozostają ich posiadaczami, dopóki płacą. Co do księdza, to jeżeli pewna liczba osób pragnie korzystać z usług jednostki dla jakichś celów własnych, niezależnie od ogólnej religijnej postugi narodowej, może ona za-

wsze dosięgnąć tego celu, rozumie się za zgodą owej jednostki, zupełnie tak samo, jak zapewniamy sobie usługi naszych redaktorów, wykreślając z ich kart kredytowych pewne odszkodowanie dla narodu za utratę ich usług w przemyśle ogólnym. Odszkodowanie to, wypłacone narodowi za jednostkę, odpowiada pensji waszych czasów, którą wypłacano jednostce samej, rozmaite zaś zastosowania tej zasady pozostawiają wolną grę inicjatywie prywatnej we wszystkich takich szczegółach, do jakichby się nie dało zastosować kontroli narodowej. A teraz, co do dzisiejszego kazania, to, chcąc go posłuchać, może pan albo pójść do kościoła, albo też pozostać w domu.

— A jakże będę słyisał, pozostawszy w domu?

— Oto poprostu, towarzysząc nam do pokoju muzycznego o właściwej godzinie i usadowiwszy się na wygodnem krześle. Istnieją jeszcze ludzie, którzy wolą słyiszać kazania w kościele, ale większość naszych przemówień, tak samo jak i utworów muzycznych, odbywa się dziś nie przed publicznością ale w pokojach, urządzonych akustycznie i połączonych drutem z domami przedpłacicieli. Jeżeli pan wolisz iść do kościoła, to miło mi będzie towarzyszyć mu, ale w istocie, nie sądzę, abyś pan gdziekolwiek mógł słyiszeć lepiej i lepsze kazanie, niż tutaj w domu. Z gazety widzę, że tego poranku kazanie będzie miał M^r Barton, on zaś przemawia zwykle tylko przy pośrednictwie telefonu, a liczba słuchaczy jego dosięga częstokroć 150,000.

Nowość doświadczenia, sama możność wysłuchania mowy w takich warunkach musiałaby, nawet

w braku wszelkiej pobudki innej, skłonić mnie do zapisania się na listę słuchaczy M^r Bartona.

W godzinę lub dwie później, kiedym siedział w bibliotece nad książką, Edytha przyszła po mnie i razem udaliśmy się do pokoju muzycznego, gdzie oczekiwali już państwo Leete.

Zaledwieśmy się usadowili wygodnie, gdy rozległ się dzwonek, a w kilka chwil później zwrócił się do nas jakiś głos męzki o natężeniu zwykłej rozmowy, jak gdyby pochodzący od jakiejś niewidzialnej osoby w tym samym pokoju.

Oto, co głos ów mówił:

Kazanie M^r Bartona.

„W ciągu ubiegłego tygodnia mieliśmy pośród siebie krytyka z wieku XIX, żywego przedstawiciela epoki naszych pradziadów. Dziwnem byłoby, gdyby fakt tak niezwykły nie oddziałal silnie na naszą wyobraźnię. Być może, większość z pomiędzy nas usiłowała z tego powodu wyobrazić sobie społeczeństwo z przed lat stu, oraz przedstawić, jakim musiało być wówczas życie. Zapraszając was teraz, abyście roztrząsnęli wraz ze mną pewne, ściągające się do tego przedmiotu uwagi moje, przypuszczam, że idę w tem raczej za biegiem, nie zaś przeciwko prądowi waszych myśli własnych”.

W tem miejscu Edytha szepnęła coś ojcu, a ten skinąwszy głową, zwrócił się do mnie:

— Panie West, Edytha zwraca moją uwagę, iż treść kazania M^r Bartona może być dla pana nieco żenującą, jeśli tak, to, nie pozbawiając siebie możności wysłuchania innego kazania, możesz pan nie

słuchać M^r Bartona. Jeśli pan zechcesz, Edytha połączy nas z pokojem M^r Sweetsera, a i w takim razie mogę zapowiedzieć panu kazanie bardzo dobre.

— Nie, nie, rzekłem, wierzajcie mi państwo, o wiele bardziej wolałbym słyszeć, co powie M^r Barton.

— Jak się podoba— odrzekł mój gospodarz.

W czasie przemówienia ojca, Edytha dotknęła się była szrubki, a głos M^r Bartona umilkł nagle. Teraz za drugiem jej dotknięciem pokój znowu napętnił się sympatycznymi tonami, które już zrobiły były na mnie wrażenie jaknajkorzystniejsze.

„Poważę się przypuścić, iż jeden wynik ogólny owego wysiłku spójrzania wstecz był wspólny nam wszystkim, oraz, że wprowadził on nas w większe, niż kiedykolwiek bądź, zdumienie na widok potężnej zmiany, jaką jedno krótkie stulecie sprowadziło w materialnem i moralnem położeniu ludzkości.

Jeszcze co do różnicy pomiędzy ubóstwem narodu i wogóle świata wieku XIX, oraz bogactwem ich dzisiejszem, to różnica ta, być może, nie jest większą od takiej, jaką już napotymano nieraz w dziejach ludzkości, nie jest większą, np. niżli różnica pomiędzy ubóstwem tego kraju w ciągu najwcześniejszego okresu osadnictwa w wieku XVII, oraz wielkimi bogactwami, jakich dosięgnął on ku końcowi XIX stulecia, albo też Angliją z czasów Wilhelma Zdobywcy a z czasów Wiktorji. Jakkolwiek ogólny zasób bogactw narodowych nie był wówczas, tak jak dziś, dokładnym probierzem ekonomicznego położenia, to jednak przykłady powyższe pozwalają choć w części rozumieć różnicę stanu materialnego

pomiędzy wiekiem XIX, a XX. Ale dopiero wtedy, gdy na przeciwieństwo tych dwóch stuleci spojrzemy od strony ich moralnej, znajdziemy się wobec zjawiska, któremu równego nie przedstawia historyja najdalszej nawet przeszłości. Usprawiedliwionym napewno byłby ten, ktoby wykrzyknął: jest w tem coś cudownego. Niemniej wszakże, gdy, zaniechawszy płonnego podziwu, poczniemy badać krytycznie owo zjawisko, znajdziemy, iż nie zawiera ono w sobie nic tak dziwnego, a tembardziej nic tak cudownego. Nie potrzeba przypuszczać jakiegoś moralnego odrodzenia się ludzkości, całkowitej zagłady złych i ostania się przy życiu dobrych, aby fakt ten sobie wytłumaczyć. Proste i oczywiste jego objaśnienie znajdujemy w oddziaływaniu zmienionego otoczenia na przyrodę ludzką. Znaczy on tylko, że owa postać społeczności, wsparta na pseudointeresie samolubstwa i odwołująca się jedynie do antyspołecznej i brutalnej strony ludzkiej przyrody, zastąpioną została przez urządzenia, mające u podstawy swej istotny pożytek racjonalnej bezinteresowności i odwołujące się do społecznych i szlachetnych instynktów ludzkich.

Przyjaciele moi, gdybyście chcieli ujrzeć znów ludzi również dzikimi zwierzętami, jakimi byli oni w wieku XIX, to należałoby tylko przywrócić dawny system społeczny i przemysłowy, który kazał widzieć w bliźnich zdobycz ich naturalną i znajdować zysk w stracie innych. Niewątpliwie sądzicie, iż żadna, najsrozsza konieczność nie skusiłaby was do utrzymywania się kosztem tego, co większa jakaś biegłość lub siła pozwoliłaby wam wydrzeć innym ludziom, równie potrzebującym. Ale przypuszczać, że

odpowiedzialni jesteście nietylko za własne swe życie. Wiem dobrze, iż wśród naszych przodków było wielu takich ludzi, którzy, gdyby chodziło tylko o ich życie własne, byłiby raczej postradali je, lecz nie żywili się chlebem wydartym innemu. Ale nie wolno było im tak postąpić. Zależało od nich życie innych, drogich im istot. Mężczyźni kochali kobiety, tak samo jak dzisiaj. Bóg raczy wiedzieć, w jaki sposób odważali się oni być ojcami, lecz bądź co bądź miewali dzieci, niewątpliwie tak miłe dla nich, jak nasze są dla nas, a które potrzeba było żywić, ubierać i kształcić. Najłagodniejsza istota stanie się okrutną, gdy musi zdobywać utrzymanie dla swego potomstwa, w owej zaś społeczności wilczej walka o chleb nadawała cechę rozpaczłą najtkliwszym uczuciom. Dla dobra istot od siebie zależnych człowiek, nie chcący nawet, musiał wówczas pogrążyć się w zaciętej walce—oszukiwać, zdradzać, udawać, przemycać, kupować poniżej wartości, sprzedawać po nad wartość, podkopywać przedsiębiorstwa, przy pomocy których sąsiad jego karmił swoje dzieci, kusić ludzi do kupowania tego, czego kupować nie byli powinni, do sprzedawania tego, czegooby nie sprzedali, krzywdzić swych pracowników, uciskać dłużników, zarywać wierzycieli. Szukając, bodaj z płaczem, środków zarobienia na życie i utrzymanie rodziny, mężczyzna z wielką trudnością znajdował je inaczej, jak chyba tylko zdławiwszy jakiegoś słabszego współzawodnika i odjąwszy mu od ust jego pokarm. Nawet słudzy religii nie byli wolnymi od tej srogiej konieczności. Podczas kiedy sami oni przestrzegali swoją trzodę przed miłością mamony,

wzgląd na ich rodzinę własną zmuszał ich oglądać się na pieniężne wynagrodzenie ich posług. Biedacy! ciężką była ich sprawa—kazać ludziom o szlachetności i bezinteresowności, które, jak sami oni i wszyscy zresztą widzieli, w ówczesnym stanie rzeczy musiały doprowadzać do ubóstwa każdego, ktoby je praktykował przedstawiać ludziom prawidła postępowania, do gwałcenia których zmuszało każdego prawo samozachowania. Patrząc na nieludzki obraz ówczesnej społeczności, godni ci mężowie gorzko użalali się na nieprawość przyrody ludzkiej, jak gdyby anielska nawet przyroda nie byłaby się znieprawiała w takiej szkole djabelskiej. Ach! przyjaciele moi, wierzajcie mi, nie w naszym to wieku szczęśliwym ludzkość składa dowody, iż ma w sobie pierwiastek boskości. Stwierdziła to ona raczej za owych dni niedobrych, kiedy nawet zapasy wzajemne o życie, walka o samo istnienie, w której miłosierdzie byłoby szaleństwem, nie zdołały całkowicie wygnać szlachetności i miłości z powierzchni ziemi.

Nie trudno jest zrozumieć, z jaką rozpaczą ci z pomiędzy mężczyzn i kobiet, którzy w innych warunkach byliby pełni prawdy i łagodności obyczajów, musieli walczyć i szarpać się wzajem w zapasach o złoto, nie trudno zrozumieć to, gdy przedstawimy sobie, czem była wówczas przegrana, czem było ubóstwo. Dla ciała było ono głodem i pragnieniem, męką upału i chłodu, opuszczeniem w chorobie, znojem nieustannym w zdrowiu; dla moralności znaczyło tyle, co ucisk, pogarda, cierpliwe znoszenie poniewierki, bydlęcego towarzystwa od pierwszych dni życia, tyle co utrata wszelkiej niewin-

ności od dziecka, utrata kobiecego wdzięku i godności męskiej; dla umysłu było ubóstwo śmiercią niewiadomości, zamarciem wszystkich zdolności, odróżniających nas od zwierząt, sprowadzeniem całego życia do samych tylko czynności cielesnych.

„Ach, przyjaciele moi, gdyby wam i dzieciom waszym ofiarowano los taki, jako jedyną alternatywę powodzenia w zdobywaniu bogactw, to czyż sądzicie, że długo moglibyście nie zniżyć się do moralnego poziomu waszych przodków?

„Przed jakimiś dwoma lub trzema wiekami popełniono w Indyjach pewien akt barbarzyństwa, któremu, chociaż liczba jednostek wówczas wymordowanych była nieznaczna, towarzyszyły takie okropności, iż pamięć o nich chyba się uwieczni. Pewną liczbę jeńców angielskich zamknięto w pokoju, za wierającym powietrza mniej, niż potrzeba było dla dziesiątej ich części. Nieszczęśliwi ci byli to dzielni ludzie, towarzysze oddani sobie w potrzebie, ale kiedy męki duszenia się poczęły im grozić z bliska zapomnieli oni o wszystkim i wszczęli potworną walkę, w której każdy, idąc przeciwko pozostałym, usiłował zdobyć dla siebie dostęp do jedyne go małego otworu, przez który można było zaczerpnąć świeżego powietrza. Była to walka, w której ludzie stawali się zwierzętami, opowiadanie zaś o jej okropnościach przez kilku pozostałych przy życiu, tak dalece raziło zmysł moralny naszych praojców, iż w sto lat później znajdujemy w piśmiennictwie ich odnośne sprawozdanie, jako typowy przykład najskrajniejszej, zarówno fizycznej jak i moralnej nędzy ludzkiej. Nie przewidywali oni zapewne, że

owa Czarna Jama kalkucka z jej natłokiem oszalałych ludzi, szarpiących się i tratujących wzajem w walce o dostęp do przewiewnego otworu, będzie dla nas właśnie uderzającym odtworzeniem społeczności ich czasów. Porównanie to jednak nie byłoby dokładnem, gdyż w Czarnej Jamie Kalkuty nie było ani wątłych kobiet, ani dzieci drobnych, ani starców płci obojga, ani ułomnych. Wszyscy, którzy tam cierpieli, byli przynajmniej ludźmi dość silnymi.

Gdy pomyślimy, że dawny porządek rzeczy, o jakim właśnie mówiłem, panował aż do końca wieku XIX, kiedy tymczasem nowy ustrój, który nastąpił po nim, wydaje się nam dzisiaj starym, gdyż nawet rodzice nasi nie znali innego, to nie możemy nie zdumiewać się nad szybkością, z jaką nastąpić musiała ta zmiana tak głęboka, iż podobnej nie pamiętają dzieje ludzkości. Jednakże, niejaki zastanowienie się nad stanem umysłów z ostatniej ćwierci wieku XIX w znacznej mierze rozproszy owo nasze zdumienie. Jakkolwiek nie można powiedzieć, iżby istniało wówczas wśród jakiejkolwiek społeczności wykształcenie ogólne w nowożytnem tego wyrazu znaczeniu, to jednak, w porównaniu z pokoleniami ubiegłymi, ówczesne pokolenie było inteligentne. Nieuchronnem następstwem tej względnej nawet inteligencji było dostrzeganie braków społecznego ustroju tak powszechne, jak nigdy jeszcze przedtem. Prawda, że braki owe w wiekach dawniejszych były jeszcze o wiele większe; ale teraz odsłoniła je spotęgowana inteligencyja mas tak samo, jak świt odsłania przed nami brudy naszego otoczenia, które

w ciemnościach mogły jeszcze uchodzić. Górującą nutą w piśmiennictwie owego okresu było współczucie dla biednych i nieszczęśliwych, oraz krzyk oburzenia przeciwko nieudolności urządzenia machiny społecznej, gdy szło o poprawę nędzy ludzkich. Z tych wylewów uczuć widocznem było, że moralną przyrodę owych nędz, tu i owdzie przynajmniej, w zupełności uprzytomniali sobie najlepsi ludzie owego czasu, oraz, że życie najtkliwszych i najszlachetniejszych z pomiędzy nich stawało się wprost nieznośnem dla nich ze względu na męczarnie współczującego serca.

Jakkolwiek idea pewnej jedności życiowej wśród wielkiej rodziny ludzkiej, jakkolwiek rzeczywistość ludzkiego braterstwa nie uchodziły wówczas jeszcze bynajmniej za taki pewnik, jakimi są dla nas dzisiaj, to jednak błędem byłoby przypuszczać, iż nie istniały wówczas odpowiadające jako tako tym ideom uczucia. Mógłbym wam przeczytać niektóre prześliczne ustępy z ich pisarzy, świadczące, iż niektórzy byli już wytworzyli sobie odnośne pojęcia z całą wyrazistością, wielu zaś blizkimi byli ich wytworzenia. Co większa, nie należy zapominać, że wiek XIX był z nazwy wiekiem chrześcijańskim, zaś ten fakt, że cały przemysłowy i handlowy ustrój społeczny był wcieleniem ducha antychrześcijańskiego, musiał być też posiadać pewną wagę, jakkolwiek powiedziałbym, dziwnie małą, jak na jawnych wyznawców Chrystusa.

Gdy zbadamy, dlaczego fakt ten nie ważył więcej, dlaczego wogóle już znacznie później, kiedy ogromna większość ludzi zgadzała się co do krzy-

czących nadużyć istniejącego porządku społecznego, znoszono go jednak lub spierano się o drobne reformy, kiedy poczniemy badać to wszystko, natrafimy na pewien fakt niezwykle. Nawet najlepsi ludzie owej epoki wierzyli wówczas, że jedynie stałymi pierwiastkami przyrody ludzkiej, na jakich bezpiecznie można było oprzeć ustrój społeczny, były jej skłonności najgorsze. Uczono ich i wierzyli też, że chciwość i samolubna pogoń za zyskiem były jedynym spoidłem ludzkości, oraz, że wszelkie stowarzyszenia ludzkie rozpadłyby się zaraz, gdyby uczyniono cokolwiek w celu stępienia ostrości tych pobudek lub pohamowania ich wpływu. Słowem, wszyscy, nawet ci, którzy mówili inaczej, wierzyli w coś całkiem przeciwnego temu, co nam wydaje się tak oczywistym dzisiaj, wierzyli oni, że antyspołeczne przymioty ludzi, nie zaś ich przymioty społeczne, były źródłem sił spajających społeczeństwo. Wydawało się im rzeczą słuszną, iż ludzie żyli ze sobą jedynie w celu wzajemnego uciskania się i oszukiwania, oraz, że podczas, gdy społeczeństwa dające wolne ujście owym skłonnościom, mogły być trwałe, to natomiast niewielką możność ostania się przy życiu miałyby społeczność, wspierająca się na idei współdziałania—ku dobru wszystkich. Wydaje się dziś niedorzecznością przypuszczać, iżby kiedykolwiek ludzie mogli bronić przekonań podobnych; jednakże faktem jest jaknajzupełniej przez historję stwierdzonym, że nietylko praojcowie nasi mieli takie poglądy, ale że nadto były one przyczyną długiego odraczania przeobrażeń społecznych nawet wówczas, gdy powszechnie uznawano, iż wady sta-

rego porządku są nie do zniesienia. W tem właśnie znajdziecie wytłomaczenie głębokiego pesynizmu piśmiennictwa ostatniej ćwierci wieku XIX, źródło melancholii ich utworów poetyckich, oraz cynizmu ich humoru.

Czując, że położenie rodu ludzkiego jest nieznośnem, nie mieli jednak ludzie żadnej wyraźnej nadziei czegoś lepszego. Mniemali oni, że rozwój ludzkości wprowadził ją ostatecznie w jakąś matnię ślepa, z której nie można się było wydostać. O nastroju umysłów owoczesnych w uderzający sposób świadczą pewne traktaty, które dotrwały do czasów naszych, a z którymi ciekawsi mogą zapoznać się nawet w naszych księgozbiorach; w rozprawach tych pracowicie zbiera się dowody dla wykazania, iż na-przekór wszelkim nędzom ludzkim, życie, dzięki słabej przewadze stron dobrych, było prawdopodobnie czemś lepszem, niż niebyt. Pogardzając sobą, pogardzili też oni swym Stwórcą. Zapanował wówczas powszechny upadek religii. Zaledwie blade i nieśmiałe odbłyски spadały na ziemski chaos z nieba, grubo przesłoniętego zwątpieniem i strachem. Nam dzisiaj wydaje się to godnem pożałowania szaleństwem, iż ludzie mogli wątpić o Tym, którego technie nie tkwiło w ich piersiach, lub obawiać się rąk, które ich kształtowały; ale musimy przypomnieć sobie, że dzieci odważne w dzień, żywią niekiedy niedorzeczną obawę w nocy. Po owej dobie mrocznej zapanował już świt. W wieku XX bardzo łatwo jest wierzyć w dobroć ojcowską Boga.

Pobieżnie, jak na to pozwalał charakter mego przemówienia, zwróciłem tu uwagę na niektóre z przy-

czyn, co przygotowały umysł ludzki do zmiany starego porządku na nowy, jak również wskazałem przyczyny owego rozpaczego konserwatyzmu, który przez chwilę powstrzymywał ludzi od reform nawet wtedy, gdy czas ich nadszedł. Dziwić się szybkości, z jaką zmiana się odbyła, kiedy po raz pierwszy zrozumiano jej możliwość, byłoby to zapominać o zaraźliwym wpływie nadziei na umysły ludzkie, zdawna przyzwyczajone do rozpacz. Blask słoneczny po tak długiej a ciemnej nocy musiał nieuchronnie olśniewać. Z chwilą kiedy ludzie pozwolili sobie uwierzyć, że ludzkość ostatecznie nie jest przeznaczoną na zmarnienie, że jej skurczona postawa nie dawała jeszcze miary możliwego jej rozrostu, lecz, że stała ona na wyżynach nieograniczonego rozwoju, wówczas z konieczności musiano wpaść w zachwyt. Oczywiście jest, że nic nie mogło powstrzymać entuzjazmu, jakim natchnęła nowa ich wiara.

Tutaj nareszcie, ludzie musieli to uczuwać, miano do czynienia z przyczyną, w porównaniu z którą wszystkie największe przyczyny historyczne były czemś trywialnem. Zapewne dla tego, iż mogłaby była ona powołać miliony męczenników, ani jednego z nich nie było potrzeba. Zmiana dynastji w jakimś drobnem królestwie starego świata kosztowała częstokroć więcej istnień ludzkich, niżli przewrót, który nakoniec postawił stopy ludzkości na właściwej drodze.

Każdy, komu dozwolonem jest korzystać z dobrodziejstw życia naszej świetnej epoki, uważałby niewątpliwie za szaleństwo pragnienie jakiegoś innego losu; a jednak, co do mnie, to często myślałem

sobie, że byłbym śmiało zamienił mój udział w tym złotym, pogodnym wieku na miejsce w owej burzliwej epoce przejściowej, kiedy bohaterowie zdobywali szturmem zaparte wrota przyszłości, odsłaniając zdumionemu oku ludzkości beznadziejnej—zamiast niemej ściany, zamykającej jej drogę, widoki postępu, którego koniec, samym nadmiarem swego światła, olśniewa nas dziś jeszcze. O, przyjaciele moi, któż powie, że życie wówczas, kiedy wpływ najsłabszy był dźwignią, za dotknięciem której drżały stulecia, że życie takie nie było warte udziału nawet w tej naszej epoce owocodajnej?

Znacie historję owej ostatniej największej i najbardziej bezkrwawej rewolucyi. W ciągu jednego pokolenia ludzie zarzucili społeczne tradycyje i praktyki barbarzyńców i przybrali porządek społeczny, godny istot rozumnych i prawdziwie ludzkich. Zaniechawszy zwyczajów łupieżczych, stali się oni współpracownikami i w braterstwie znaleźli jednocześnie naukę z bogacenia się i szczęśliwości. „Co będę jadł i pił, czem się przyodziewać będę?”—takie, zamknięte w sobie zagadnienie nie miało ani rozwiązania ani końca; ale z chwilą, gdy tylko postawiono je na gruncie nie indywidualizmu, lecz braterstwa: „Co będziemy jedli i pili i w co się przyodziewać będziemy?”—trudności jego znikły.

„Ubóstwo i wysługiwanie się, dla ogółu ludzkości, były następstwem usiłowań, podejmowanych w celu rozwiązania ze stanowiska indywidualnego zagadnień o utrzymaniu bytu, ale gdy tylko naród stał się jedynym kapitalistą i pracodawcą, natychmiast dostatek zajął miejsce ubóstwa, a nadto, ostatnie śla-

dy niewoli człowieka u człowieka znikły z oblicza ziemi. Niewolnictwo, tak często rażone napróżno, otrzymało cios śmiertelny. Środki utrzymania, nie przechodząc już jak jałmużna od mężczyzny do kobiety, od bogatych do biednych, od pracodawcy do najemnika—płynęły raczej ze wspólnego zasobu, jak pośród dzieci znajdujących się u stołu rodzicielskiego. Niemożliwością stało się dla człowieka używanie bliźnich, jak narzędzi jego własnego zysku. Szacunek stał się jedynym rodzajem zapłaty, na jaką mógł się on zdobyć. Nie było ani arogancyi, ani służalczości we wzajemnych stosunkach ludzkich. Po raz pierwszy od czasu stworzenia każdy człowiek stał prosto przed Bogiem. Obawa niedostatku i pragnienie zysku przestały być pobudkami działania z chwilą, gdy obfitość zapewniono wszystkim, zaś nieumiarkowane posiadanie wszystkim uniemożliwiono. Nie było już ani żebraków, ani rozdawców jałmużny. Wobec sprawiedliwości miłosierdzie nie miało nic do roboty. Dziesięcioro przykazań stały się niemal rzeczą przestarzałą—w świecie, gdzie nie było pokusy do kradzieży, sposobności do kłamstwa—bądź z obawy, bądź też z pochlebstwa, gdzie nie było miejsca dla zawiści, gdyż wszyscy byli równi, oraz gdzie słabą była zachęta do gwałtów, gdyż ludzie pozbawieni zostali władzy krzywdzenia siebie. Dawne marzenie człowieczeństwa o wolności, równości i braterstwie—wysmiewane przez tyle wieków—urzeźwiwiło się w końcu.

Tak samo, jak w społeczności dawnej jednostki szlachetne, sprawiedliwe, o sercu tkliwym znajdowały się w położeniu niekorzystnym z powodu posiada-

nia tych przymiotów, tak w nowem społeczeństwie ludzie oziębli, chciwi i samolubni, widzą się wyłączonymi z pośród świata swych bliźnich. Dzisiaj, kiedy po raz pierwszy warunki życia przestały działać, jako czynniki, sprzyjające rozwojowi brutalnych cech ludzkiej przyrody, kiedy nagroda, zachęcająca dotąd do sobkownstwa, nietylko została mu odjęta, ale stała się udziałem przymiotów przeciwnych, po raz pierwszy można się przekonać, czem istotnie jest niespaczona natura ludzka. Ujemne skłonności, które dawniej przerastały sobą i zaciemniały tak bardzo lepszą część ludzkiej istoty, teraz zwiędły, jak grzyby piwniczne na otwartem powietrzu, zaś przymioty szlachetniejsze zakwitły nagle z takim przepychem, iż cynicy stali się chwałcami człowieka; po raz pierwszy w dziejach ludzkość doznała pokusy zakochania się w sobie. Niebawem też objawiło się to, czemu nigdy nie byliby uwierzyli prorocy i myśliciele świata starego, że przyroda ludzi w samej istocie swojej dobrą jest, nie złą, że ludzie z przyrodzonych skłonności swoich i ustroju są szlachetni, nie zaś samolubni, litościwi, nie zaś okrutni, przyjaźnielscy, nie zaś kłótniwi, że są podobni Bogu z aspiracyj swych, że w instynktach mają boskie popędy tkliwości i poświęcenia, że są istotnie obrazem Boga, nie zaś parodują jego, jaką się być wydawali. Stały, w ciągu pokoleń niezliczonych trwający, ucisk warunków życia, który aniołów mógłby znieprawić, nie był jednak zdolnym zmienić zasadniczo przyrodzonej szlachetności rodu ludzkiego, kiedy zaś warunki owe usunięto, ludzkość natychmiast, jak drzewo uprzednio zgięte, odzyskała właściwą sobie postawę wyprostowaną.

Przedstawiając rzecz całą w formie przypowieści, porównam ludzkość dawniejszą do krzewu róży, zasadzonego na wilgotnym, przesiąkniętym wodą bagnistą gruncie, oddychającego w dzień mgłą, nasyconą miazmatami, a w nocy ziębionego rosą trującą. Niezliczone pokolenia ogrodników dokładały wszelkich starań, aby go doprowadzić do kwitnięcia, ale oprócz ukazującego się tu i owdzie, nawpół rozchylonego pączka z robakiem we wnętrzu, usiłowania ich nie dawały żadnych a żadnych owoców. Wielu twierdziło, że roślina ta nie była wcale krzewem różanym, lecz że był to chwast szkodliwy, godny jedynie wyplenia i spalenia go. Orodnicy jednakże utrzymywali najczęściej, że krzak ów należał do rodziny różowatych, lecz że miał on w sobie jakąś skazę nie wykorzenioną, co przeszkadzała mu wydawać pączki i była przyczyną jego niemocy ogólnej. Byli jednak i tacy, którzy oświadczali, że sam szczep był dosyć dobry, że przyczyna złego tkwiła w bagnie, oraz, że w warunkach bardziej przyjaznych roślina, należało się tego spodziewać, byłaby lepsza. Ale osoby takie nie były urzędowymi ogrodnikami, że zaś ci ostatni patrzyli na nich z pogardą, nazywając teoretykami i marzycielami, więc najczęściej i ludność całą zapatrywała się na nich tak samo. Co większa, niektórzy z wybitnych moralistów utrzymywali, iż, nawet zgadzając się z tem, że krzew mógłby rozwijać się lepiej na innym gruncie, należało mniemać, że lepszą będzie szkołą dla pączków owo usiłowanie zakwitnięcia w bagnisku, niż w warunkach bardziej przyjaznych. Pączki, którym udawało się rozwinąć, były, wprawdzie, bardzo rzadkie, kwiaty zaś blade

i bez zapachu, ale przedstawiały one o wiele więcej moralnego wysiłku, niż byłyby przedstawiały wówczas, gdyby samorzutnie zakwitły sobie w ogrodzie.

Ogrodnicy przysięgli i moralisci postawili na swoim. Krzew korzenił się dalej w bagnisku, podlegając takiemuż, jak dawniej, pielęgnowaniu. Ustawicznie dawano korzeniom coraz to nowe rodzaje mikstur pokrzepiających, a dla zabicia robactwa i usunięcia rdzy przepisywano coraz to inne recepty niezliczone, z których każda, zdaniem swego obrońcy, miała być najlepszą i jedynie praktyczną. Trwało to przez czas bardzo długi. Niekiedy jaki taki oznajmiał, iż spostrzega pewną poprawę w zewnętrznym wyglądzie krzewu, ale było również wielu takich, którzy oznajmiali, iż wygląda on gorzej, niż zwykle. Ostatecznie, trudno było zaznaczyć jakąś zmianę wybitniejszą. Nakoniec, w okresie powszechnego zwątpienia co do przyszłości krzewu na tym samym gruncie, podjęto na nowo myśl przesadzenia go; tym razem znalazła ona uznanie. „Spróbujmy tego, wołano ogólnie. Może lepiej chować się będzie gdzieindziej; tutaj nawet wątpić wolno, czy go warto uprawiać dłużej”. Stało się, w ten sposób, że drzewo ludzkości przesadzonem zostało na rolę pulchniejszą, ogrzaną, suchą, gdzie się kąpać mogło w promieniach słońca, gdzie uśmiechały się doń gwiazdy, gdzie pieścił je wiatr południowy. Okazało się wówczas, że był to istotnie krzew różany. Robactwo i rdza znikły, a krzew okrył się najpiękniejszymi różami czerwonymi, których wonie świat zalewały.

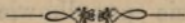
Rękojmią przeznaczeń naszych na ziemi jest to, iż Stwórca w sercach naszych złożył niedościgły ideał doskonałości, w zestawieniu z którym przeszłe nasze dzieła wydają się nam zawsze nieznacznymi, zaś cel przyszłości jednako zawsze odległym. Gdyby praojcowie nasi mogli wyobrazić sobie taki stan społeczeństwa, w którym ludzie żyją razem, jak bracia, w zgodzie i zjednoczeniu, bez zawiści i swarów, bez gwałtów i oszustwa, gdzie za cenę pracy w obranym przez nich zawodzie, nie większej, niż ta, jakiej domaga się zdrowie, mogą oni być całkiem wolnymi od troski o jutro i nie więcej kłopotać się o utrzymanie życia od drzew, zraszanych stale przepływającym strumieniem, gdyby, powiadam, wyobrazili sobie taki stan rzeczy, wydawałby się on dla nich rajem. Braliby go za jedno ze swoim wyobrażeniem nieba i nie śniłoby się im nawet, że po za tem może istnieć coś jeszcze, czego można byłoby pragnąć, lub do czego by jeszcze dążyć było można.

Tymczasem jednak, jakże jest z nami, którzyśmy już dosięgli owych wyżyn, na jakie oni mogli tylko spoglądać? Jużeśmy prawie zapomnieli—z wyjątkiem takich wypadków, kiedy coś szczególnego przywieździe nam to na myśl—że nie zawsze było tak ludziom, jak jest dzisiaj. Przedstawienie sobie społecznych urządzeń naszych przodków bezpośrednich wymaga już od nas pewnego wysiłku wyobraźni. Znajdujemy, iż były one zbyt pierwotnymi. Takie rozwiązanie sprawy fizycznego utrzymania się, iż wygnaną została i troska i zbrodnia, nie tylko nie wydaje nam się jakimś kresem ostatecznym, ale wygląda w naszych czasach, jako przygotowanie do czegoś,

co naprawdę będzie istotnym postępowaniem ludzkim. Uwolniliśmy się tylko przez to od nieznośnej i niepotrzebnej zawady, przeszkadzającej niegdyś naszym przodkom w ściganiu istotnych celów życia. Tylkośmy się rozebrali do wyścigu—nie więcej. Jesteśmy jak dziecko, które dopiero co nauczyło się stać prosto i chodzić. Ze stanowiska dziecka pierwsze jego kroki są wydarzeniem wielkim. Wyobraża ono może wówczas, iż po za tem niewiele już pozostaje do zrobienia, ale po roku już zapomina, że nie zawsze chodzić mogło. Tylko widnokrąg jego się rozszerza w miarę rośnięcia i ustępuje przed nim, gdy się ono porusza. W pewnym znaczeniu pierwszy krok jego był wypadkiem istotnie wielkim, lecz tylko jako początek, nie zaś jako koniec. Dopiero wówczas rozpoczyna ono swój zawód. Uwolnienie się ludzkości w stuleciu ostatniem od nadmiaru pracy umysłowej i fizycznej, od myślenia li tylko o potrzebach ciała, można uważać jak gdyby za powtórne narodziny rodzaju ludzkiego, bez których pierwsze jego urodzenie się, rozpoczęcie istnienia, będącego tylko ciężarem, byłoby pozostało na zawsze rzeczą nieusprawiedliwioną; dzisiaj otrzymała za nią ludzkość sowite odszkodowanie. Tak więc, ludzkość weszła w nową fazę duchowego rozwoju, w fazę ewolucji zdolności wyższych, których nawet istnienia w ludzkiej przyrodzie przodkowie nasi prawie nie podejrzewali. Zamiast okropnej beznadziejności wieku XIX, zamiast głębokiego pesymizmu co do przyszłości człowieczeństwa, ożywcza idea obecnego wieku jest entuzyjastyczna koncepcja łatwości naszego istnienia ziemskiego i nieskrępowanej możliwości roz-

woju ludzkiej przyrody. Doskonalenie się ludzkości z każdym nowym pokoleniem, pod względem fizycznym, umysłowym i moralnym, uznanem zostało za rzecz wielką, godną w najwyższym stopniu wysiłków i ofiar. Wierzymy, iż rodzaj ludzki po raz pierwszy począł urzeczywistniać ideę Boga, oraz, że każde pokolenie musi być teraz krokiem naprzód.

Zapytacie mię, czego spodziewać się możemy w przyszłości, po przeminięciu pokoleń niezliczonych? Odpowiem, iż droga daleko ściele się przed nami, ale kres jej ginie w potokach światła. Dwojakim bowiem może być powrót człowieka do Boga, „który jest domem naszym”: powrót jednostki drogą śmierci, oraz powrót rodzaju ludzkiego przez wypełnienie przeznaczeń jego, kiedy ukryta w zarodku boska tajemnica weźmie już na się kształt doskonały. Żegnając przeto łąką współczucia mroczną przeszłość, zwróćmy się do olśniewającej przyszłości i, przesłoniwszy oczy nasze, zdążajmy naprzód. Długa i męcząca zima ludzkości już się skończyła. Rozpoczęło się jej lato. Ludzkość przerwała już oponę poczwardki. Niebo jest przed nią!



ROZDZIAŁ XXVII.

Nie wiem dlaczego, ale niedzielne popołudnie w mojem życiu dawniejszem bywało dla mnie zawsze taką porą, kiedy szczególnie podlegał melancholii, kiedy bez widomego powodu wszystkie uroki życia traciły dla mnie swą barwę i kiedy nic nie budziło we mnie zajęcia. Godziny, lecące zawsze dla mnie tak chyżo, traciły siłę lotu, a opadając ku wieczorowi zupełnie na ziemię, wlokły się z wysiłkiem. Być może, wskutek utrwalenia i skojarzenia wyobrażeń, pomimo zupełnej zmiany warunków, popadłem w stan głębokiego przygnębienia, gdy nadeszło popołudnie tej mojej pierwszej niedzieli w wieku XX.

Teraz jednakże już nie melancholija nieokreślona, o jakiej mówiłem, była powodem tego stanu; nie brakło też przyczyny wyraźniejszej, a było nią uczucie, wywołane i usprawiedliwione z pewnością przez moje położenie obecne. Kazanie M^r Bartona z jego ciągłym wskazywaniem owej olbrzymiej przepaści moralnej pomiędzy mojem stuleciem dawniej-

szem a obecnem wpłynęło silnie na spotęgowanie we mnie mego uczucia osamotnienia. Jakkolwiek filozoficznie i względnie się on wyrażał, słowa jego jednakże nie mogły chyba nie odsłonić mi owej mięszaniny ciekawości, litości i odrazy, jaką ja, przedstawiciel epoki wstrętnej, musiałem budzić we wszystkich, co mnie otaczali.

Niezwykła uprzejmość, jaką okazywali mi doktor Leete i jego rodzina, szczególnie zaś dobroć Edythy nie pozwalały mi dotąd uprzytomnić sobie jasno, że istotne ich dla mnie uczucie musiało być takim samem, jak i uczucie całego pokolenia, do którego oni należeli. Uznanie tego faktu, odnośnie do doktora Leete i jego uprzejmej małżonki, jakkolwiek przykre dla mnie, nie przewyższało jednak sił moich; ale przekonanie, że Edytha również musi dzielić ich uczucia, było dla mnie nie do zniesienia.

Przygnębiające wrażenie, jakie wywarło na mnie spóźnione odkrycie tego faktu, tak widocznego, otworzyło mi oczy na jedną okoliczność, której może domyślał się już czytelnik: kochałem Edythę.

Cóż w tem było dziwnego? Wzruszający wypadek, od jakiego rozpoczęło się nasze zbliżenie, kiedy ręce jej wyrwały mnie wprost z wiru obłąkania; ten fakt, że sympatyja jej była technieniem żywem, budzącem mnie do tego nowego życia i dającym siły do zniesienia go; mój nałóg patrzenia na nią, jak na pośrednika pomiędzy mną a światem otaczającym, pośrednika, jakim nie był nawet jej ojciec—takie oto okoliczności spowodowały ów wynik, który dałby się wytłomaczyć już nawet ze względu na niezwykły powab i usposobienie samej jej osoby. By-

ło rzeczą całkiem nieuchronną, iż musiała ona wydawać mi się jedyną kobietą na świecie, a to w znaczeniu odmiennem, niż wszystkim innym kochankom. Dziś, kiedy nagle uczułem całą płonność owych nadziei, jakimi zaczynałem się już ludzi, cierpiełem nietylko tak, jak każdy z zakochanych, ale nadto uczułem rozpaczliwe osamotnienie i opuszczenie ostateczne, jakiego żaden inny najnieszczęśliwszy kochanek nie mógłby uczuć.

Gospodarstwo moi widzieli, iż byłem podupadł na duchu i robili wszystko, co można, aby mnie rozzerwać. Zwłaszcza Edytha niepokoiła się widocznie o mnie; ale z właściwą kochankom przewrotnością, ja, pomimo iż niedawno marzyłem o dostąpieniu czegoś więcej od niej, obecnie widziałem w tem tylko wyraz zwykłej sympatyj i uprzejmości.

Za zbliżeniem się nocy, przesiadawszy w moim pokoju większą część popołudnia, wyszedłem do ogrodu. Dzień się kończył, a w ciepłym, spokojnym powietrzu unosił się jakiś zapach jesieni. Znalazłszy się w pobliżu rozkopu, wszedłem do podziemnej komnaty swojej i usiadłem tam. Tutaj, szeptałem do siebie, tutaj jest jedynie mój dom. Powinienem tu zostać i nie wychodzić nigdzie więcej. Szukając jakiegoś ratunku w znajomem mi otoczeniu, chciałem znaleźć jakby smutną pociechę jakąś we wskrzeszeniu przeszłości, w odtworzeniu sobie kształtów i twarzy, jakie otaczały mnie za mego istnienia dawniejszego. Napróżno jednak. Nie było w nich już życia. Prawie od wieku już gwiazdy spoglądały na grób Edythy Bartlett i na groby wszystkich moich współczesników.

Przeszłość umarła, zdławiona ciężarem stulecia, a terażniejszość była przedemną zamknięta. Nie było dla mnie miejsca nigdzie, nie byłem ani umarłym ani też naprawdę żywym.

— Przebacz mi pan, zem za panem przyszła.

Spojrzałem w górę, Edytha stała we drzwiach komnaty podziemnej, patrząc na mnie z uśmiechem, ale oczami pełnymi współczucia i niepokoju.

— Niech mnie pan odprawi, jeśli mu przeszkadzam—rzekła—ale widzieliśmy, że pan był jakiś smutny, a przecie pan mi obiecał powiedzieć, gdy się zdarzy coś podobnego. Nie dotrzymał pan słowa.

Powstałem, zbliżając się do drzwi i usiłując uśmiechnąć się, ale, jak sędzę, nieszczęśliwie wywiązywałem się z tego zadania, gdyż widok tej miłej istoty znowu, tylko w sposób bardziej dojmujący, uprzytomnił mi przyczynę mojej nędzy.

— Czuję się tylko nieco osamotnionym. Czy nigdy nie przychodziło pani na myśl, iż położenie moje jest w swoim rodzaju tak dalece jedynem, że dla określenia go potrzeba byłoby stworzyć nowy wyraz.

— O, nie powinieneś pan tak mówić, panieś nie powinien pozwalać sobie na takie uczucia, pan nie powinien!—zawołała ona z oczami zwilżonemi—czyliż my nie jesteśmy pańskimi przyjaciółmi, pańska wi-na, gdy nie pozwalasz nam być nimi. Pan nie powinien się czuć samotnym.

— Jesteś pani dobrą dla mnie w stopniu niepojętym; ale czyż sądzisz pani, iż nie wiem, że to tylko litość, słodka litość, ale zawsze litość. Byłbym szaleńcem, gdybym nie wiedział, iż nie mogę

wydawać się pani takim samym, jak inni ludzie jej pokolenia, ale jak jakaś dziwnie bezsilna istota, jak stworzenie jakieś wyrzucone na brzeg nieznanego morza, stworzenie, którego niemoc budzi wasze współczucie, pomimo jego potworności. Ja byłem tak szalonym a pani tak dobrą, iż prawie zupełnie zapomniałem, że tak właśnie być musi, i wyobrażałem sobie, że z czasem będę mógł naturalizować się w tem stuleciu, jakeśmy to mawiali, tak, iż będę się mógł czuć jednym z pomiędzy was i wam wydawać się takim, jak i inni ludzie, was otaczający. Ale kazanie M^r Bartona nauczyło mnie jak płonnem było owo złudzenie, jak wielką musi wydawać się wam dzieląca nas otchłań.

— Och, to przebrzydłe kazanie — zawołała Edytha, głośnym krzykiem wyrażając teraz swoją sympatyję. — Nie trzeba było pozwalać panu słuchać go. Co on tam wie o panu? Czytał gdzieś w starych, zapleśniałych książkach o waszych czasach i koniec. Co się masz pan troszczyć o niego, albo dręczyć się czemkolwiek bądź, co on powie. Czyż nie to dla pana nie znaczy, że my, którzy go znamy, inaczej czujemy? Czyż nie więcej idzie panu o to, co my o panu myślemy, niż o to, co myśli on, który pana nigdy nie widział. O, panie West, pan nie może sobie wyobrazić, co ja czuję, widząc pana tak wątpięcym. Ja nie mogę tego tak pozostawić. Cóżby tu panu powiedzieć? Jak przekonać, pana o ile odmiennemi są nasze względem niego uczucia od tego, co pan o nich myśli.

Tak samo jak i w owej innej chwili krytycznej, gdy przychodziła do mnie, wyciągnęła teraz ku mnie

ręce z ruchem, niosącym pokrzepienie, tak samo też jak wtedy, pochwyciłem je i zatrzymałem w mych dłoniach; pierś jej falowała silnem wzruszeniem, a lekkie drzenie palców, które ścisnąłem, uwydatniało jeszcze bardziej głębie jej uczucia. Na twarzy jej litość staczała jakąś boską walkę z przeszkodami, które ją ubezwładniały. Współuczucie kobiety nigdy z pewnością nie przywdziewało wyrazu bardziej powabnego.

Pod wrażeniem piękności takiej i dobroci serce zupełnie mi ztajało; sądziłem też, że najwłaściwszą tutaj odpowiedzią byłoby wyznanie jej całej prawdy. Rzecz prosta, nie miałem ani iskierki nadziei, ale z drugiej strony nie mogłem się też obawiać jej gniewu. Była na to zbyt litościwą. To też naraz rzekłem:

— Bardzo niewdzięczny jestem, żem się nie zadowolnił uprzejmością, jaką pani mi okazywała i okazuje teraz. Ale czyż pani jest o tyle ślepa, że nie widzi, dla czego uprzejmość ta nie wystarcza do mego szczęścia. Czy nie widzi pani, iż byłem dość szalony, aby cię pokochać.

Przy ostatnich słowach, zarumieniła się mocno i opuściła oczy, ale nie uczyniła żadnego wysiłku w celu usunięcia rąk swoich z mych dłoni. Przez kilka chwil stała tak, drżąc zlekka. Później, pokraśnawszy jeszcze mocniej, ale z uśmiechem czarującym podniosła wzrok na mnie.

— Jesteś pan pewny, że nie pana to dotknęła ślepotą—odrzekła.

To było wszystko, ale też dość tego było, gdyż słowa te oznajmiały mi, że, jakkolwiek niewytłoma-

czonem, niewiarogodnemby się zdawało, promienne to dziecię złotego wieku obdarzyło mnie nietylko litością swoją ale i miłością. A jednak, nawpół wierząc prawie, iż jestem we władzy jakiejś halucynacyi błogosławionej, pochwyciwszy ją w moje ramiona, krzyknąłem.

— Jeslim postradał zmysły, pozwól mi tak pozostać.

— O mnie to chyba pan pomyśli, że zmysły postradała—rzekła, wrywając się z mych objęć, gdy zaledwie zdołał zakosztować słodczy jej ust. — Ach Boże, co pan musi myśleć o mnie, że zmysły rzuciła w objęcia człowieka, którego znam zaledwie od tygodnia? Nie myślałam, że pan to odkryje tak wcześnie, ale takem się smuciła z powodu pana, nie pamiętałam, co mówię. Nie, nie, musisz pan nie dotykać się mnie, dopóki się nie dowiesz, kim jestem. Później, mój panie, będziesz mnie pan bardzo pokornie przeproszał za to, żeś myślał, jak tego jestem pewna, iż zbyt pośpiesznie zakochałam się w panu. Kiedy się pan dowiesz, kim jestem, zmuszony będziesz wyznać, że wprost obowiązkiem moim było pokochać cię przy pierwszym wejrzeniu, i że każda dziewczyna z sercem nie byłaby postąpiła inaczej na mojem miejscu.

Jak można przypuszczać, chętniebym się zgodził na pominięcie wszelkich objaśnień, ale Edytha okazała się stanowczą co do tego, iż nie będzie żadnych pocałunków, dopóki obalonemi nie zostaną wszelkie podejrzenia, że zbyt pośpiesznie mogła ona darzyć swemi uczuciami; musiałem też pójść za nią do domu po rozwiązanie słodkiej zagadki. Przy-

szedłszy do pokoju matki, szepnęła jej coś zarumieniona do ucha i wybiegła z pokoju, pozostawiając nas samych.

Okazało się wówczas, że jakkolwiek dziwną była moja przygoda, dopiero teraz miałem zapoznać się z rysem jej najdziwniejszym. Od pani Leete dowiedziałem się, że Edytha była prawnuczką nie kogo innego, jak tylko mojej pierwszej kochanki Edythy Bartlett.

Oplakawszy mnie, po latach czternastu, zawarła ona małżeństwo, oparte tylko na szacunku i dała życie synowi, który był ojcem pana Leete. Pani Leete nigdy nie widziała swojej babki, lecz słyszała o niej wiele i, kiedy urodziła się jej córka, dała jej również imię Edythy. Fakt ten mógł przyczynić się do rozbudzenia w dziewczynce, gdy urosła, większego zajęcia się tem wszystkim, co dotyczyło jej prababki, a szczególnie tragicznych dziejów domniemanej śmierci w płomienach palącego się domu kochanka jej, którego miała poślubić. Była to opowieść, mogąca łatwo obudzić sympatyję romantycznej dziewczyny, zaś ten fakt, że krew nieszczęśliwej bohaterki płynęła również i w jej żyłach, potęgował naturalnie zajęcie się Edythy ową opowieścią. Portret Edythy Bartlett, niektóre z jej papierów, a między niemi paczka moich własnych listów, znajdowały się w liczbie pamiątek rodzinnych. Obraz przedstawiał bardzo piękną młodą kobietę, dokoła której bardzo łatwo było snuć wszelkie tkliwe i romantyczne opowieści. Moje listy dały Edycie pewien materiał do wytworzenia sobie jasnego wyobrażenia o mojej osobie, a zarazem dopomagały jej do żywego uprzy-

tomnienia smutnej, dawnej historii. Mawiała zwykle rodzicom swym, półżartem, iż nigdy nie wyjdzie za mąż, dopóki nie znajdzie kochanka takiego, jak Julijan West, oraz, że teraz takich już nie było. Otóż, to wszystko było, rzecz prosta, marzeniem tylko młodej dziewczyny, której umysłu nie zaprzętała nigdy żadna sprawa sercowa i nie miałyby też następstw poważnych, gdyby nie odkrycie owego poranku podziemnej komnaty w ogrodzie jej ojca, gdyby nie sprawdzenie tożsamości osoby jej mieszkańca. Kiedy bowiem martwe na pozór ciało przeniesiono do domu, wówczas w medaljonie, znalezionym na piersiach uspiętego, poznano natychmiast portret Edythy Bartlett, zaś fakt ten w połączeniu z innemi okolicznościami wskazał im, że ja był nie kto inny, jeno Julijan West. Gdyby nawet, jak się to działo na razie, nie miano żadnej myśli wskrzeszenia mnie, to, jak utrzymywała pani Leete, wypadek ten musiałby wyrzucić stanowczy a długotrwały wpływ na jej córkę. Przypuszczenie, jak gdyby jakiejs subtelnej woli przeznaczeń, spletającej losy jej z moimi, byłoby w danych okolicznościach posiadało władzę nieprzepartą nad umysłem każdej prawie kobiety.

Teraz, jak mówiła dalej jej matka, sam mogłem osądzić, czy zbyt skwapliwą była ona w obdarowaniu mnie swoją miłością przy najpierwszych oznakach uczucia z mojej strony, kiedy w kilka godzin później powróciłem już był do życia i kiedy, jak się zdawało, od początku zaraz popadłem w osobliwą zależność od niej i znajdowałem ukojenie szczególnie w jej towarzystwie. Jeślim jeszcze tak myślał, to powinienem był przypomnieć, że było to

stulecie XX, nie zaś XIX, oraz, że miłość rosła teraz bezwątpienia prędeej i szczerzą była w objawach swoich, niż wtedy.

Od pani Leete poszedłem do Edythy. Kiedym ją odnalazł, przedewszystkiem wziąłem ją za obie ręce i stałem tak przed nią przez czas długi, wpatrując się z zachwytem w jej oblicze. Gdym na nią patrzył, pamięć tamtej drugiej Edythy, znieczulona niejako straszliwem wstrząśnieniem, które nas rozdzieliło, odżyła we mnie na nowo i serce moje tajało od wzruszeń tkliwych i żalonych, ale nieskończenie błogich. Ta sama bowiem, która tak dotkliwie dawała mi uczuwać moją stratę, czyniła stratę ową dobrodziejstwem. Zdawało się, jak gdyby jej oczami Edytha Bartlett patrzyła w moje z uśmiechem ukojenia. Los mój był nietylko najdziwniejszym, ale i najszcześniejszym z tych, jakie kiedykolwiek kogo spotkały. Stał się nademną cud podwójny. Nie zostałem wyrzucony na brzeg tego dziwnego świata tak, iżbym miał być samotnym i pozbawionym towarzysza. Kochanka moja, którą miałem już za straconą, wcieliła się ponownie ku memu pocieszeniu. Kiedy, nakoniec, w uniesieniu wdzięczności i tkliwości, wziąłem to lube dziewczę w ramiona, dwie Edythy zmieszały się w myśli mojej i odtąd już nigdy nie rozdzielały się w niej zupełnie. Niebawem też okazało się, że i w myślach Edythy nastąpiło takie same pogmatwanie dwóch osobistości. Napewno, nigdy pomiędzy dwojgiem świezo połączonych kochanków nie bywało rozmów dziwniejszych, niż te, jakie myśmy prowadzili owego popołudnia. Zdawało się, iż więcej szło jej o to, abym opowiadał

o Edycie Bartlett, niż o niej samej, więcej o to, jak kochałem tamtą, niż jakem ją kochał, a tkliwsze moje słowa, ściągające się nie do niej, lecz do tamtej, nagradzała tkliwemi uśmiechy i uściśnieniem ręki.

— Nie powinienes mnie pan kochać zanadto dla mnie samej—rzekła—będę bardzo zazdrosna za nią. Nie pozwolę panu o niej zapomnieć. Powiem panu coś takiego, co może mu się wydać dziwnem. Czy nie wierzysz pan, że duchy powracają czasem na ziemię, aby spełnić coś, co szczególnie im leży na sercu? Cobys pan zrobił, gdybym powiedziała, iż myślałam niekiedy, że duch jej żyje we mnie, że istotne imię moje Edytha Bartlett, nie zaś Edytha Leete, nie mogę tego wiedzieć, naturalnie nikt z nas nie może wiedzieć, kim jesteśmy istotnie, ale mogę to odczuwać. Czyż będziesz się pan dziwił, że miałam takie uczucia, wiedząc, jak dalece na życie moje wpłynęła ona i pan, nawet przed swoim przyjściem. Tak, nie powinien się pan trwożyć zupełnie, kochając mnie, jeśli tylko pozostaniesz jej wiernym. Nie potrafiłabym być zazdrosną.

Doktór Leete wyszedł był z domu owego popołudnia i mogłem z nim zobaczyć się dopiero później. Jak się zdaje, nie był on całkowicie nieprzygotowanym do wiadomości, jakiej udzieliłem mu, i serdecznie uściśnął mię za rękę.

— W zwykłych okolicznościach, panie West, powiedziałbym, że krok ten jest może nieco pośpieszny; ale okoliczności stanowczo nie są tu zwyczajne. W przystępie szczerości—dodał jeszcze, śmiejąc się—powinien byłbym powiedzieć panu, że jakkolwiek

z radością przystaję na wasz układ, to jednak nie potrzebujesz pan poczuwać się do wielkiej ku mnie wdzięczności, gdyż przyzwolenie moje uważam tylko za formalność. Sądzę, że z chwilą wydania się tajemnicy medaljonu, przyzwolenie to musiało już być dane; toć gdyby nie było tutaj Edyty dla spełnienia przeznaczeń jej prababki, obawiam się doprawdy, że lojalność mojej żony względem mnie byłaby wystawiona na ciężką próbę.

Owego wieczora ogród tonął w świetle księżycowem i do północy myśmy chodzili z Edythą po nim, usiłując oswoić się z naszym szczęściem.

— Co jabym poczęła, gdybyś pan mnie nie pokochał—rzekła ona—obawiałam się, że do tego nie przyjdzie. Co jabym robiła wtedy, skoro czułam, że jestem poświęcona panu. Gdyś tylko pan przyszedł do siebie, byłam tak pewna, jak gdyby ona mi to powiedziała, że będę dla pana tem, czem ona być nie mogła, ale że to się stanie nie inaczej, jak tylko za zgodą pana. O jakżem pragnęła owego poranku, kiedyś pan czuł się tak straszliwie obcym wśród nas, powiedzieć panu, kim byłam, ale nie śmiałam ust otworzyć o tem, ani też pozwolić na to ojcu albo matce.

— To o tem pewno nie pozwoliłaś pani mówić swemu ojcu, zawołałem, przypominając rozmowę podsłuchaną w chwili obudzenia się z letargu.

— Naturalnie—odrzekła z uśmiechem, czyś pan dopiero teraz się tego domyślił? Ojciec, jako mężczyzna, sądził, że najlepiej dopomoże panu czuć się wśród przyjaciół, gdy powie mu kim jesteśmy. Nie myślał on wcale o mnie. Ale mama wiedziała, co

się święci, i w ten sposób ja postawiłam na swoim. Nie mogłabym nigdy spojrzeć panu w oczy, gdybyś wiedział, kim byłam. Byłoby to z mej strony zbyt śmiałym narzucaniem się, lękam się, że i dzisiaj może się panu to tak wydawać. Jestem pewna, że postąpiła niewłaściwie, gdyż, jak wiem, za dni pana dziewczęta obowiązane były ukrywać się ze swemi uczuciami, to też straszliwie bałam się, aby nie razić pana. Ach Boże! jak ciężkiem musiało być dla nich owo wiekuiste ukrywanie swojej miłości, jak winy jakiej. Dla czego uważały one za rzecz tak haniebną kochać kogoś przed otrzymaniem pozwolenia? Jakie to dziwne, gdy się pomyśli o czekaniu na pozwolenie czyjeś, aby się można było zakochać. Czyżby mężczyźni gniewali się wówczas za miłość dziewcząt? Nie tak, doprawdy, kobiety i mężczyźni czują dzisiaj. Nie rozumiem tego zupełnie. Będzie to należało do ciekawych szczegółów, dotyczących kobiety owoczesnej, jakie pan będzie musiał mi wyjaśnić. Nie sądzę, żeby Edytha Bartlett była równie niedorzeczną, jak i inne.

Po wielu próbach rozstania się Edytha wymogła, nakoniec, abyśmy powiedzieli sobie dobranoc. Przed wyciśnieniem na ustach jej naprawdę już ostatniego pocałunku, rzekła do mnie z nieopisaną figlarnością.

— Jedno mię zatrważa. Czyś pan jest zupełnie pewny tego, iż przebaczyłeś Edycie Bartlett jej zamążpójście. Książki, jakie z czasów waszych nam pozostały, przedstawiają kochanków, jako istoty bardziej zazdrosne, niż kochające, dlatego też o to się pytam. Byłoby dla mnie wielką ulgą, gdybym mo-

gła być pewną, żeś pan ani trochę nie jest zazdrosny o mego pradziadka za to, że poślubił twoją kochankę. Czy będę mogła obrazowi mojej prababki, przyszedłszy do pokoju, powiedzieć, żeś pan zupełnie przebaczył jej niewierność.

Czy uwierzy czytelnik, że zalotny ten żart, bez względu na to, czy sama jego autorka domyślała się tego, istotnie wzruszył mię, a wzruszywszy wyleczył z niewczesnego bólu, przypominającego jak gdyby zazdrość, jakiego niewyraźnie doznawałem od chwili, gdy pani Leete powiedziała mi o małżeństwie Edythy Bartlett. Nawet, kiedym trzymał jej prawnuczkę w moich objęciach, aż do owej chwili, tak nie logicznymi są bowiem niektóre z naszych uczuć, nie uprzytomniałem sobie wyraźnie, że bez owego małżeństwa nigdybym tego nie mógł uczynić. Niedorzeczność takiego nastroju ducha, jakkolwiek wielka, z niemniejszą jednak szybkością znikła, gdy figlarne zapytanie Edythy uwolniło myśl moją od zamglenia. Zaśmiałem się, całując ją.

— Możesz zapewnić ją o zupełnem mem przebaczeniu, chociaż, gdyby wyszła za kogo innego, nie za twego pradziadka, sprawa byłaby całkiem inna.

Gdym przyszedł owej nocy do mego pokoju, nie otwierałem telefonu muzycznego, aby ukołysać się do snu tonami łagodnej muzyki, jak to było weszło mi w zwyczaj. Myśli moje bowiem darzyły mnie muzyką, lepszą aniżeli nawet popis orkiestry XX wieku, a muzyka ta utrzymała mnie w zachwycie prawie aż do rana, kiedym nakoniec zasnął.



ROZDZIAŁ XXVIII.

— Jest już trochę później, niż kiedy się pan kazał obudzić, proszę pana. Nie przyszedł pan do siebie, proszę pana, tak szybko jak zwykle.

Był to głos mego sługi Sawyera. Porwałem się na łóżku, patrząc do koła w osłupieniu. Znajdowałem się w mojej komnacie podziemnej. Łagodne światło lampy, płonącej zawsze w pokoju, gdym ja go zajmował, oświetlało znajome mi ściany i sprzęty. Przy łóżku stał Sawyer ze szklanką xeresu w ręku, którego wypicie wraz po ocknięciu się ze snu mesmerycznego zalecał mi zawsze doktor Pillsbury, a to dla rozbudzenia przytłumionych czynności fizycznych.

— Niech pan napije się tego prędeż, proszę pana—mówił Sawyer, gdym patrzył na niego wyblądły.— Wygląda pan, jak pijany, to panu ulży.

Odrząciłem napój i począłem uprzytomniać sobie, co zaszło. Naturalnie rzecz była bardzo prosta. Wszystko, co dotyczyło wieku XX, było snem. Śnił

mi się tylko ów rodzaj ludzki oświecony, wolny od trosk, śniły mi się tylko jego przedziwne a proste urządzenia nowego pełnego chwały Bostonu z jego kopułami i wieżycami, z jego ogrodami i wodotryskami, z jego powszechnem panowaniem wszelkich udogodnień życia. Uprzejma poufałość, z którą mi było tak dobrze, mój niepospolity gospodarz i mentor doktor Leete, jego żona, córka ich, druga i jeszcze piękniejsza od pierwszej Edytha, narzeczona moja, wszystko to również było tylko przywidzeniem.

Przez długi czas pozostawałem w takiej postawie, w jakiej zastało mię owo przeświadczenie, to jest, siedząc na łóżku, wpatrując się w przestrzeń i pochłonięty cały przypominaniem scen i wydarzeń mego fantastycznego widzenia. Sawyer tymczasem, strwożony moim wyglądem, dopytywał się niespokojnie, co mi się stało. Rozbudzony wreszcie jego natręctwem i przywieziony do świadomości otoczenia, wysiłkiem zebrałem jakoś myśli i upewniłem wiernego sługę, że wszystko było dobrze.

— Miałem poprostu niezwykły sen, Sawyerze, odrzekłem, sen bardzo niezwykły.

Ubrałem się mechanicznie, czując jakąś dziwną lekkość głowy i dziwną jakąś niepewność siebie i usiadłem do kawy z bułkami, jaką Sawyer częstował mnie zawsze przed wyjściem mojem z domu. Na stole przedemną leżała gazeta poranna, wziąłem ją i oczy moje padły na datę 31 maja 1887 roku. Naturalnie od chwili otwarcia oczu, wiedziałem, że długie moje i szczegółowe zapoznawanie się z innem stuleciem było tylko snem; pomimo to dziwnym mi się wydawał ten tak stanowczy dowód, że

od chwili mego zaśnięcia świat postarzał tylko o kilka godzin.

Spojrzawszy na spis rzeczy, znajdujący się na czele gazety, podającej nowiny ranne, przeczytałem co następuje:

„Sprawy zagraniczne.— Groźba wojny pomiędzy Francją a Niemcami. Żądanie nowego kredytu wojskowego od izb francuskich w odpowiedzi na powiększanie armii niemieckiej. Możliwość wciągnięcia w grę całej Europy w wypadku wojny— Wielkie cierpienia wśród warstw nie mających zajęcia w Londynie, żądają one pracy. Przewidywanie olbrzymiej demonstracji. Niepokój władz— Wielkie bezrobocie w Belgii. Rząd gotuje się do stłumienia wybuchów. Rażące fakty w sprawie posługiwania się dziewczętami w belgijskich kopalniach węgla— Ryczałtowe wywłaszczenia w Irlandyi.

Sprawy krajowe. — Niepowstrzymana epidemija oszukaństwa. Sprzeniewierzenie się na pół miliona w Nowym Yorku. Przywłaszczenie funduszu depozytowego przez wykonawców testamentu. Doszczętne ograbienie sierot. Sprytny sposób złodziejstwa ajenta bankowego; przepadnięcie 50,000 dolarów. Właściciele kopalń węgla postanawiają podnieść jego cenę i zniżyć produkcję. Spekulanci budują wielki magazyn pszenicy w Chicago. Klika, podnosząca sztucznie ceny kawy. Olbrzymie zmowy syndykatów zachodnich. Wykrycie rażącej sprzedajności wśród urzędników Chicago. Systematyczne przekupstwo. Bliskie sąđenje sprawy rajców z Boodle w Nowym Yorku. Wielkie bankructwa domów handlowych. Obawy handlowego przesilenia.

Powódz kradzieży z włamaniem i łotrstw. Zamordowanie kobiety dla pieniędzy w New Haven. Zabicie mieszkańca Bostonu przez złoczyńcę nocy dzisiejszej. Samobójstwo człowieka z Worcester z powodu niemożności znalezienia pracy, liczna rodzina pozostaje bez chleba. Sędziwa para ludzi w New Jersey poniosła śmierć, nie chcąc iść do domu ubogich. Straszna nędza wśród najemnic w wielkich miastach. Uderzający wzrost ciemnoty w Massachusetts. Potrzeba większej liczby domów dla obłąkanych. Przemówienia z powodu święta narodowego. Mowa profesora Browna o moralnej wielkości cywilizacji wieku XIX."

Istotnie, nie było wątpliwości, powróciłem do wieku XIX. Ten spis wydarzeń jednego dnia był jego dokładnym mikrokosmem nawet w tem, co dotyczy owego płaskiego samochwalstwa. Ukazując się po takim potępiającym wyroku całego stulecia, jaki zawierał się w jednodniowej kronice wszechświatowego rozlewu krwi, chciwości i tyranii, samochwalstwo owo zakrawało na bezczelność Mefistofelesa, a jednak ze wszystkich tych, których oczy spotkały się z niem owego poranku, ja, być może, byłem jedyną istotą, dostrzegającą cynizm, a wczoraj nie byłbym go dostrzegł, tak samo jak i inni. Dziwny mój sen spowodził całą tę różnicę. Nie wiem bowiem, jak długo zapomniałem potem o mojem otoczeniu i w marzeniach mych poruszałem się znowu w owym żywym świecie snów, w tem mieście, pełnem chwały, wśród skromnie wytwornych domów jego mieszkańców i przepysznych gmachów publicznych. Dokoła mnie były znowu twarze, nie napiętnowane zuchwał-

stwem lub służalczością, chciwością albo zawiścią, niespokojną troską albo ambycją gorączkową i otaczały mnie znowu wyniosłe postacie mężczyzn i kobiet, którzy nigdy nie znali obawy wobec bliźniego, nie zależeli od jego łaski, ale zawsze, mówiąc słowami rozbrzmiewającego dotąd w moich uszach kazania, „stali śmiało przed Bogiem”.

Z głębokiem westchnieniem, z uczuciem straty niepowetowanej, niemniej dojmującym, z powodu, iż była to strata tego, co nigdy nie istniało rzeczywiście, ocknąłem się nakoniec z moich marzeń i rychło potem wyszedłem z domu.

Na drodze od drzwi moich do ulicy Waszyngtońskiej kilkanaście razy musiałem zatrzymywać się i zbierać myśli—tak dalece bowiem ów obraz Bostonu przyszłości czynił mi obceni miasto dzisiejsze. Gdy tylko znalazł się na ulicy, niechlujstwo jej i woń niemila uderzyły mnie tak jak fakty jakieś, których dawniej nie widziałem nigdy. Ale, co większa, wczoraj zdawało mi się rzeczą całkiem naturalną, iż jedni z moich współobywateli ubierali się w jedwab, inni zaś byli w łachmanach, że jedni wyglądali syto, drudzy zaś głodno. Teraz przeciwnie, rażące nierówności ubioru i wejrzenia mężczyzn i kobiet, przemykających się koło siebie na chodnikach, raziła mnie na każdym kroku, a jeszcze bardziej raziła mnie całkowita obojętność, jaką szczęśliwsi okazywali względem nieszczęśliwych. Czyliż były to istoty ludzkie, skoro mogły znosić nędzę swych bliźnich, nie okazując w postępowaniu najłżejszego zajęcia? A jednak, z tem wszystkiem, widziałem dobrze, iż to ja zmieniłem się raczej, nie zaś moi

spółcześnicy. Śniło mi się miasto, którego ludności całej powodziło się jak dzieciom jednej rodziny, gdzie ludzie wspierali się wzajemnie we wszystkim.

Innym rysem rzeczywistego Bostonu, przybierającym teraz pozór niezwykłej dziwności, jaki cechuje rzeczy znajome nam, lecz oglądane w oświetleniu nowem, była obfitość ogłoszeń. W Bostonie wieku XX nie było ogłoszeń osobistych, gdyż nie potrzebowano ich wcale; tutaj zaś ściany budynków, okna, łamy gazet we wszystkich rękach, same bruki nawet, wszystko, cokolwiek było widocznem, z wyjątkiem tylko nieba, okryte było odezwaniami jednostek, które pod niezliczonemi pozorami usiłowały zjednać dla siebie udział innych w swem utrzymaniu. Bez względu na zmianę formy, treść wszystkich tych odezw była jednaka: „Wspierajcie Johna Jonesa. Nie myślcie nigdy o innych, są to oszuści. Ja, John Jones jedynie jestem sprawiedliwy, kupujcie u mnie. Najmujcie mnie. Odwiedzajcie mię. Słuchajcie mnie, Johna Jonesa. Przypatrzcie mi się. Nie omylcie się, John Jones tylko jest człowiekiem, ale nikt inny. Niech przypadną inni, ale, przez Boga żywego, pamiętajcie o John Jonesie.”

Nie wiem, czy uniesienie, czy moralna wstrętność widowiska wpłynęły na mnie, żem tak nagle stał się obcym memu rodzinnemu miastu. Nędzni ludzie, chciałem już krzyżeć, którzy nie chcąc nauczyć się, jak pomagać jeden drugiemu, wołają być wzajemnie żebrakami od pierwszego do ostatniego! Ta okropna wieża Babel bezwstydneho samochwalstwa i wzajemnego poniżania się, ten odurzający gwar sprzecznych ze sobą kłatw, nawoływań i przysięg,

ten straszliwy system bezczelnej żebraniny, czemże było to wszystko, jak nie koniecznością w społeczeństwie, w którym potrzeba było wywalczać dopiero możliwość służenia światu podług uzdolnień swoich, zamiast tego, coby możliwość taka zapewnioną mogła być każdemu, jako najpierwsza troska w społecznej organizacyi.

Doszedłem do najruchliwszego miejsca ulicy Waszyngtońskiej i, stanąwszy tam, roześmiałem się głośno ku zgorzeniu przechodniów. Klnę się na życie, iż nie mogłem się od tego powstrzymać, tak dalece bowiem uniósł mnie humor na widok owych nieskończonych rzędów magazynów, ciągnących się z obu stron ulicy, jak daleko wzrok mógł sięgnąć wstecz i naprzód, a dla większego ośmieszenia widowiska, dziesiątki tych dziur poświęcone były sprzedaży towarów jednego rodzaju. Składy, składy, składy, całe mile składów, dziesięć tysięcy składów dla zaopatrzenia w towary jednego tylko tego miasta, które w snach moich zaopatrywało się we wszystko z jednego jedyne go magazynu przy pomocy odpowiedniej wystawy wzorów w każdej dzielnicy, gdzie kupujący bez straty czasu i pracy znajdował wszelkie możliwe wyroby wszechświatowego przemysłu. Tam praca podziału była tak lekką, że koszt jej stanowił niedostrzegalną prawie część ceny towarów. Kupujący ponosił prawie jedynie tylko koszt wytworzenia. Tutaj natomiast, sam podział towarów, samo ich przesyłanie podnosiło o czwartą część, o trzecią, o połowę i więcej nawet ich cenę. Wszystkie te dziesięć tysięcy sklepów musiały opłacać komorne, kosztu swego zarządu, bry-

gady swych sprzedawców, dziesięć tysięcy grup swoich rachmistrzów, subjektów i pracowników, a oprócz tego wydawać mnóstwo na ogłoszenia, na wzajemną walkę, zaś spożywcy mieli ponosić kosztu tego wszystkiego. Cóż za pyszny sposób przyprowadzenia narodu do torby żebraczej!

Byliż to ludzie poważni, ci, których koło siebie widziałem, czy też dzieci, że sprawy swoje prowadzili podług takiego planu? Byliż to istoty rozumne, nie widzące głupoty w tem, kiedy wytwór, gotowy już do użytku, trwoni tyle wartości swojej w drodze niepożytecznej. Gdyby ludzie jedli łyżką, któraby traciła połowę zawartości swojej pomiędzy talerzem a ustami, to czyliż nie łącno byliby głodni?

Przechodziłem poprzednio tysiące razy przez ulicę Waszyngtońską i widziałem siedliska sprzedawców, ale teraz ciekawość moja zwracała się ku nim, jak gdybym ich nie widział. Widziałem przepyszne wystawy sklepowe w oknach, napełnione towarami pracowicie i artystycznie, ku zwabieniu oka. Widziałem tłumy pań, przyglądających się im, oraz właścicieli, chciwie śledzących wrażenie swoich sklepów. Wchodziłem do wnętrza i widziałem ludzi, którzy okiem jastrzębia czuwali nad całym przedsiębiorstwem, pilnowali subjektów, przynaglając ich do roboty, do zachęcania kundmanów, aby kupowali, kupowali i jeszcze raz kupowali—za pieniądze, jeśli je mieli, na kredyt, jeśli nie mieli ich, aby kupowali to, czego im nie było potrzeba, więcej, niżli potrzeba było, albo to, czemu nie mogli podołać. Chwilami traciłem wątek myśli; widok ten mącił moje pojęcia: do czegoż ten wysiłek w nakłanianiu ludzi,

aby kupowali? Bezwątpienia niema to nie wspólne-
go z należytą sprawą podziału wytworów pomiędzy
tych, którzy ich potrzebują. Bezwątpienia było to
najrzetelniejszem marnotrawstwem narzucać ludziom
to, czego nie potrzebowali, lecz co mogło być poży-
tecznem dla innych. Przy każdej takiej operacyi,
naród stawał się biedniejszym. Dalej, cóż sobie my-
śleli ci subjekci? Przypomniałem wówczas, że nie
działali oni w charakterze rozdzielców, jak ci, któ-
rych widziałem w składzie Bostonu wysnionego. Nie
służyli oni sprawie publicznej, ale swej osobistej spra-
wie i nie obchodziło ich zgoła to, jak ostatecznie
wpłynie na pomysłność ogólną ich postępowanie, jeśli
tylko sami oni powiększą swe skarby, gdyż towary
te były ich własnością, a im sprzedadzą ich więcej,
im więcej za nie dostaną, tem większym zysk ich
będzie. Im bardziej marnotrawnymi będą ludzie, im
łatwiej będzie nakłonić ich do kupowania rzeczy
niepotrzebnych, tem lepiej będzie dla tych sprzedaw-
ców. Zachęcanie do rozrzutności było więc wyraź-
nym celem działania dziesięciu tysięcy sklepów bos-
tońskich!

Nadto, ani właściciele owi, ani ich subjekci, nie
byli wcale gorszymi od innych mieszkańców Bosto-
nu. Musieli oni zdobywać sposób do życia i utrzy-
mywać rodziny, a jakże mogliby znaleźć taki środek
dokonania tego, który nie zmuszałby ich do posta-
wienia interesów osobistych przed interesami innych
i ogółu? Nie podobna było żądać od nich, aby umie-
rali z głodu, czekając nadejścia nowego porządku
rzeczy, o jakim mi się śniło, a w którym interes
każdego i wszystkich był jednaki. Ale, wielki Boże,

cóż dziwnego, że przy systemie takim, jak ten oto, dokoła mnie, miasto było tak liche, ludzie tak biednie ubrani, a wielu z pomiędzy nich w łachmanach i głodnych.

W jakiś czas później zwróciłem się znowu w stronę Bostonu południowego i znalazłem się pośród zakładów rękodzielniczych. Bywałem w dzielnicy tej setki razy, tak samo jak i na ulicy Waszyngtońskiej, ale tutaj, podobnie jak i tam, dopiero teraz zrozumiałem należyte znaczenie tego, co oglądałem. Dawniej dumny byłem, przypominając sobie, że podług obliczeń dzisiejszych, Boston posiadał około czterech tysięcy zakładów rękodzielniczych, ale teraz w samej tej liczebności i odrębności wykryłem tajemnicę zbyt małych rozmiarów ogólnego wytworu ich przemysłu.

Jeżeli ulica Waszyngtońska wyglądała jak szopka, to tutaj widok przedstawiał się o wiele smutniej, gdyż wytwarzanie jest czynnością bardziej żywotną od podziału. Nietylko bowiem owe cztery tysiące zakładów nie pracowały zgodnie i już tem samym działały z wielką swą stratą, lecz, jak gdyby to jedno nie było już źródłem olbrzymich uszczerbków, prześcigały się one wzajem w udaremnianiu swych wysiłków, modląc się w nocy i pracując w dzień na to, aby wzajemnie podkopywać swe przedsiębiorstwa.

Huk i zgrzytanie kół i młotów, rozlegające się ze wszystkich stron, nie było tu echem spokojnej pracy przemysłowej, lecz jak gdyby szczękaniem mieczów, któremi walczyli wrogowie. Te fabryki i pracownie były to wszystko forty, z których każdy

walczył pod własnym znakiem z działami, skierowanymi na fabryki i pracownie okoliczne, z zastępem saperów, podkopujących się pod nie.

Wewnątrz tych fortów przestrzegano jaknajściślejszej organizacyi przemysłu, kompanije pojedyncze pracowały pod jedną władzą centralną. Żadne utrudnianie lub powtarzanie niepotrzebnej roboty nie było dozwolone. Każdy miał wyznaczone sobie zadanie i nikt nie próżnował. Dzięki jakiemu więc brakowi logiki, dzięki pominięciu jakiego ogniwa w rozumowaniu, można było wytłomaczyć to, iż nie umiano uznać tam nieodzowności zastosowania tej samej zasady do organizacyi wszystkich gałęzi narodowego przemysłu, jako całości, nie umiano dostrzedz, że skoro brak organizacyi tamował skuteczność jednej pracowni, to musiał on mieć tem straszniejsze skutki, obezwładniając w ten sposób przemysł narodowy w ogólności, jako większy objętością swą i odznaczający się bardziej zawiłym stosunkiem części.

Ludzie skłonni by byli do ośmieszenia armii, któraby nie miała ani kompanii, ani batalijonów, pułków, brygad lub korpusów—słowem żadnej większej jednostki organizacyjnej nad pluton kaprałski i żadnego wyższego oficera po nad kapralem, i w którejby wszyscy kaprale mieli równą władzę. A jednak, taką właśnie armiją były przemysłowe kohorty Bostonu wieku XIX; armiją, złożoną z czterech tysięcy niezależnych kaprałi, z których każdy miał odrębny plan kampanii.

Tu i owdzie widzieć można było gromadki ludzi próżnujących; jedni z nich próżnowali, nie mogąc znaleźć pracy za żadną cenę, inni—dlatego, iż

nie mogli dostać zapłaty, jaką uważaliby za dostateczną.

Zbliżałem się do niektórych z pomiędzy nich, a oni opowiadali mi o swych kłopotach. Bardzo niewiele mogłem ich pocieszyć. Smucę się wraz z wami, mówiłem. Otrzymujecie bezwątpienia zbyt mało, a jednak co do mnie, to dziwię się nie temu, że przemysł tak oto prowadzony może wam dawać coś zaledwie na życie, ale raczej temu, że może on wam dawać cokolwiekbądź.

Powracając później około godziny trzeciej do dzielnicy na półwyspie, zatrzymałem się na ulicy Stanowej, przypatrując się, jak gdyby po raz pierwszy, bankom, giełdom i innym instytucjom finansowym, których, w widzeniu mojem, na ulicy Stanowej nie pozostało było ani śladu. Interesanci, agenci, posłańcy skupiali się tu i owdzie w bankach i pod bankami, gdyż brakowało już tylko paru minut do godziny zamknięcia ich. Przedemną znajdował się bank, w którym ja sam zwykle załatwiałem interesy, to też, przeszedłszy wpoprzek ulicę, wraz z tłumem wstąpiłem tam i stanąłem w zagłębieniu ściany, przyglądając się całej armii urzędników, mających do czynienia z pieniędzmi, oraz szeregowi depozytarjuszów przy oknach kasyjerskich. Stary dżentelman, którego znałem, dyrektor banku, przechodząc koło mnie, a spostrzegłszy moją postawę kontemplacyjną, przystanął na chwilę.

— Czyż nie zajmujący widok, panie West— powiedział.— Przedziwny mechanizm; sam to znajduję. Lubię niekiedy stanąć tu sobie i popatrzeć, tak jak pan teraz. Jest to poemat panie, poemat, tak

panu powiem! Czyś pan się kiedy zastanawiał, panie West, że bank jest sercem całego systemu spraw handlowo-przemysłowych. Z niego i do niego podąża ustawicznie odpływ i przyływ soków odżywczych. Teraz oto mamy przyływ, zrana będziemy mieli znów odpływ.

Zadowolony ze swego konceptu starzec poszedł dalej, śmiejąc się.

Wczoraj byłbym uważał owo porównanie za dość udatne, ale wszak od wczoraj zwiedziłem już był świat o wiele płodniejszy od tego, w którym jednak pieniądze były nieznane i nie mogłyby mieć żadnego użytku. Dowiedziałem się, że w otaczającym mnie świecie używano ich tylko dlatego, iż zamiast uważać sprawę zaspokojenia bytu narodowi za rzecz najbardziej publiczną i ze wszystkich trosk najbardziej wspólną, a tem samem, zamiast powierzyć kierownictwu narodowemu, pozostawiano ją na łasce wysiłków jednostek. Ten błąd zasadniczy pociągał za sobą z konieczności nieskończenie długi szereg wymian, gdy chodziło o podział ogólny jakiegokolwiek bądź z wytworów. Wymian owych dokonywano—o ile sprawiedliwie, można widzieć, przechodząc po dzielnicach bankierskich ku Back-Bay—kosztem pracy całej armii ludzi, wziętych od zajęć produkcyjnych, przy czem sprawie tej towarzyszą wypadki ciągłego, rujnującego psucia się jej maszyneryi, oraz ogólnie demoralizujący wpływ na ludzi, usprawiedliwiający ów starożytny opis spraw finansowych, jako „źródła wszelkiego złego”.

Biedny stary dyrektor banku ze swoim poematem! Wziął on drgania wrzodu za bicie serca. To,

co on nazywał przedziwnym mechanizmem, było tylko niedoskonałym środkiem zaradzenia brakowi niepotrzebnemu, niezgrabną kulą dla dobrowolnie wyrażonego kalectwa.

Minąwszy banki, błędziłem bez celu po dzielnicy przemysłowej z jakie dwie godziny, później zaś usiadłem na chwilę na jednej z ławek przed magistratem, przypatrując się przechodzącym tłumom z taką ciekawością, z jaką ktoś byłby badał ludność cudzoziemskiego miasta, tak dalece obcymi stali się dla mnie od wczoraj moi współobywatele, oraz ich sprawy. Przez trzydzieści lat żyłem pomiędzy nimi, a jednak zdawało się, iż nigdy nie byłem zauważył, o ile skłopotane i niespokojne są ich twarze, zarówno bogatych jak i ubogich, zarówno delikatne, subtelne oblicza wykształconych jak i tępe fizyjonomije ciemnych. A jednak, tak być musiało, gdyż teraz z taką jak nigdy jasnością spostrzegłem, że każdy z nich idąc łowił uchem szept jakiegoś widma, widma Niepewności. „Nigdy się tak bardzo nie zapracowuj”, szeptało widmo „wstawaj wcześniej i rób do późna, obdzieraj przebiegle albo służ wiernie, a nigdy nie zaznasz pewności. Jakkolwiek możesz być bogatym teraz, na ostatku opadnie cię ubóstwo. Nie pozostawiaj tak dużo bogactw twoim dzieciom, nie możesz kupić pewności, że twój syn nie będzie sługą twojego sługi, lub że córka twoja nie będzie się musiała sprzedawać dla chleba.”

Jakiś przechodzień wsunął mi w rękę ogłoszenie, wysławiające zalety nowego jakiegoś planu ubezpieczeń na życie. Wypadek ten przypomniał mi o jedynym środku, wzruszającym z tego, iż uznawał

powszechną potrzebę, którą jednak zaspakajał tak skąpo; środek ten dawał owym znużonym i ściganym kobietom i mężczyznom przynajmniej częściową osłonę przed niepewnością. Przypominam, iż dzięki tym środkom, ludzie już zamożniejsi mogą kupować jaką taką pewność, że po ich śmierci ukochani ich, przez chwilę przynajmniej, nie będą stratowani pod stopami ludzkimi. Ale na tem też był koniec, a i to przysługiwało tylko takim, którzy mogli dobrze zapłacić. Jakież wyobrażenie o istotnem ubezpieczeniu życia mogli mieć ci nędzni mieszkańcy krainy Izmaela, gdzie ręka każdego podnosiła się przeciwko wszystkim, a ręka wszystkich przeciwko każdemu, czyż mogli mieć oni pojęcie o takim ubezpieczeniu życia, jakie ja widziałem wśród ludzi kraju wysnionego, gdzie każdy, już tylko w moc swego należenia do wielkiej rodziny narodowej, zabezpieczony był tem samem przeciwko potrzebom wszelkiego rodzaju, a to dzięki wyrokowi podpisanemu przez sto milionów jego współobywateli.

W jakiś czas potem, kiedym przyszedł do siebie, ujrzałem się na schodach pewnego gmachu przy ulicy Tremont, z kądem patrzyłem na przegląd wojska. Pułk przechodził właśnie przede mną. Był to owego okropnego dnia pierwszy widok, który wywołał we mnie uczucia inne, niż zdziwienie, litość i osłupienie. Tutaj przynajmniej był porządek i rozum, uzmysłowienie tego, co może zrobić inteligentne współdziałanie. Czyliż być mogło, iżby dla ludzi, którzy stojąc patrzyli na to z uradowaną twarzą, nie miało to żadnego innego znaczenia nad zwykłe widowisko? Czyliż nie dostrzegali oni, że to właśnie doskonała

zgodność ich działania, zorganizowanie się ich pod jedną kontrolą czyniło z owych ludzi straszliwą maszynę, zdolną pokonać motłoch dziesięć razy liczniejszy. Widząc to tak wyraźnie, czyliż nie mogli oni porównać naukowego sposobu, jakim się posługuje naród w wojnie, z nienaukowym sposobem jego pracy. Czyliż nie pytali oni siebie, od jakiego to czasu zabijanie ludzi było sprawą tak dalece ważniejszą, niż żywienie ich i odziewanie, że jedynie do pierwszej sprawy uważano za stosowne używać wyćwiczonego wojska, gdy tymczasem te drugie pozostawiano motłochowi.

Miało się już ku wieczorowi i ulice napełniły się tłumem pracowników, sklepowych, warsztatowych i fabrycznych. Uniesiony silniejszym prądem tłumu, znalazłem się, kiedy już mrok zapadał, pośród siedliska brudu i takiego uposzedzenia ludzkiego, jakie tylko przedstawiać może dzielnica South-Cove, złożona z domów wynajmowanych. Oglądałem już szalone marnotrawstwo pracy ludzkiej, tutaj widziałem nędzę w postaci jej najsroźszej, jaką marnotrawstwo owe zrodziło.

Od czarnych progów i okien tych siedzib, z każdej strony, dochodziły wyziewy smrodliwego powietrza. Ulice i aleje kurzyły się potokami cuchnącego gnoju. Przechodząc, widziałem wybladłe dzieci, których życie marniało wśród dusznych zapachów, beznadziejne twarze kobiet, wykrzywionych mozołem, nie zachowujących z kobiecości swojej żadnego rysu, oprócz niemocy, gdy tymczasem z okien wyglądały dziewczęta o czołach miedzianych. Jak głodnych stada psów—mieszkańców, zarażających ulice miast muzuf-

mańskich, roje nawpół przyodzianych zbydlęconych dzieci napełniały powietrze krzykami i przekleństwami, bijąc się i tarzając wśród śmietnisk, okrywających podwórka.

Nic w tem wszystkim nie było dla mnie nowego; częstokroć przechodziłem przez tę część miasta, patrząc na jej obrazy z uczuciem niesmaku w połączeniu z pewnem zdziwieniem filozoficznym, że ludzie, znosząc takie ostateczności, mogą jednak przywiązaniymi być do życia. Ale od chwili owego widzenia innego wieku z oczu moich spadło bielmo, zakrywające nietylko ekonomiczne szaleństwa naszego stulecia, ale i jego obrzydliwości moralne. Już nie patrzyłem na nędznych mieszkańców tego piekła z obojętną ciekawością, jako na istoty prawie nieludzkie. Widziałem w nich braci moich i siostry, rodziców moich, dzieci me, kość moich kości i krew krwi mojej. Ropiąca się rana ludzkiej nędzy otaczającej mnie, zaraziła już nietylko moje zmysły, ale przeszływała serce jak nożem, tak, że nie mogłem powstrzymać westchnień i jęków. Nietylko widziałem, ale i czulem w ciele mem wszystko to, com widział.

Nadto, przyjrawszy się nędznym tym istotom bliżej, spostrzegłem, że wszystko to było zupełnie martwe. Ciała ich były to same żywe groby. Na każdym czole zbydlęconem napisane było wyraźnie: *hic jacet* — umarłej duszy, tkwiącej wewnątrz każdego z nich.

Gdym przenosił wzrok przerażony z jednej trupiej głowy na drugą, doznałem dziwnej halucynacji. Jakieś, jak gdyby mgławiczne, przejrzyste oblicze ducha opływało każdą z tych twarzy zbydlęconych,

widziałem ideał, widziałem twarz ich istotną. jaka byłaby możliwą, gdyby umysł ich i dusza żyć mogły. Dopiero wtedy, gdym dojrzał owe twarze upiórów i wyrzut nieopisany, z jakim patrzyły ich oczy, dopiero wówczas odsłoniła się przedemną cała nędza dokonanej tutaj ruiny. Uczułem skruczę i mękę wielką, gdyż byłem jednym z tych, którzy znosili taki stan rzeczy. Byłem jednym z tych, którzy, wiedząc dobrze o klęskach owych, nie chcieli ani słyszeć, ani zbyt wiele o nich myśleć, lecz pomijali je, jak gdyby rzecz nie istniejącą, szukając tylko własnych swych uciech i korzyści. Teraz więc na szatach moich znajdowałem krew tego wielkiego mnóstwa zdławionych braci moich. Krew ich wołała przeciwko mnie z ziemi. Każdy kamień cuchnących bruków, każda cegła siedzib zarażonych zdobywała mowę i wołała za mną uciekającym: coś uczynił z bratem twoim Ablem?

Nie pamiętam już dobrze, co się działo później, aż do chwili, gdym znalazł się na rzeźbionych schodach kamiennych wspaniałego domu mojej narzeczonej w alei Commonwealth. Wśród natłoku myśli dnia owego, prawiem nie przypomniał sobie o niej, ale teraz, ulegając jakiejś pobudce bezwiednej, nogi moje odnalazły drogę do jej domu. Powiedziano mi, że państwo są u stołu, ale zarazem wydano rozkaz, abym się z nimi połączył. Oprócz rodziny, znalazłem kilka osób z gości, samych moich znajomych. Stół, zastawiony był srebrem i kosztowną porcelaną chińską, panie ubrane były w cenne suknie i miały na sobie klejnoty iście królewskie. Cały obraz cechował się kosztowną wytwornością i nieopatrznym

zbytkiem. Towarzystwo było w wybornem usposobieniu, pełno też było słychać śmiechu, oraz iskrzącego się dowcipu.

Ja uczułem się tak, jak gdybym, chodząc po jakimś miejscu potępionem z krwawemi łzami, z duszą przygnębią smutkiem, litością i rozpaczą, natrafił nagle na wesołą kompaniję biesiadników. Siedziałem milcząc, aż Edytha zaczęła żartować ze mnie z powodu mego ponurego wejrzenia. Co mi dolega, zapytała. Inni też połączyli się z nią w żartobliwym szturmie i ja stałem się celem dowcipów i żartów. Gdziem był i co takiego widziałem, co uczyniło ze mnie tak niewesołego towarzysza.

Byłem na Gólgocie—odrzekłem w końcu—widziałem ludzkość, wiszącą na krzyżu, czyliż nikt z was nie wie, na co patrzą słońce i gwiazdy w tem mieście, iż możecie mówić i myśleć o czemkolwiek bądź innem. Czyliż nie wiecie, że tuż u drzwi waszych wielkie mnóstwo mężczyzn i kobiet, kość z kości waszych, żyją życiem, które jest jedną męczarnią od urodzenia do śmierci. Słuchajcie, siedziby ich są tak blisko, że gdy uciszycie śmiech wasz, posłyszycie bolesne ich głosy, żałosne krzyki niemowląt, karmiące się ubóstwem, przekleństwa ochryple ludzi zmiażdżonych nędzą, nawpół zbydlęconych, targowanie się całego zastępu kobiet, sprzedających siebie za kawałek chleba. Czem przysłoniliście uszy wasze, że nie słyszycie tych dźwięków pełnych bólu? Co do mnie, to nie mogę słyszeć co innego.

Cichość zapanowała po moich słowach. Litość wstrząsała mną, kiedym mówił, lecz, spojrzawszy teraz dokoła siebie na towarzystwo, spostrzegłem, iż

nietylko bynajmniej nie wzruszyło się ono tak jak ja, ale że twarze ich wyrażały chłodne i przykre zdziwienie, które w oczach Edythy mieszało się ze zmartwieniem najwyższem, we wzroku zaś jej ojca z gniewem. Panie zamieniały ze sobą spojrzenia zgorzienia, gdy tymczasem jeden z młodzieńców, uzbrowiony oko szkiełkiem, począł badać mnie z wyrazem naukowego zaciekawienia. Kiedym zobaczył, iż rzeczy, które były dla mnie tak nieznośnemi, nie wzruszają ich zgoła, że słowa, które stapiały mi serce, gdym mówił, ich obrażyły tylko na mówcę, zrazu zostałem jakby ogłuszony, a następnie ogarnęła mnie rozpaczliwa niemoc i bezsilność serca. Jaką nadzieję mogli mieć nędzarze i świat cały, skoro mężczyźni myślący i tkliwe kobiety nie wzruszały się takimi oto rzeczami. Wtedy przyszło mi na myśl, żem może nie mówił właściwie. Bez wątpienia, źle postawiłem sprawę. Gniewali się, gdyż sądzili, że chciałem ich szykanować, gdy tymczasem, Bóg mi świadkiem, myślałem tylko o okropności owych faktów, nie mając bynajmniej zamiaru wkładać odpowiedzialności na nich.

Zapanowałem nad wzruszeniem i starałem się mówić spokojnie i logicznie, aby poprawić wrażenie pierwsze. Powiedziałem im, że nie myślałem ich oskarżać o to, iż oni sami albo ludzie bogaci w ogólności odpowiedzialnymi byli za nędzę świata. Prawda istotnie, że nadmiar trwoniony przez nich, gdyby był użyty inaczej, ulżyłby znacznie gorzkich cierpień. Te kosztowne potrawy, te wina drogie, wspaniałe materyje, lśniące klejnoty, przedstawiały cenę jednego życia ludzkiego. Byli oni zaiste nie bez

winy, jako ludzie marnotrawni w kraju, który cierpiał pod brzemieniem głodu. Nie mniej jednak roztrwonione zasoby wszystkich bogaczy, w razie większej ich oszczędności, nie wiele tylko przyczyniłyby się do zaradzenia nędzy świata. Tak mało było do dzielenia, że gdyby nawet bogaty zgodził się na równy udział z ubogim, mielibyśmy tylko wspólną misę okruchów, którym zresztą słodyczy dodawałaby miłość braterska.

Głupota ludzi, nie zaś ich okrucieństwo, była wielką przyczyną ubóstwa świata. Nie zbrodnia to człowieka lub jakiegokolwiek klasy ludzi czyniła rodzaj ludzki tak nędznym, ale ohydne, okropne nieporozumienia, olbrzymia ogarniająca świat ślepotą. Dalej wykazałem im, jak cztery piąte pracy ludzkiej szło najzupełniej na marne przez wzajemną walkę, przez brak organizacyi i zgodności pomiędzy pracownikami. Usiłując wyjaśnić im przedmiot jak najlepiej, przytoczyłem przykład gruntów niepłodnych, gdzie rola stawała się jako tako żywniejszą jedynie za sprawą nawadniania. Wykazałem, jak w krajach takich za najważniejszą czynność rządu uważanoby nadzór nad tem, aby woda nie marnowała się wskutek samolubstwa lub ciemnoty jednostek, gdyż inaczej mianoby do czynienia z głodem. W tym celu użytkowanie z niej byłoby ściśle regulowanem i systematyzowanem, zaś jednostkom, dla próżnego ich kaprysu, nie pozwalanoby tamować jej, zmieniać kierunku jej prądów, lub w jakikolwiekby sposób rozporządzać się nią.

Praca ludzka, tłumaczyłem im, jest użyźniającym prądem, który jedynie czyni ziemię mieszkalną.

Prąd ten jest w każdym razie nadzwyczaj skąpy i użytkowanie z niego musi być regulowane za pomocą systemu, wydatkującego każdą kroplę z pożytkiem największym, jeżeli świat nie ma doznawać nie dostatku. Ale daleką od wszelkiego systemu była praktyka obecna. Każdy zużytkowywał płyn drogo-cenny stosownie do usposobienia, żywiąc jednaką pobudkę zaoszczędzenia własnych zbiorów i zrabowania zbiorów sąsiada, aby jego mogły być sprzedane zyskowniej. Z jakąż chciwością i przekorą zroszone były pola niektóre, gdy tymczasem inne kamieniały na słońcu a połowa zasobów wody szła na marne. W takim kraju, jakkolwiek przebiegłość i siła mogłaby zapewnić nawet zbytek niektórym, to jednak udziałem masy wielkiej musi być ubóstwo, dolą zaś słabych i ciemnych gorzka nędzka i głód ustawiczny.

Niech tylko naród głodem nękanym weźmie na się czynność, którą zaniedbał, niech ureguluje dla wspólnego dobra bieg życiodajnego potoku, a ziemia stanie się jednym sadem kwitnącym i dzieciom jej nie będzie brakowało niczego. Opisywałem dobrobyt materyjalny, oświecenie umysłu i moralną podniosłość, jakich dosięgliby wówczas wszyscy ludzie. Z zapalem mówiłem o tym nowym świecie błogosławionym z obfitości swej, oczyszczonym przez sprawiedliwość i ozłoconym miłością bratnią, o świecie, który zaiste snił mi się tylko, lecz który tak łatwo mógłby stać się rzeczywistością.

Ale kiedym ja spodziewał się, że teraz na pewno już twarze rozjaśnią się dokoła mnie uczuciami pokrewnemi moim, przybierały one wyraz coraz bar-

dziej mroczny, gniewny i pogardliwy. Zamiast zachwytu, panie okazywały tylko wstręt i obawę, gdy tymczasem panowie przerywali mi wykrzyknikami nagany i pogardy: „waryjat!” „biedak zakazony”, „fanatyk”, „wróg społeczeństwa”. Takimi oto były niektóre z ich wykrzykników, ten zaś, który pierwiej uzbroidł się był w szkieleko, zawołał: „powiada, że nie będziemy mieli już biednych, ha, ha, ha!”

Wyprowadźcież go, krzyknął ojciec mej narzeczonej, a na ten znak mężczyźni porwali się z krzesel i przystąpili do mnie.

Zdawało mi się, iż serce mi pęknie z męczarni, żem znalazł, iż to co było dla mnie tak jasnym i tak niezmiernie ważnym, dla nich pozostawało bez znaczenia, oraz, żem ja nie mógł uczynić ich innymi. Tak gorącym było ono, iż sądziłem, że żarem swym stopiłoby górę lodu, a teraz poczułem tylko, że chłód wszechpotężny ogarnia moje własne życie. Nie uczułem nienawiści ku nim, gdy mnie otoczyli, żywiłem tylko litość dla nich i dla świata.

Jakkolwiek zrozpaczony, nie mogłem jeszcze ustąpić, jeszcze walczyłem z nimi. Łzy trysnęły mi z oczu. W męczarni mej przestałem wydawać dźwięki członkowane, dyszałem ciężko, łkałem, jęczałem i bezpośrednio potem ujrzałem siebie siedzącego na kółku w pokoju moim w domu doktora Leete, a słońce poranne świeciło mi w oczy przez otwarte okno. Byłem prawie konający, łzy płynęły mi strumieniem po twarzy i drżałem na całym ciele. Tak, jak przestępca zbiegły, któremu śni się, że został na nowo pojmany i uprowadzony do swej nory ciemnej i cuchnącej, a który otwarłszy oczy widzi sklepienie

nieba nad sobą, tak czułem się teraz ja, gdym zrozumiał, że mój powrót do wieku XIX był tylko snem, obecność zaś moja w XX wieku rzeczywistością.

Straszne obrazy, jakie oglądałem w widzeniu mojem, i jakich prawdziwość potwierdzić mogłem na podstawie dawnego mojego życia, jakkolwiek nieste ty istniały kiedyś na prawdę i aż do skończenia czasów pobudzać będą do łez ludzi litościwych, minęły już chwała Bogu na zawsze. Od dawna ciemieżca i ciemieżony, prorok i szyderca stali się już prochem. Dla całych pokoleń, bogaty i ubogi były już słowami zapomnianymi.

Ale w tejsze chwili, kiedym jeszcze pełen był niewysłowionej wdzięczności za wielkie odkupienie świata, i za mój przywilej uczestniczenia w nim, nagle jak nożem przeszło mnie ukłucie wstydu, zgryzoty i dziwnych wyrzutów samemu sobie, które pochyliło głowę mą na piersi i zrodziło we mnie pragnienie, aby grób ukrył mię wraz z dawnymi towarzyszami. Wszak byłem człowiekiem owych czasów dawniejszych. Cóżem uczynił, aby dopomódz temu oswobodzeniu, jakim miałem się teraz napawać. Ja, który żyłem za owych czasów okrucieństwa i niedorzeczności, cóżem uczynił, aby sprowadzić ich koniec. Byłem tak prawie obojętnym na nędzę mych braci, tak cynicznie niewierzącym w coś lepszego, tak ogłupionym czcicielem chaosu i dawnego mroku, jak i każdy inny z mych bliźnich. O ile to zależało od mego wpływu osobistego, przyczyniałem się raczej chyba do opóźnienia godziny oswobodzenia rodzaju ludzkiego, które nawet wówczas już się

było przygotowywało. Jakie prawo miałem dziś witać wyzwolenie, które było wyrzutem dla mnie, napawać się dniem, z którego świtania wysmiewałem się?

„Lepiej dla ciebie byłoby, brzmiał głos jakiś we mnie, gdyby ów zły sen był rzeczywistością, a jasna ta rzeczywistość snem; lepszą byłaby część twoja, gdybyś wstawiał się za ukrzyżowaną ludzkością przed pokoleniem szyderczem, niżeli tutaj, gdzie korzystasz ze skarbów, których nie kopales, gdzie jesz z drzewa, którego kamienowałeś ogrodników”. I duch mój odpowiedział: „zaiste lepiej”.

Kiedy nakoniec podniosłem pochylone czoło i wyjrzałem z okna, Edytha, świeża jak poranek wchodziła właśnie do ogrodu, zbierając kwiaty. Pośpieszyłem zejść na dół. Ukląkwszy przed nią z obliczem korzącem się w prochu wyznałem ze łzami, jak mało godzin byłem oddychać powietrzem tego złotego wieku i jak nieskończenie mniej byłem godny nosić na mojej piersi ślubny jej bukiet. Szczęśliwy, kto w sprawie tak rozpaczliwej jak moja znalazł tak miłościwego sędziego.



DOPISEK.

Szybkość ludzkiego postępu.

Do redaktora „*The Boston Transcript*”. *Transcript* z dnia 30 marca 1888 roku zawiera w sobie ocenę „*Looking Backward*”, w odpowiedzi na którą pragnąłbym powiedzieć słów parę. Zawartemu w tej książce opisowi radykalnie nowych urządzeń przemysłowych i społecznych, oraz porządków, z jakich, jak przypuszczałem, korzystać będzie ludność Stanów Zjednoczonych w wieku **XX**, nie zarzuca się, iżby przedstawiał zgoła niedościgły stopień ludzkiej szczęśliwości i moralnego rozwoju, byleby tylko rodzajowi ludzkiemu dano dość czasu na wyjście z obecnego chaotycznego stanu społeczeństwa. Krytyk sądzi, że, nie uwzględniając tego, autor popełnił niedorzeczność, która poważnie obniża wartość tej książki, jako dzieła wyobraźni realistycznej. Zamiast umieszczać urzeczywistnienie idealnego stanu społeczności po upływie jakich lat pięćdziesięciu od chwili

obecnej, powinien byłby on, zdaniem recenzenta, użyć cyfry 75 wieków. Niewątpliwie rażąca jest różnica pomiędzy 75-ma wiekami a pięćdziesięcioma laty; to też jeżeli krytyk słusznie ocenia przypuszczalną szybkość ludzkiego postępu, to widoki ludzkości są zaiste zniechęcające. Ale czy ma on słuszność? Sądzę, że nie.

„Looking Backward”, jakkolwiek posiada formę fantastycznego romansu, uważanym jest przez autora całkiem poważnie, jako zgodna z zasadami ewolucyi zapowiedź najbliższego stadyjum przemysłowego i społecznego rozwoju ludzkości, szczególnie w Stanach Zjednoczonych; nadto autor sądzi, iż wskazówki prawdopodobieństwa nie świadczą wyraźniej na korzyść którejkolwiek z jej części, jak na korzyść właśnie tego, że zapowiadany tam domyślnie świt nowej ery jest już bliskim, oraz, że dzień jasny nastąpi niebawem. Czyżby się to na razie wydawało niewiarogodnem ze względu na obszar zmian domniemanych? Czegóż jednak uczy nas historia, jak nie tego, że wielkie przeobrażenia narodowe, po całych wiekach nieznaczących przygotowań, raz już napoczęte, dokonywają się z szybkością i nieodpartą siłą, pozostającą w prostym stosunku do ich wielkości, nie zaś ograniczaną przez nią?

W r. 1759 po upadku Quebeca, potęgą Anglii w Ameryce zdawała się niepokonaną, a hołdownictwo jej kolonii zapewnione. Niemniej wszakże w 30 lat później okrzyknięto pierwszego prezydenta Rzeczypospolitej amerykańskiej. W r. 1849 po bitwie Nawarskiej, przyszłość Włoch zdawała się tak beznadziejną, jak nigdy jeszcze od wieków średnich;

a jednak, zaledwie w 15 lat później, Wiktor Emanuel ukoronowany został na króla Zjednoczonej Italii. W r. 1864 tysiącoletnie marzenie o jedności Niemiec było napozór tak nieiszczalnem jak nigdy. W siedem lat później urzeczywistniło się ono, a Wilhelm wziął na się w Wersalu koronę Barbarossy. W r. 1832 kilku tak zwanych marzycieli utworzyło w Bostonie pierwsze stowarzyszenie przeciwniewolnicze. W 38 lat później w r. 1870 towarzystwo rozwiązało się, gdyż zadanie jego zostało całkowicie spełnione.

Wypadki te, rzecz prosta, nie świadczą, iżby miało czekać nas zaraz takie społeczne i przemysłowe przeobrażenie, jakiego szkic podaliśmy w „Looking Backward”; wskazują one jednak, że, kiedy obyczajowe i ekonomiczne jego warunki dojrzeją, odbywać się ono pocznie z wielką szybkością. Na żadnej innej widowni obrazu nie zmieniają się z tak magiczną szybkością, jak na widowni dziejowej, gdy tylko raz wybije ich godzina. Pytanie więc nie na tem polega, jak rozległą musi być zmiana, któraby przygotowała widownię dla nowej cywilizacji bratniej, ale na tem, czy istnieją jakie szczególne wskazówki tego, że przeobrażenie społeczne się zbliża. Przyczyny, które je przysuwały ustawicznie, działają już od czasów niepamiętnych. Prąd dążeń ludzkich, zmierzających do ostatecznego urzeczywistnienia takiej postaci społeczeństwa, która znakomicie zwiększając pomyślność materyjalną, nie obrażałaby zarazem instynktów obyczajowych, lecz przeciwnie, zaspakajałaby je, któraby zapobiegła wszelkiemu jękowi ubóstwa, wszelkim łzom litości, która zadowolniłaby wszelką dążność ludzką, wszelki szlachetny

zapał, wszelkie prawdziwe uczucie religijne, wszelki akt, w którym rośnie wzajemna sympatyja ludzi przez ściślejsze zbliżenie się ich dla jakiegoś celu, prąd taki potęgował się pod działaniem owych przyczyn od samego początku cywilizacyi. Jedyne oczywiste objaśnienie powszechnego obecnie wrzenia umysłów z powodu niedoskonałości dzisiejszych porządków społecznych znajdujemy w przypuszczeniu, że ów długi strumień wpływów różnorodnych, pogłębiając się i rozszerzając coraz bardziej, jest wreszcie blizkim zniesienia zapór, które w ten sposób podmywał. Nietylko pracownicy świata trwają dziś jakoby w jakim wszechświatowym rokoszu, ale miłujący prawdę i ludzcy mężczyźni i kobiety wszelkiego stanowiska pogrążeni są w rozpacz, dochodzącej do stanowczego buntu przeciwko takim warunkom społecznym, jakie redukują życie do bydlęcej walki o byt, naigrawają się ze wszelkiego nakazu etyki i religii i udaremniają prawie wysiłki bliźniego.

Jak lodowiec, płynący z mroźnej północy ku południowi, stopniowo podmywany jest przez morza cieplejsze, aż wreszcie, tracąc równowagę, napełnia morza pianą na wiele mil dokoła potężnem kołysaniem się, zapowiada jeszcze jego upadek, tak barbarzyński system przemysłowy i społeczny, przybyły do nas od dzikiej starożytności, podminowany nowożytnym duchem człowieka, zdruzgotany przez krytykę wiedzy ekonomicznej wstrząsa światem w konwulsjach, zapowiadających jego upadek.

Wszyscy ludzie rozsądni zgodzą się, że obecny stan społeczeństwa brzemienny jest wielkimi zmia-

nami. Pytać się można jedynie, czy będą one ku lepszemu, czy też ku gorszemu. Ci, którzy wierzą w szlachetność istoty ludzkiej, przychyłają się ku pierwszemu pogładowi, ci, którzy przekonani są o zasadniczej jej ujemności, ku drugiemu. Co do mnie, to jestem zdania pierwszego. „Looking Backward” napisanem było w przeświadczeniu, że wiek złoty przed nami leży, nie zaś po za nami i że jest on już niedaleko. Dzieci nasze ujrzą go z pewnością a i my nawet, dojrzali już mężczyźni i kobiety, jeśli zasłużymy wiarą naszą i dziełami.

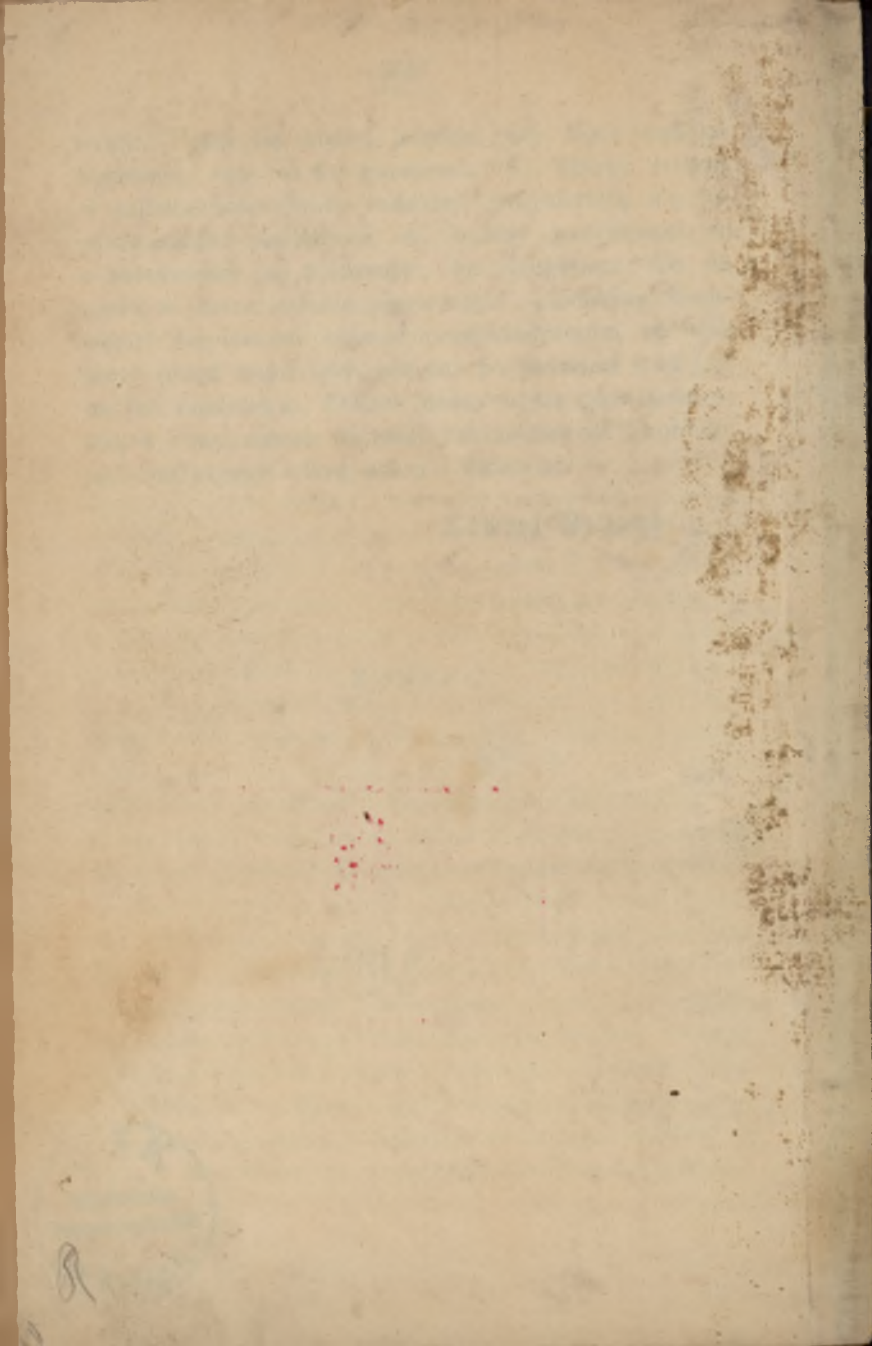
Edward Bellamy.

K O N I E C .



1
2
3
4
5
6
7
8
9
10
11
12
13
14
15
16
17
18
19
20
21
22
23
24
25
26
27
28
29
30
31
32
33
34
35
36
37
38
39
40
41
42
43
44
45
46
47
48
49
50
51
52
53
54
55
56
57
58
59
60
61
62
63
64
65
66
67
68
69
70
71
72
73
74
75
76
77
78
79
80
81
82
83
84
85
86
87
88
89
90
91
92
93
94
95
96
97
98
99
100





8

2134

Biblioteka UJK Kielce

UJK



0472166

4998
WYŁOŻANO

59